OLGA TOKARCZUK

PODRÓŻ LUDZI KSIĘGI

OLGA TOKARCZUK

PODRÓŻ LUDZI KSIĘGI

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 0

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Przypisy

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Konsultacja redakcyjna: GRZEGORZ ZYGADŁO
Korekta: JACEK BŁACH, EWELINA KOROSTYŃSKA, HENRYKA SALAWA
Projekt okładki, ilustracja: JOANNA CONCEJO
Opracowanie okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Olga Tokarczuk
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2019
Wydanie przejrzane przez autorkę

Pierwsze wydanie: Warszawa 1993

ISBN 978-83-08-06745-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

O

Gauche jest w tej opowieści osobą przypadkową. Nic nie wskazywało na to, że weźmie udział w podróży. Nie był w planie. Historia jego życia pełna jest takich przypadków, ale ponieważ wciąż nie wiadomo, czym jest przypadek, można z czystym sumieniem rozgrzeszyć się z nadużywania zasady, że jeżeli coś się zdarza, to właśnie owo zdarzenie się jest samo dla siebie najlepszym uzasadnieniem.

Przypadek w życiu Gauche'a zadziałał po raz pierwszy wtedy, gdy znalazła go jedna z sióstr klarysek zamykająca przed zmrokiem furtę. Gauche był wtedy słabym, zziębniętym niemowlęciem i na pewno nie przeżyłby nocy. Leżał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami. Nie płakał. Być może jego głos przemarzł już na zawsze tego wczesnogrudniowego wieczoru, a może niemowlę wcale nie miało głosu. Siostry uznały to za znak i błogosławieństwo – nigdy nie móc krzyczeć w świecie, w którym ludzki głos jest zawsze tylko głosem wołającego na pustyni.

Klaryski najpierw wzięły dziecko do siebie, lecz gdy zaczęło im sprawiać zbyt wiele kłopotu, oddały je kobiecie z przyklasztornej wsi. Owa kobieta miała już swoje dzieci, równie słabe, równie marne. Zajęła się chłopcem z poczucia obowiązku, bo nie chciała przykładać ręki do dzieła śmierci, nawet jeśli ta daje życie w lepszym gatunku, życie wieczne. Ona jednak urodziła się po to, żeby życiem obdarzać i o życie dbać.

Kobieta ze wsi zajmowała się więc małym niemową. Karmiła go, myła, kiedy się zabrudził. Nauczyła go czynić znak krzyża i pragnąć miłości. Gdy umarła, siostry znalazły Gauche'a skulonego przy jej ciele. Nie protestował, kiedy zabierały go ze sobą. Miał wtedy pięć lat.

W życiu Gauche'a czas zawsze zataczał kręgi. Od jednej wiosny do drugiej, od kwitnięcia rozmarynu, poprzez zbiór niebieskich kwiatów lawendy, aż do spadania z drzew niespodziewanie doskonałych owoców kasztana. Gauche szybko zrozumiał istotę takiego czasu, toteż nie miał potrzeby

wyrywania się do przodu, jak inni ludzie. Tkwił w swoim czasie niczym w bezpiecznej skorupce, powoli rosnąc, powoli przyswajając sobie jego ledwie zauważalny rytm. Rzeczy pojmował równie wolno, z wahaniem, które na dobrą sprawę można by nazwać ociężałością. Chociaż bardzo chciał, nigdy nie nauczył się mówić. Otwierał usta i na próbę formował wargami niewidzialne i niesłyszalne słowa, które wypychał językiem w obojętny na te próby świat. Latem i wiosną pomagał w ogródku i w kuchni, dając się odpędzać jak przybłąkany pies od naczyń z jedzeniem. W pobliżu klasztornej kuchni spędzał także zimy, tworząc na wygrzanym przypiecku kasztanowe figurki ludzi i zwierząt, które potem wysyłał w dalekie podróże: poprzez podwórko do rozmarynowego ogródka i dalej, na skarpę, z której zrzucano w dół śmieci. Ustawiał na jej krawędzi całe karawany psów, ludzi i ptaków i patrzył, jak toczą się bezradnie, popchnięte zaledwie dotknięciem jego wskazującego palca. O zmierzchu wracał do kuchni, gdzie milczące siostry suszyły zioła i gotowały wieczorny posiłek. Pod posłaniem miał zawsze ogromny zapas nowych kasztanów.

Siostry żyły w przekonaniu, że ich mały wychowanek jest dzieckiem bożym, podobnie jak ich skrywany oblubieniec – święty z Asyżu. Wiedziały, że najlepszym uzasadnieniem przebywania chłopca pośród nich są właśnie okoliczności, w jakich się tu znalazł. Rozumiały także, że Bóg kiedyś zabierze go od nich, rzeczą boską bowiem jest dawać i zabierać. Dlatego nie przywiązywały się zbytnio do tego niemego, cichego życia.

Bóg zabrał klaryskom Gauche'a, gdy obdarował go męskością. Wtedy siostra przełożona uznała, że zgromadzenie spełniło już swoją powinność. Gauche'em może się teraz zająć sam Bóg. Oddały go więc pod opiekę Pana, wysyłając w świat. Dostał dwukolorowy kubrak, czapkę i trochę jedzenia na drogę. Odchodząc, zabrał z klasztoru żółtego psa, który przywiązał się do niego tak bardzo, że rozumiał, co mówią szeroko otwarte oczy chłopca.

Historia Gauche'a, jak już powiedziano, nie jest wątkiem znaczącym dla tej opowieści. To, co najważniejsze, zaczyna się w czasie, kiedy Gauche w swojej wędrówce z psem dotarł do Paryża. Było to latem 1685 roku. Wcale nie zamierzał tam iść, po prostu wędrował przed siebie. A w tamtych czasach wszystkie drogi prowadziły do tego miasta.

Gauche dotarł tylko do paryskich przedmieść, gdzie ludzie wciąż żyli w cieniu niedalekiego centrum. Na przedmieściach zatrzymywali się po-

dróżni, szykując się do wjazdu na główne ulice. W mieście był najpotężniejszy na świecie król i jego dwór, były bogate sklepy, banki, pełne przepychu kościoły, muzyka i gwar. Paryż był prawdziwym sercem świata.

Zupełnie przypadkiem dostał pracę w stajni przy pewnej oberży, której właściciel w lot rozpoznał, że ten dziwny chłopiec ma rękę do koni. Konie, zupełnie jak żółty pies, dobrze rozumiały mowę spojrzeń chłopca i odpowiadały mu tak samo. Przez kilka pierwszych dni Gauche nauczył się bardzo wiele. Zrozumiał, czym jest pieniądz, i to, że za pieniądze można sprzedawać swoją pracę i swoją wolność. Zrozumiał różnicę między wędrowaniem a pozostawaniem w miejscu. Zrozumiał także różnicę między mężczyzną a kobietą, klaczą a ogierem, kiedy z wysokości swojego legowiska przyglądał się parom ludzkim i zwierzęcym. Zobaczył też, jak bardzo różnią się od klarysek napotykani teraz ludzie. I chodziło nie tylko o fryzury, peruki i jaskrawość stroju, ale głównie o chaotyczność czasu, który ludzie noszą w sobie. Widząc setki podróżnych, słysząc ich różne języki, wyczuwając ich pośpiech, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że są tak samo chwilowi jak jego kasztanowe ludziki. Że wystarczyłoby zamknąć im usta, zdjąć z nich pstrokate odzienie, a ukazałaby się znajoma powierzchnia kasztanowej łupiny.

Gauche zazdrościł wielobarwnym ludziom tylko jednego – że potrafią mówić, że używają słów, jakby były ich własnością. Jemu samemu, którego ułomne gardło nie było w stanie wydać żadnego dźwięku, zdawało się, że w słowach mieści się wszelka ludzka moc. Traktował je więc bardzo poważnie i z prawdziwym szacunkiem, zupełnie jakby w swej realności równe były rzeczom. Albo nawet jeszcze poważniej: jakby były czymś więcej niż rzeczami, które określają. Bo przecież samą rzecz ogranicza w końcu jej materialność i konkretność, a słowo jest jej czarodziejskim odbiciem, mieszkającym w świecie innym niż ten, który Gauche znał. Jakim? O tym nie potrafił nawet pomyśleć. Dla niego słowa były duszami rzeczy; poprzez owe dusze rzeczy kontaktują się z nami. Znając słowo – zna się rzecz. Wypowiadając słowo – ma się władzę nad rzeczą. Kiedy układa się i wiąże słowa z innymi słowami – tworzy się nowe układy rzeczy, tworzy się świat. Dobywając właściwych słów, zabarwiając je uczuciem, odcieniami nastroju, przydając im znaczeń, brzmień, muzyki – kształtuje się wszystko, co istnieje.

Największym marzeniem Gauche'a było móc powiedzieć kiedyś: „Jestem Gauche", i w ten sposób wydobyć siebie z otchłani nieokreślenia. Dlatego stajnia, konie, jaskółki często były świadkami jego prób mówienia. Gauche otwierał usta i czekał, aż jakieś słowo wydostanie się przez nie na świat. Jeżeli coś osiągnął, to najwyżej przypominało rodzaj charczącego wydechu, jęk bólu czy samotności. Gauche nie wierzył, że może się w tym kryć klucz do świata.

A świat Gauche'a mieścił się między kłębami śpiących na stojąco koni i rósł w górę, do nieszczelnych desek na dachu stajni, którędy wnikało nocne, rozgwieżdżone niebo. Gauche wiedział, że jest ogromne. Pewnie opowiedziała mu o tym jedna z sióstr i na zawsze już zaszczepiła w nim smutek. Przed zaśnięciem wpatrywał się w skrawek nieba, walcząc z ociężałością powiek, i widział, że gwiazdy nie są wcale nieruchome, że suną w jakimś sobie tylko znanym kierunku, żeby następnego wieczoru powrócić w to samo miejsce. Świat jest żywy, myślał sennie Gauche, oddycha tak samo jak konie, jak pies, jak on sam, a niebo jest brzuchem świata, poruszającym się regularnie w rytm tego powolnego oddechu. Rano już o tym nie pamiętał. Karmił zwierzęta, siodłał konie, sprzątał stajnię i przyglądał się ludziom, którzy byli w trakcie nieustannej podróży.

Pracował do września w oberży na przedmieściu Saint-Antoine, niedaleko manufaktury Reuilly i nigdy nie dane mu było zobaczyć samego Paryża.

1

Markiz lubił przeglądać się w lustrach. W swoim dużym domu miał wiele pięknych kryształowych luster, którym pozwalał rozmieniać swoje życie na krótkotrwałe, przemijające obrazy.

Lustra w domu Markiza zawiesili przodkowie jego żony, która dostała ten dom w posagu. Portrety przodków wisiały teraz w hallu na dole, patrząc na świat żywych z niezrozumiałą pychą ludzi, których już nie ma. Za życia najwidoczniej byli bardziej postawni, bo Markiz, żeby zobaczyć się w lustrze, musiał lekko wspinać się na palce. Lubił przyłapywać swe odbicie, gdy zaaferowany czymś, zapominał o sobie i przestawał się kontrolować. Wówczas jego spojrzenie wymykało się spod powiek i pędziło ku najbliższej powierzchni lustra, spotykając tam samo siebie. Markiz nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Kiedy oko spotyka swoje odbicie, widzi tylko oko. A gdzie jestem ja, gdzie moja odmienność, moja niepowtarzalność, moja samotność? Czy widzę siebie takim, jakim widzą mnie inni? Czy to naprawdę ja? Najważniejsze dla Markiza było uchwycenie momentu, kiedy jest się szybszym niż własne odbicie, kiedy przyłapuje się je na chwilę przedtem, zanim ono powtórzy gest. Jest to tak krótka chwila, że prawie się jej nie zauważa. Ale na tym właśnie polega prawda lustrzanego odbicia, wszelkiego podwojenia – jest się wtedy bardziej świadomym swojej jedyności. To chwila, w której rodzi się moc.

Pochodził ze średnio zamożnej rodziny hugenotów. Jego dziadek za zasługi dla króla Francji otrzymał tytuł szlachecki. Wtedy jeszcze Francja słynęła z tolerancji i nie przywiązywano większego znaczenia do kwestii Boga. Ojciec Markiza roztrwonił pieniądze i królewskie zaufanie. Popłynął przez ocean do kolonii, gdzie zamierzał założyć własną dynastię. Wrócił chory i przedwcześnie postarzały. Zmarł pewnej nocy, wtedy kiedy jego oddalony o kilkadziesiąt mil syn, studiujący w Paryżu, nie mógł zasnąć. Markiz nazwał to przeczuciem, bo wierzył w przeczucia, nie odróżniając ich

zresztą od lęków. Nienawidził ojca tak mocno, jak tylko synowie potrafią nienawidzić ojców. Ale także go podziwiał. Podziwiał jego odwagę brania życia lekko i nieodpowiedzialnie, jakby to było majowe święto. Podziwiał jego siłę przebicia i łatwość pokonywania drogi w górę lekkim krokiem niedzielnego wędrowca. Podziwiał jego męskość i niezależność. I w końcu podziwiał to, że można nie zapuścić w życiu korzeni. Markiz już jako dziecko doskonale wiedział o kobietach ojca, z czym ten zresztą wcale się nie krył, w jakiś systematyczny, okrutny sposób znęcając się nad matką. Wtedy Markiz marzył, by świat pozwolił mu ojca zabić.

Można sobie wyobrazić, co czują dzieci, które pragną śmierci własnego ojca. Pragną zupełnie świadomie, wyobrażając sobie dokładnie scenę, kiedy zadają mu śmiertelny cios. Można też zobaczyć, jak spuszczają potem oczy, jeszcze pełne nocnych marzeń, żeby ojciec nie dostrzegł w nich bazyliszkowego spojrzenia. Nie wiadomo tylko, na jakich wyrastają dorosłych. Jakie dzieci płodzą, jak korzystają z własnego morza miłości? I czy z chęcią śmierci ojca wiąże się pragnienie śmierci świata? I w jaki sposób można zabić świat? Czy są na to sposoby?

Pierwszym sposobem zabicia świata stało się dla Markiza przejście na katolicyzm. Zgodnie z wszelkimi prawami psychologii jako neofita stał się osobą głęboko religijną. To pozwoliło mu bez kłopotów ożenić się z córką królewskiego urzędnika i zamieszkać spokojnie w Paryżu, w rodzinnym domu żony.

Żona Markiza była piękna, inteligentna i wkrótce do ich salonu ciągnąć zaczęły wszelkie niepospolite umysły, zaś Markiz zaczął pisywać poematy, potem pamflety polityczne, aż w końcu, pod wpływem swojego przyjaciela, pana de Chevillon, zajął się alchemią i naukami tajemnymi.

Był to wtedy rodzaj filozofii totalnej, nadeszły bowiem czasy przełomu. W przeszłość odchodziła epoka ciasnej, krępującej swobody religii, nabrzmiałego od emocji mistycyzmu, a rodziła się epoka racjonalizmu, marmurowo-lustrzane królestwo rozumu. W czasach przełomu jedyne, co pozostaje, to unieść się wyżej, ponad zbyt proste podziały, i znaleźć język, który pozwoli określić jakąś trzecią drogę.

Pan de Chevillon, choć był zasuszonym starcem, to jednak wciąż zachowywał wielkie wpływy. Bano się jego ciętego języka i jasnego, przenikliwego umysłu. Bywał na dworze. Kolejne kochanki króla uwielbiały go. Sam

Król Słońce był łaskawie zainteresowany jego osobą, dopóki niewdzięczny pan de Chevillon nie zaczął zbytnio krytykować jego politycznych posunięć w złośliwych, krążących później w ręcznych odpisach pamfletach. Może to z tej przyczyny w życiu pana de Chevillona nastąpiła zmiana. Za pieniądze z jakichś niewiadomych źródeł kupił ogromny dom w Châteauroux i coraz mniej przebywał w Paryżu.

Ten zasuszony starzec traktował Markiza jak syna, którego nigdy nie miał. Dla Markiza zaś był on jakby ojcem, a raczej jego odbiciem w zaczarowanym lustrze. To, czego we własnym ojcu nie potrafił nigdy zaakceptować, w panu de Chevillonie magicznie zmieniało swoje znaczenie, stawało się wysublimowane, a przez to mniej zagrażające. Nie było żadną tajemnicą, że Chevillon jest impotentem.

Fakt urodzenia syna przez jego piękną i delikatną żonę zbiegł się w czasie z wprowadzeniem Markiza w krąg ludzi Księgi.

Było to sekretne towarzystwo złożone z wysoko postawionych osób; jednoczyła je idea, czy może intuicja, że świat, w którym żyją i działają jako politycy bądź uczeni, w którym kochają i toczą małe prywatne boje, jest tylko namiastką prawdziwego. Tylko powierzchnią, pustym miejscem między literami na zapisanej karcie. Prawda, a więc Moc, a więc Bóg, jest gdzie indziej. Takie stwierdzenie to fundament każdej religii. Nie ma w tym nic niezwykłego, życie Markiza jednak, który stał się członkiem Bractwa dzięki ćwiczeniom, wyrzeczeniom i wtajemniczeniu, bardzo się zmieniło. Przestał przykładać szczególną wagę do życia rodzinnego, wiedząc z własnego doświadczenia, że nie daje ono całkowitego spełnienia. Nie nabywa się mądrości i mocy przez bycie dobrym mężem czy ojcem. Kiedy wyszedł na jaw romans jego żony z angielskim dyplomatą, zabolało go to tylko na początku. Krótkie, bolesne ukłucie nawet nie w duszy czy w sercu, lecz gdzieś w okolicach żołądka. Potem poczuł ulgę. Spełniło się to, co życie zapisało mu sekretnym atramentem w rozdziale pod tytułem „Miłość". Teraz, gdy jego uczucie zostało wystawione na próbę, ogień wywołał ukryte litery: ziemska miłość bierze się z pragnienia bycia z drugim człowiekiem, żeby się nie bać, żeby móc się przytulić, żeby czerpać rozkosz z ciała, żeby zaspokajać egoistyczną potrzebę wydawania na świat nowych istnień do siebie podobnych. Ziemska miłość istnieje po to, żeby nie musieć się zmierzyć z Absolutem.

Piękna żona nie odeszła z angielskim dyplomatą. Była dobrze wychowaną katoliczką i obowiązywały ją twarde prawa Kościoła. Co Bóg złączył. Zresztą w tamtych czasach romans mężatki nie był znowu czymś tak niezwykłym. Nikt się nie gorszył. Ludzie wtedy kochali i oddawali Bogu cześć jak dzieci. Wierzyli, że miłość Boga jest bezwarunkowa.

Markiz także miewał inne kobiety. Były to zawsze przechodnie przyjaciółki jego wysoko postawionych znajomych. Piękne i pachnące kobiety, dobrze znające sztukę miłości. Utrzymywane w eleganckich mieszkaniach przy rue d'Espoir, dyskretne i czułe. Co jakiś czas wybuchały drobne skandale, które bulwersowały starsze panie i spowiedników dobrych rodzin. Markiz nigdy nie miał takich kłopotów. Te kobiety traktował jak jednorazową przygodę. Nie był też żadnym artystą w miłości. Szybko się podniecał, kładł się pośpiesznie i bez wdzięku na pachnące ciała, a potem posiadał je krótko, tylko do chwili kiedy wypływało z niego całe pożądanie. Nie lubił uwodzenia, dwuznacznych rozmów, aluzji, obiecujących uśmiechów. Ze swoją żoną sypiał regularnie, aż do czasu kiedy kolejny stopień wtajemniczenia wymógł na nim konieczność zachowania wstrzemięźliwości. Po zdradzie żony nigdy już nie uwierzył, że jęki i spazmy jej rozkoszy mogą być czymś więcej niż zwykłą fizyczną, zwierzęcą przyjemnością, która zamyka ludzi w więzieniu ciała. Co zaś do żony Markiza, to można by uznać, że nie opuściło ją nigdy poczucie winy. Odtąd poświęciła się wychowaniu delikatnego jak ona sama syna i prowadzeniu modnego salonu. Pisywała inteligentne listy do znanych ludzi, wiodła bogate życie towarzyskie. Adorowali ją początkujący poeci, a ona pozwalała jedynie na takie hołdy. Dlatego, być może, stawała się coraz mniej popularna. Jej angielski kochanek pisywał wciąż długie listy, lecz kiedy się ożenił, korespondencja powoli ustała i wydawało się, że wszelkie obietnice nie są warte tego, żeby je w ogóle wypowiadać.

Życie Markizy warte jest osobnej opowieści. Byłaby to opowieść o tym, jak niektóre kobiety wierzą w zbawienną i niezwykłą siłę miłości, i o tym, jak się rozczarowują. Jak budują świat z oczekiwań, niczym z malowanych na dykcie teatralnych dekoracji. Jak się starzeją i tracą pewność siebie, i w rozpaczy osuwają się w straszliwą kobiecą samotność. Jak, zdesperowane, odważają się czasem na walkę, w której jedyną bronią bywają wzruszenia ramion, drobne szantaże, odmowy wspólnego łoża, udawane migreny

i bezowocne, niezauważalne dla nikogo manipulacje. Wojny toczone przez kobiety to wojny małych chłopców, heroizm drewnianych żołnierzyków i ich drewnianych mieczy.

Kiedy około roku 1680 Markiz osiągnął kolejny stopień wtajemniczenia, na niwie publicznej zaś rozgłos przyniosły mu błyskotliwe opracowania dotyczące możliwości wymiany handlowej między Francją a Hiszpanią, jego żona poczuła się jeszcze bardziej samotna. Nie znała się ani na jednym, ani na drugim. A kiedy za jakiś czas Markiz rozpoczął pracę nad znaczeniem Saturna w astrologii i alchemii, co przyniosło mu zresztą poważanie w pewnych kręgach, Markiza zmieniła front i pasję męża uznała za bzdury, dziwactwo i zabobon. Teraz jej salon zaczęli odwiedzać młodzi prekursorzy epoki, która dopiero miała nadejść i stworzyć Woltera i d'Alemberta. Tym ludziom niemal udało się okiełznać namiętność, ale też na zawsze utracili marzenia.

W 1684 roku w umyśle Markiza i w umysłach jego wtajemniczonych przyjaciół powstała idea podróży w poszukiwaniu zaginionej Księgi.

2

Na początku Bóg stworzył świat z przełamanej litery. Z pękniętego słowa ciało wyciekło jak krew. Ciało jest więc niedoskonałym słowem.

Bóg jest doskonały, jest słowem i nie ma ciała, przeto stworzył Adama, dając mu ciało i słowo, by jako doskonały i nieskończony, przeglądać się w niedoskonałości i skończoności Adama.

A iżby Adam nie zapomniał o słowie i sile, dał mu Bóg Księgę, w której zapisał swą doskonałość, swój bezpoczątek i swoją nieskończoność.

Lecz kiedy Samael zniszczył boskie dzieło stworzenia, obiecując Adamowi inne niż boskie poznanie, Bóg odwrócił się od człowieka i zabrał mu Księgę. Adam błagał Boga z ziemi czerwonej od żaru, ażeby oddał mu ją. I Bóg ulitował się. Wysłał anioła Rafaela i ten ją zwrócił Adamowi. Adam pozostawił Księgę Setowi, a po Secie odziedziczył ją Enoch. Enoch poznał, że Prawda jest Pismem i w Piśmie jest Prawda, przeto jako pierwszy spośród ludzi nauczył się zapisywać Prawdę i naukę tę przekazał swoim potomkom.

Lecz człowiek do Prawdy dochodzi z mozołem i bocznymi ścieżkami, toteż Bóg w swojej nieskończonej dobroci zabrał Enocha w podróż od pierwszego do siódmego nieba, by ukazać mu całe boskie stworzenie. A w siódmym niebie pokazał mu drzewo wiadomości dobrego i złego oraz drzewo żywota. I był Enoch z aniołami i z Bogiem przez sześć jubileuszów, a pokazali mu wszystko, co na ziemi i w niebie. I zobaczył Enoch, że w Świętej Księdze zapisano najprawdziwszą z prawd: że co na górze, jestże i na dole.

I kiedy Enoch był już stary i zmęczony życiem, Bóg po raz drugi zabrał go do nieba i uczynił aniołem. Wtedy na zawsze zniknęła Święta Księga. Lecz obiecał Bóg Enochowi, że odda ją ludziom, gdy przyjdzie czas.

Ten tekst czytany był zawsze na rozpoczęcie i zakończenie rytualnej części spotkań w Bractwie. Potem panowie przechodzili do innej sali pałacu

pewnego barona, gdzie regularnie odbywały się zebrania. Pomimo że Bractwo stanowiło grupę zamkniętą i elitarną, nie było w nim jedności. Każdy zjawiał się tutaj ze swoimi mniej lub bardziej sprecyzowanymi oczekiwaniami. Jedni szukali tu lekarstwa na męczące rozdygotanie świata, jakiego doświadczali, inni – towarzystwa, ale byli też i tacy, którzy w ideach Bractwa widzieli ostateczne wyzwolenie i wyjście poza swój czas, poza konkretne miejsca i wreszcie – poza siebie.

Kiedy siadali potem przy kawie w jasnym świetle kandelabrów, wydawali się bardziej rzeczywiści i materialni niż kiedykolwiek indziej. Być może było to tylko wrażenie biorące się z kontrastu pomiędzy jedną salą a drugą, w której odbywały się misteria Księgi. A może rzeczywiście ich ciała traciły przekonywający walor istnienia, otoczone kadzidlanym dymem i migotliwymi, niespokojnymi płomieniami pochodni.

Do ścisłego grona wtajemniczonych należało kilkunastu mężczyzn. Różniły ich nie tylko pozycja, prestiż i zamożność, ale także poglądy i styl życia. Był tu lekarz dworski, który dokonując dyssekcji martwych ciał, badał na własną rękę sekrety życia i marzył o złapaniu serca człowieka na gorącym uczynku, kiedy jeszcze bije. Był także pewien bogaty holenderski Żyd, na stałe mieszkający w Paryżu, który zgłębiał tajniki Kabały. Był znany i popularny poeta, który być może szukał w Bractwie nowej podniety dla swojego talentu. Gdyby pokusić się o znalezienie dla tych wszystkich osób jakiegoś powinowactwa w postaci jednorodnej i spójnej filozofii, okazałoby się to daremne. Każda z nich przychodziła na spotkania z czymś innym, wlokąc ze sobą, jak skorupę, sumę swoich doświadczeń, wielkie dziecinne marzenia, a także rozczarowania powtarzającym się co rano refrenem codzienności.

Kiedy ćwicząc ciało i wolę, mężczyźni ci pięli się po kolejnych stopniach wtajemniczenia i w końcu dowiadywali się o Księdze, dla każdego z nich znaczyła ona coś innego. Jedno ich tylko łączyło – wszyscy wierzyli w jej świętość i ostateczną mądrość. Mogła być także rozwiązaniem zagadki życia ujętym w litery imienia Boga czy doskonale poetyckim opisem rzeczywistości. Wyglądało to tak, jakby Bóg stworzył ludzi w całej ich różnorodności, żeby udowodnić samemu sobie, jak wiele postaci przybiera ludzkie pojęcie jego dzieła. Jakby ludzie z krwi i kości byli koszykami na różne idee, poglądy i stanowiska. Kiedy się patrzyło na nich z perspektywy ludzkiej –

różnice były ogromne, lecz gdy patrzyło się tak, jakby to Bóg patrzył na nich ze swojej wysokości – różnic nie było wcale.

Bractwo straciło ostatecznie jedność, kiedy de Chevillon, przewodniczący spotkań i w pewnym sensie duchowy ojciec Bractwa, w jakiś sposób zdobył owiane tajemnicą mapy miejsca, gdzie znajduje się Księga. Jak się teraz okazało, spora część wtajemniczonych w ogóle nie wierzyła w realne jej istnienie. Dla nich była to tylko wielka idea. Inni, których można by nazwać stronnictwem katastrofistów, uznawali realne istnienie Księgi, lecz sądzili, że świat nie jest jeszcze gotowy na jej przyjęcie. Być może to z nich wyrośli przyszli rewolucjoniści. Tylko naprawdę niewielu wierzyło, że po Księgę można i nawet należy pójść, i że zmieści się ona na grzbiecie muła. Wierzyli, że Księga jest w stanie zmienić historię, i nadstawiali własne plecy na przyjęcie brzemienia odpowiedzialności. Do tej grupy należeli Markiz, de Chevillon – odkrywca map, bogaty de Berle i kawaler d'Albi.

De Berle, bankier i filantrop, był człowiekiem mocno stąpającym po ziemi. Nade wszystko przedkładał dostatek, spokój i miłość swojej młodej, niezwykle płodnej żony. Był inteligentny i dociekliwy, choć może traktował wszystko zbyt dosłownie. Przechodził kolejne stopnie wtajemniczenia, wierząc, że któregoś dnia w jego retorcie rtęć przemieni się w złoto, którego i tak miał pod dostatkiem. Ale jego motywem nie była chęć zysku. De Berle należał do tego rodzaju ludzi, którzy rozwój świata widzą jako dążenie do coraz to większej stabilizacji i jasności. Celem tego procesu jest osiągnięcie porządku absolutnie statycznego, gdzie wszystko do siebie pasuje, gdzie obowiązują rozumne prawa i idealna równowaga. Wierzył, że mądrość to wiedza o tym właśnie stanie rzeczy i o sposobach, jak do niego dojść. Według niego Księga zawierała zbiór aksjomatów, których poznanie dałoby obraz doskonałego, statycznego świata i określiłoby raz na zawsze konkretne sposoby zbudowania takiej rzeczywistości.

De Berle nie miał wątpliwości, jakie jest znaczenie skomplikowanej reguły Bractwa. Magiczny rytuał był sposobem zdobycia mocy. Kiedy się ma moc, można wyruszyć po Księgę. Wiedział także, że na podróż potrzebne są pieniądze, i zaofiarował się ją sfinansować. Przyłożył się też bardzo do opracowania trasy wędrówki, a w końcu, w przypływie jakiejś tęsknoty czy uniesienia, sam zdecydował się na uczestnictwo w tym przedsięwzięciu. Jego żona spodziewała się właśnie kolejnego dziecka.

Kawaler d'Albi, może dlatego że był najmłodszym członkiem Bractwa, cieszył się szczególną sympatią wszystkich. Pochodził z dobrej rodziny (jego ojciec pełnił na dworze królewskim odpowiedzialną funkcję), nie brakowało mu pieniędzy i świetnie się prezentował. Wysoki, szczupły, sprężysty, wyglądał, jakby zdjęto go z jednego z dostojnych portretów. Nigdy nie wkładał peruki, szczycił się pięknymi, naturalnymi lokami. Miał oprócz tego szlachetnie wysklepiony orli nos i żywe, inteligentne oczy. Wszystko, co robił, było gwałtowne i pełne uczucia. Jego rozległe stosunki przydawały się Bractwu, które jako nielegalne i nie całkiem zgodne z nauką Kościoła, narażało się na brzemienny w skutkach zarzut herezji.

Kawaler wierzył w Księgę bardzo żarliwie. Była dla niego migotliwą, mało konkretną obietnicą zmiany, przygody, objawienia wziętego wprost z katedralnych fresków. Była dla niego Graalem, Złotym Runem, Wodą Życia, a on sam stawał się dla niej zakutym w srebrną zbroję rycerzem. Chociaż obdzielał wszystkich naokoło swoim zapałem, nie przychodził na ważne spotkania.

O takich osobach jak kawaler d'Albi mawia się, że są nieprzewidywalne. Kierują się bowiem czystą intuicją, co może czasem wyglądać na zwykły kaprys. Intuicja może być przeczuciem ogólnego porządku, ale jako droga poznania szczególnie narażona jest na niedoskonałości. Wybucha i zaraz znika. Poddaje się wewnętrznym nastrojom i zewnętrznym wpływom. Miesza się z uprzedzeniami i zwykłym ludzkim lękiem. Rozpala się i gaśnie. Intuicja ma naturę ognia.

Oto ludzie, którzy mieli wyruszyć po Księgę. A sama Księga? Jej ziemska historia jest niezwykle tajemnicza i powikłana. Ginie w mroku prehistorii, kiedy ludzie nie umieli docenić jej wagi, potem, w starożytności, nic o niej nie słychać. Pojawia się znowu w 1378 roku, znajduje się wówczas w posiadaniu Arabów. W tym właśnie roku pewien młody Holender, pobierający w Damaszku nauki filozoficzne i magiczne, wykradł ją, lub może dostał od arabskiego nauczyciela. Ta pierwsza ewentualność jest oczywiście bardziej prawdopodobna. Któż bowiem przy zdrowych zmysłach oddałby najważniejszą Księgę świata młokosowi z wrogiej i pełnej konfliktów Europy? Chyba że takie były boskie plany. Może Bóg odwrócił swój utrzymujący wszelkie istnienie wzrok od wielkich cywilizacji Wschodu i spojrzał na Europę. Może w plastycznej inteligencji zamieszkujących ją niespokojnych lu-

dzi dostrzegł nową szansę dla świata – szansę zaprzęgnięcia metafizyki i filozofii do budowania materialnego bytu, połączenia ducha i materii w nową całość.

Ów Holender, znany tylko z inicjałów H.R.C., wracał do Europy przez ziemie należące wówczas do Arabów – przez północną Afrykę i Królestwo Granady. Okrążał Morze Śródziemne z wielką tajemnicą ukrytą pod materią przybrudzonego płaszcza, a kiedy dotarł do Pirenejów, jego odwaga załamała się. Pomyślał o tych wszystkich, którym Księga da nieskończoną władzę. Pomyślał o wojnach, niezgodzie, stosach i ludzkiej pysze. Pomyślał w końcu o zwątpieniu i niewierze, które jak mur wyrastają wszędzie tam, gdzie człowiek spotyka się z nienazwanym. Pomyślał o Kościele, który chce mieć monopol na prawdę, o papieżach i biskupach, o zaborczych władcach i spornych terenach pogranicza, o różnych językach ludzi. I wtedy właśnie opuściła go odwaga. Ukrył Księgę w miejscu, które wydawało mu się do tego stworzone: w wąwozie górskim, gdzie poszukujący odosobnienia mnisi zbudowali sobie niewielki klasztor. Im to powierzył Księgę, a sobie obiecał, że wróci po nią, gdy tylko przygotuje ludzi na jej przyjęcie. Wrócił więc do domu z pustymi rękoma, ale też z poczuciem posłannictwa. Wybrał siedmiu mądrych i godnych mężczyzn i wraz z nimi założył Bractwo, które miało się zająć reformowaniem świata i przygotowaniem go do mającej nadejść zmiany. Lecz w szczytne plany H.R.C. wmieszała się, jak to zwykle bywa, historia. Dwie wojny przetoczyły się jedna po drugiej, pojawili się inni reformatorzy, dla których najważniejszy był spór o Matkę Boską i Trójcę Świętą, a przede wszystkim o władzę. Zaczęły się krwawe represje, zapłonęły stosy. Ludzie, obserwując gwiazdy i badając właściwości materii, zbliżali się czasem o krok do prawdy, ale potem odwoływali wszystko w obliczu nowych izb tortur. H.R.C. zmarł w Haarlemie z twarzą zwarzoną zmarszczkami goryczy jak mrozem. Przed śmiercią drżącą ręką sporządził na kawałku papieru mapę gór, wśród których ukrył Księgę, ufając po dziecinnemu, że wkrótce uspokoi się wzburzone morze dziejów i ludzie zajmą się w końcu tym, co najważniejsze.

Umierając, poczuł przez chwilę ogarniające go ze wszech stron ciepło i wielką jasność. Podniósł wzrok i zobaczył wpatrzone w siebie ogromne, nieludzkie oczy Boga.

3

Po wyjściu kawalera d'Albiego Weronika usnęła i miała sen. Była w nim pustynia. Między wydmami, na rozgrzanym piasku, ustawiono stoły pełne jadła, różnych win i więdnących powoli kwiatów. Weronika należała do gości zaproszonych na wesele. Była, jak inni, wytwornie ubrana. Wysokie obcasy pantofli grzęzły w piasku, giemzowe rękawiczki paliły ręce. Reszta towarzystwa w niewielkich grupkach stała wokół stołu. Panowie w upierścienionych dłoniach trzymali kryształowe kielichy z winem koloru piasku, panie ukradkiem ocierały koronkowymi chusteczkami pot z czoła. Wszyscy na coś czekali. Kiedy Weronika próbowała się dowiedzieć na co, jeden z mężczyzn wskazał jej jakąś postać w bieli. Była to Panna Młoda. Stała trochę na uboczu i wpatrywała się z nadzieją w horyzont. „Stamtąd ma nadjechać Pan Młody – powiedział mężczyzna. – Ale bardzo się spóźnia". Weronika przyglądała się ze współczuciem Pannie Młodej i nagle z przerażeniem zauważyła, że jej biała suknia zaczyna żółknąć. Było w tym coś dobrze znanego i strasznego. „Zobacz, co się dzieje z jej suknią! – krzyknęła do mężczyzny. – Uciekajmy. On i tak nie przyjedzie". I wszyscy zaczęli biec przez rozgrzany piach, potykając się i wstając, nie dbając o kapelusze, pióra, koronki, kryształowe kieliszki. Weronika obejrzała się jeszcze raz i ujrzała Pannę Młodą w żółknącej sukience. Dziewczyna stała nieruchoma i samotna jak martwy posąg.

Obudziła się z rozhuśtanym sercem. Otworzyła oczy i ujrzała swój pokój pogrążony w mroku. Ciężkie czerwone zasłony wpuszczały smużki zamglonego światła. Na podłodze leżała jej suknia, w której wczoraj zabawiała podochocone towarzystwo. Weronika poczuła kwaśny smak w ustach i nagle zrobiło jej się niedobrze. Odwróciła się na wznak i wraz z tym ruchem sen o rozgrzanej pustyni odszedł w noc. Przeciągnęła bezwiednie ręką po brzuchu i uświadomiła sobie, że jest naga. Cała pościel, skotłowana i poplamiona czerwonym winem, leżała obok łóżka. Myślała teraz tylko

o tym, że ktoś, kto tu jeszcze niedawno był, teraz odszedł i znów jest sama. W pierwszym odruchu chciała wstać i zabrać się do czegoś, ale nie znalazła w ciele dość siły. Odwróciła się z powrotem na brzuch i zaraz znowu usnęła.

Dla Weroniki sny były tym samym, czym dla Gauche'a kasztanowe ludziki, a dla Markiza lustra – pozwalały jej wyjść poza siebie. Traktowała je jak rzecz bardzo zwyczajną, rodzaj autonomicznego nocnego życia, które tylko poszerza i dookreśla to, co się dzieje w dzień. Jeżeli sny były radosne, miłe i przyjemne, stanowiły dobrą zabawę, jeżeli zaś nabierały wagi i znaczenia, Weronika wykorzystywała je tak, jakby były listami z ostrzeżeniem od sił wyższych. Stawała się bardziej uważna i skupiona. Kiedy śniła jej się zmarła przed laty matka, wiedziała, że czekają ją jakieś kłopoty. Śniony co miesiąc sen o rozbijających się naczyniach był przypomnieniem, że nadchodzi okres niedyspozycji. Koty śniły jej się, kiedy szczególnie dotkliwie odczuwała samotność. Miała swój własny, intymny sennik.

Była przeświadczona, że inni śnią podobnie: całą noc, kolorowo i brzemiennie w skutki. Nie zdawała sobie sprawy, że została obdarzona zdolnością równie rzadką jak talent poetycki czy malarski. Należała do tej nielicznej grupy wybranych, którzy rozmawiają ze światem po swojemu i z nocy na noc zbliżają się do ogarnięcia całej jego złożoności.

Weronika miała dwadzieścia pięć lat i była kurtyzaną. To słowo mogłoby znaczyć wiele, ale dla niej znaczyło tylko tyle, że co jakiś czas kochała innego mężczyznę, który godził się ją utrzymywać. Czuła do swoich klientów – jakież to niezręczne słowo – coś na kształt miłości, która bierze się z przywiązania, trochę z szacunku, a trochę z tej magicznej chwili, kiedy oddając swoje, biorąc zaś czyjeś ciało, przeżywa się krótki, bolesny moment niebycia sobą. Weronika mogła sobie pozwolić na tę namiastkę uczucia. Nie była pierwszą lepszą dziewką z Marais, która obsługuje co noc kilku mężczyzn. Miała stałych, wysoko postawionych klientów i dopóki nie odchodzili szukać nowych wrażeń, starała się być im wierna. Może więc określenie „kurtyzana" w ogóle do niej nie pasowało? W każdych czasach wiele kobiet żyje tak, jak Weronika żyła w 1685 roku: pozwala się utrzymywać mężczyznom i płaci im za to ciałem, tą kruchą, wystawioną na działanie czasu, a jednak najmocniejszą walutą.

Żyła dzięki temu w jako takim komforcie. Miała małe mieszkanie przy jednej z modniejszych ulic Paryża, zmieniające się służące, które regularnie ją okradały, trochę sukien i biżuterii. Ostatni kochanek, kawaler d'Albi, kupił jej skromny powóz i co noc czynił gorące wyznania miłości. Sprawa z kawalerem wyglądała nieco inaczej niż z poprzednimi jej protektorami. Kawaler d'Albi postanowił ożenić się z Weroniką. Musiałby to zrobić potajemnie, z pewnością nie w Paryżu i bez zwyczajowych trzykrotnych zapowiedzi, jak nakazywał unoszący się wszędzie duch soboru trydenckiego. Istniało trzynaście przeciwwskazań do zawarcia małżeństwa: zbyt młody wiek, impotencja, inny związek, święcenia kapłańskie, inne wyznanie, uroczyste śluby, porwanie, zbrodnia, pokrewieństwo, duchowe i prawne, powinowactwo, karalność. Wprawdzie w przypadku związku Weroniki z kawalerem nie było żadnej z wymienionych przeszkód, istniała jednak inna, jeszcze bardziej oczywista i jeszcze trudniejsza do usunięcia, bo opierająca się na niepisanych prawach rozwarstwionego społeczeństwa: przepaść między stanami. Nie można jej było obejść. Pozostawało tylko rzucić się w nią z determinacją miłości i oczekiwać, że świat z czasem wybaczy mezalians. Kawaler d'Albi, planując potajemny ślub z kurtyzaną, musiał się liczyć z konsekwencjami. Mężczyzna, który poślubia kobietę tego rodzaju, przynosi hańbę swemu rodowi.

Podobno kobiety, zwłaszcza te lekkich obyczajów, są nad wyraz sprytne i wyrachowane. Zawracają w głowie swoim kochankom, mamiąc ich różnymi miłosnymi praktykami i obietnicami jeszcze wspanialszych doznań. Wiadomo, że w chwili ostatecznej rozkoszy czynią ukradkiem znak krzyża na plecach leżącego na nich mężczyzny i to sprawia, że potem nieszczęśnik nie może się już kochać z inną kobietą. Weronika liczyła tylko na swoją miłość. Była zbyt uczciwa, żeby wdawać się w jakieś czary. Przynajmniej nie wobec kawalera d'Albiego. Zakochiwała się szybko i od razu wpadała w miłość jak do studni. Widziała świat poprzez miłość. To, że brała za nią pieniądze, nie miało nic do rzeczy. Kochała swojego kawalera, ponieważ był piękny, bogaty i cieszył się poważaniem.

Około południa Weronika obudziła się na dobre. Ninon przyniosła jej filiżankę czekolady.

– Coś ci mówił, Ninon?

– W ogóle nie słyszałam, jak wychodził, pani.

– Dlaczego wyszedł tak wcześnie? Dlaczego się nie pożegnał? – zastanawiała się Weronika.

– Nie chcę pani niepokoić, ale niedawno widziano pana na Pont Neuf z jakimiś dwiema… – Ninon chrząknęła znacząco; nie potrafiła ukryć złośliwego uśmiechu.

– Nie twoja sprawa – ucięła Weronika.

Wstała i podeszła do lustra. Rozsypany na podłodze puder znaczył jej ślady. Lustro odbiło nabrzmiałe wargi i zapuchnięte od snu oczy. Weronika nie była z siebie zadowolona. Podobno jej przodkowie pochodzili ze Szkocji i stąd wzięły się jej piękne rude włosy i jasna, prawie biała karnacja, podkreślona delikatnymi piegami. Miała duże, pełne ciało, ciężkie piersi i obfite pośladki. Ninon zaczęła upinać jej włosy w modny, bardzo wysoki kok.

Weronika patrzyła na swoje ciało z rezerwą. Czy nie zaczęło się już widomie starzeć? Czy uda nie są zbyt tłuste? Kiedy przyglądała się sobie, przez głowę przemknął jej obraz szmacianej lalki, którą bawiła się w dzieciństwie. Przybrudzony korpusik wypchany pakułami, z prymitywnie doszytymi rękami, nogami i głową. Szary, wymięty tłumoczek. Takimi lalkami bawiły się wszystkie biedne dziewczynki z nadrzecznych dzielnic. Miłość ich właścicielek zmieniała je jednak w najpiękniejsze królewny.

Istnieje szczególny rodzaj małych dziewczynek, z których wyrastają potem szczególnego rodzaju kobiety. Takie jak Weronika. Są to najczęściej córki pierworodne, po których Bóg dopiero zsyła rodzicom chłopca. Wystarczy, żeby urodził się jeden chłopiec, i już ojciec i matka oddychają z ulgą. Bóg im wreszcie pobłogosławił. Jeżeli niemowlę jest niedoskonałą formą ludzką, to niemowlę płci żeńskiej jest niedoskonałą formą niemowlęcia, jest czymś powszednim jak sześć dni w tygodniu. Kiedy rodzi się chłopiec – jest jak niedziela. Małe dziewczynki, którym rodzi się braciszek, rosną w przekonaniu, że one same są tylko wstępem, uwerturą do innego, ważniejszego istnienia, ponieważ pojawienie się brata od razu usuwa je w cień. To właśnie z niego rodzice są dumni, patrzą szczęśliwi, jak zaczyna chodzić i mówić, kiedy ciągnie za rude warkoczyki starszą siostrę, nazywają to zawadiactwem, odwagą i w końcu męskością. I odtąd starszym siostrom męskość kojarzy się z jakimś rodzajem dokuczliwości przy cichej aprobacie świata.

Starsze siostry pragną zgłębić tajemnicę usunięcia ich z uprzywilejowanej pozycji. Szukają przyczyn w tym, co jest im najbliższe – we własnym ciele. Badają swoje ciało uważnie, dotykają płaskich jeszcze piersi, brzucha, chudych ud. Badają twarz, ręce, oczy, zęby, włosy i nie znajdują piętna. A jednak czują, że ich ciału brakuje doskonałości i skończoności. W porównaniu z ciałami braci własne ciała wydają im się zasklepione w sobie, cofnięte, niepełne. Nawet później, kiedy zaczynają im rosnąć piersi, boleśnie nabrzmiałe sutki są tylko marną namiastką siły.

Co można począć z tak niedoskonałym ciałem? Z ciałem gorszym jakby z definicji? Z ciałem, które z wiekiem tylko powiększa jeszcze swoją odmienność, tyjąc i zaokrąglając się w miejscach, które winny pozostać twarde i płaskie? Z ciałem, którego nie można się pozbyć, choć może by mu się to należało?

Trzeba temu ciału nadać wartość. Trzeba je myć, nacierać pachnidłami, głaskać i klepać, żeby było jędrne. Trzeba je zdobić wymyślnymi fryzurami, które wieczorem muszą być i tak rozczesane. Trzeba przydawać twarzy bladości lub rumieńców, w zależności od mody. Trzeba od rana do wieczora zajmować się swoim ciałem. W końcu odkryje się w tym swoistą przyjemność i przed lustrem powie się sobie nieśmiało: jestem piękna, moje ciało jest piękne, moje ciało to ja.

Starsze siostry znajdują więc nagle przewrotną rekompensatę za wszelkie zaniedbania czy odrzucenia w przeszłości. Ich ciało staje się jedynym odszkodowaniem za wszystkie nieszczęścia. Staje się też obiektem ich miłości i przywiązania. To, czego kiedyś nie dostały, ofiarowują sobie teraz same. Same sprowadzają się do ciała i uzależniają od ciała. Nie tyją, nie siwieją, nie starzeją się długo, wiedząc, że tyle są warte, ile ich ciało. Ukochanego mężczyznę obdarowują tym, co dla nich samych ma największą wartość – własnym ciałem. Oddają się na ołtarzu swojego ciała i od kochanka oczekują entuzjastycznego przyjęcia tego daru.

Mężczyźni jednak biegli są w tworzeniu różnych podziałów. Oddzielają to, co starszym siostrom wydaje się jednorodne i niepodzielne: ciało od uczuć, od rozumu, od duszy. Tworzą hierarchie ważności. Dlatego mężczyźni, biorąc ciało starszych sióstr, nazywają to pożądaniem i miłością zmysłową, cielesną. Większość z nich od tego punktu zaczyna te swoje pokrętne, niesprecyzowane poszukiwania.

Weronika włożyła ciemnoniebieską suknię i na koniec przykleiła w okolicy ust aksamitną muszkę. Kiedy Ninon wyszła, wyjęła z zamkniętej na kluczyk szkatuły całą swoją biżuterię i trochę pieniędzy. Nie było tego wiele. Regularnie pomagała rodzicom i młodszemu bratu, który z oczka w głowie rodziny wyrósł na łotrzyka z nadbrzeżnych dzielnic. Weronika wybierała się do Saint-Eustache, do bankiera nazwiskiem Peletier, żeby złożyć u niego kosztowności i wykupić podróżne weksle. Wprawdzie jako przyszła żona kogoś takiego jak kawaler d'Albi nie powinna była się troszczyć o pieniądze, ale wolała mieć trochę swoich. Choćby na prezenty.

W ostatnich dniach sierpnia Paryż przybrał wygląd zmęczonego miasta. Błoto już dawno zmieniło się w wyschnięty kurz, który pokrywał wszystko szarawą patyną. Zamożna dzielnica Saint-Eustache prezentowała się nieco lepiej. Z pewnością ożywiał ją blask pieniędzy, tak zapobiegliwie tu gromadzonych i hołubionych.

– Szanowny pan d'Albi wspominał, że wybiera się w interesach do Hiszpanii, kiedy był tu u mnie przedwczoraj. Jak rozumiem, będzie mu pani towarzyszyć. – Peletier miał wyraźne trudności ze znalezieniem odpowiedniego tonu w rozmowie z kochanką ustosunkowanego kawalera.

– Owszem – powiedziała Weronika wymijająco, starając się za wszelką cenę zachowywać jak dama.

– Podróż do Hiszpanii to przejażdżka. Hiszpania jest teraz naszym sojusznikiem. Proponuję pani weksle pod zastaw. Stosunek jeden do dwóch, i to tylko dlatego, że jest pani przyjaciółką kawalera. W podróży do Hiszpanii nie ma żadnego ryzyka. Co innego na przykład Rosja. Pewien mój znajomy, szlachcic oczywiście, wybrał się ostatnio do Rosji i weksle miał w stosunku jeden do dziesięciu! Tak, tak, to już poważne przedsięwzięcie. Z Rosji, kochana pani, można nie wrócić. Ostry klimat i jedzenie podłej jakości, oto przyczyny.

Mówiąc to, podpisywał weksle. Weronika widziała jego piegowatą, wyłysiałą czaszkę, która niczym dziwny owoc wyrastała z bieli nakrochmalonego kołnierza. Wyjęła sakiewkę z pieniędzmi. Bankier sprawnie ułożył luidory w dwie równe kupki, a potem znienacka popatrzył jej prosto w oczy.

– To będzie na pewno cudowna podróż. Życzę przyjemnych wrażeń. Proszę mnie polecić swoim przyjaciółkom – dodał, zsuwając pieniądze do szuflady.

Weronika lekko skłoniła głowę i wyszła. Czuła niesmak. Zamrugała oczami, żeby zetrzeć z nich obraz zalanej słońcem dzielnicy Saint-Eustache, Paryża, nadrzecznych uliczek, gdzie chodziła odwiedzać brata, obraz swojego mieszkania, nadąsanej wiecznie Ninon, własnej umalowanej twarzy w lustrze, rudych włosów.

Wieczorem była już spakowana i przygotowana do podróży. Na środku pokoju stały dwa wypełnione po brzegi kufry. Może wzięła za dużo rzeczy? A na łóżku leżała jeszcze jej biała suknia, uszyta specjalnie na ślub. Weronika bała się, że w kufrze wygniotą się przez noc delikatne koronki i misternie udrapowane przy staniku kwiatki z różowego jedwabiu.

Ninon, sarkając, przygotowywała ziołową farbę do włosów.

– Kto to widział farbować tak piękne włosy? Wiele kobiet chciałoby mieć kasztanowe włosy, a pani je niszczy.

– Nie są kasztanowe. Są rude.

– Poza tym ciemny kolor postarza, nie wie pani o tym?

Weronika nie myślała teraz o włosach. Myśli miała całkowicie zajęte jutrzejszym wyjazdem. Kawaler powinien jeszcze dzisiaj tu przyjść, żeby pocałunkami potwierdzić ich plany. Trzeba się też dobrze przygotować, bo przecież to nie jest zwyczajna podróż… Trzeba zapłacić Ninon, załatwić sprawę mieszkania. Może kawaler poszedł do swoich rodziców, może odważy się im wreszcie powiedzieć? Boże, a jeżeli zapomniał? W ich związku to Weronika musiała pilnować terminów. Mieli wyruszyć spod oberży na przedmieściu Saint-Antoine. Postanowiła, że będzie tam niezależnie od tego, co się zdarzy.

Włosy wyschły i Weronika kazała zapalić drugi świecznik. Trzymając teraz oba na wysokości twarzy, podeszła do lustra. Włosy w świetle świec wyglądały na kruczoczarne, ale gdy zbliżyła twarz do zwierciadła, zobaczyła, że mają kolor zeszłorocznych kasztanów.

Kiedy kobieta zmienia kolor włosów, to znak, że zaczyna się dla niej nowa epoka.

4

Do spotkania ludzi, którzy mieli wyruszyć po Księgę, doszło pierwszego września w oberży na przedmieściu Saint-Antoine pod Paryżem. Oberża nazywała się Pod Cesarzem, choć pewnie nikt z podróżnych, a może nawet sam właściciel, nie pamiętał już, dlaczego ją tak nazwano. Była to na wpół drewniana, na wpół murowana chałupa z gankiem, na którym stały dwa stoły. Pod jedną ze ścian ułożono stos pustych beczek po winie i to właśnie między nimi a wielkim, rozłożystym kasztanem zatrzymał się powóz Weroniki. Z podwórka widać było rogatki miasta: rozrzucone chaotycznie drewniane chaty, nieużywany od dawna pręgierz i kościół, który być może zaliczał się już do kościołów paryskich. Słońce, rosnące w siłę na wschodzie horyzontu, rzucało ostre, wciąż jeszcze letnie cienie, ale wszystko i tak pogrążało się powoli w wyblakłej szarości końca lata. Powietrze pachniało krwawnikiem, wyschniętą ziemią i wypoczętymi po nocy końmi.

Weronika przyjechała swoim powozem, który dostała od kawalera. Teraz, czekając na niego w cieniu kasztana, z roztargnieniem przyglądała się baraszkującemu z psem chłopcu. Była zbyt podekscytowana, żeby móc się na czymkolwiek skupić. Jej umysł zajęty był tworzeniem obrazów tego, co ma się dopiero zdarzyć. W każdym z nich widziała siebie z zewnątrz, jak to czasem bywa w snach: jesteśmy sobą, a jednak nasza tożsamość jest umowna i chwiejna – tamten naprzeciwko mnie to też ja. Widziała siebie jako czarnowłosą, młodą dziewczynę. Ta dziewczyna czeka na kochanka, który wkrótce będzie jej mężem. Jest podniecona, ma rumieńce na twarzy. Jego powóz wreszcie nadjeżdża, pozłacany i lśniący; należy do ojca kawalera, który jest bardzo ważną osobą. Z powozu wysiada, nie, raczej wyskakuje kawaler d'Albi w ciemnym kaftanie z wyłożonym śnieżnobiałym kołnierzem. Jego twarz jest pełna zachwytu, zapamiętanego przez Weronikę ze wspólnych nocy. Wargi są chłodne i czułe. Całuje jej dłoń, potem usta. Przechodzą do jego powozu, ruszają. Kufry. Trzeba jeszcze przenieść ku-

fry, gdzie jest przecież ślubna suknia. Obraz jakby się cofa i oba kufry przywiązuje się teraz do karety kawalera. Podróż jest długa, ale obrazy tworzone przez skierowany do wewnątrz umysł Weroniki przepływają z szybkością rwącej wody. Weronika widzi wiele nocy spędzonych w gościnnych pokojach przydrożnych karczm, nocy, będących konsekwencją istnienia dwóch pożądających się ciał. Widzi też dni napęczniałe od trudnych do wyobrażenia krajobrazów, które jednak muszą pozostać jedynie umowne, Weronika bowiem nie zna innych pejzaży niż ulice Paryża. W końcu widzi ślub: schody jakiegoś hiszpańskiego kościoła, biała suknia zdobiona atłasowymi różyczkami. Do tego punktu dociera jej wyobraźnia i tutaj, spłoszona rosnącym podnieceniem, gubi się w szczegółach, nie mogąc już ruszyć w czasie do przodu. Weronika, czekając przy oberży Pod Cesarzem, odbywa tę podróż chaotycznie i wielokrotnie. Od strony Paryża nadjeżdża wreszcie powóz. Jest czarny i niezgrabny. Wysiada z niego dwóch mężczyzn i żaden nie jest kawalerem d'Albim, dobrze urodzonym kochankiem kurtyzany Weroniki.

Markiz i pan de Berle zwrócili uwagę na siedzącą w otwartym lekkim powozie kobietę. Ukłonili jej się dyskretnie, idąc do oberży, gdzie mieli się spotkać z kawalerem d'Albim. Markizowi na kilka chwil pozostał na powierzchni siatkówki obraz bogaty w niezwykłe barwy: kobieta o brązowych włosach wymykających się spod strojnie przybranego kapelusza koloru miodu, siedząca w czekoladowej sukni w ciemnozielonym cieniu kasztana. Mógłby to być obraz, który wiesza się na ścianie w jadalni albo przy schodach, obraz niewymagający wpatrywania się weń, będący tylko barwnym drobiazgiem, który poprawia nastrój.

Kawalera nie było, co mogło znaczyć, że albo się spóźni, albo wcale nie przyjedzie. Obaj, i Markiz, i de Berle, pomyśleli o tej drugiej możliwości, zaraz gdy tylko spostrzegli samotną kobietę w powozie, puste podwórko i leniwie opartego o balustradkę ganku oberżystę. Była to jednak tylko myśl, której nie da się odróżnić od obawy i która przemyka przez głowę i ginie w natłoku innych wrażeń. Potem, po dwóch kwadransach czekania, Markiz przypomniał sobie ową myśl, że kawaler już się nie zjawi, że w perfekcyjnie przez niego zaplanowanym ciągu zdarzeń ukażą się rysy tego nieprzewidywalnego, które zawsze wiązało się z osobą kawalera. Pan de Berle dość jawnie jął manifestować swoją złość. Nigdy nie mógł zrozumieć

sposobu życia, czy też może rodzaju energii, która towarzyszyła d'Albiemu od zawsze i wybuchała naokoło szalonymi fajerwerkami. Godzinne już spóźnienie kawalera dawało się wytłumaczyć tylko powodzią, pożarem albo huraganem.

Dzień jednakże był piękny. Ciepły podmuch wiatru przyniósł zapach gotowanego jedzenia i mężczyźni poczuli się głodni. Usiedli przy stole na ganku, tak żeby przed sobą mieć widok na drogę z Paryża. Był niewielki ruch: jakiś sunący powoli chłopski wóz, grupa robotników sezonowych, stara, kulejąca kobieta z koszem na plecach. Niebo nad Paryżem miało bladoniebieski kolor przeszłości. Markiz czuł, że cokolwiek by się stało, nie można już tam wrócić. Podróż się zaczęła i teraz liczył się tylko cel. Nie były ważne ludzkie plany i oczekiwania i nieważni byli ludzie. W pewnym sensie nieważne było nawet, że w ogóle k t o k o l w i e k jedzie. Podróż istniała już w umyśle Markiza i dlatego trwała. A zatem Markiz nie niepokoił się tak bardzo jak de Berle. Wyobrażał sobie, że po prostu zjedzą spóźnione śniadanie i ruszą dalej, nie przejmując się zbytnio nieobecnością kawalera. W tym duchu rozmawiał podczas posiłku z panem de Berle'em, ale ten, z zasady przeciwny temu, co wykracza poza przyjęty plan, chciał wracać. De Berle argumentował tę decyzję w sposób dla siebie dość charakterystyczny: że może to być ostrzeżenie, znak, przestroga. Markiz popatrzył na niego przeciągle, gdy jednak za chwilę okazało się, że ich stangret słania się na nogach i wymiotuje, zaniepokoił się. De Berle, grzebiąc w torbach w poszukiwaniu suszonej mięty i proszku węglowego, nabrał pewności, że oto otrzymali drugie ostrzeżenie. Można by przecież wrócić do Paryża, dowiedzieć się, co się stało z kawalerem, nająć nowego woźnicę i jechać jutro, pojutrze, wtedy kiedy zacznie działać nowy p l a n.

Markiz słuchał pana de Berle'a nieuważnie, bo przyglądał się teraz kobiecie, która właśnie wysiadła z powozu i poprosiła oberżystę o kubek wody. Wachlowała się nerwowo i miała wypieki na twarzy. Markiza urzekła pewna płochliwość jej ruchów i zarazem konkretność ciała, które wydobyte teraz z cienia przez ostre promienie słońca, wydawało się większe i mocniejsze. Patrzyła co chwila na drogę do Paryża i Markiz miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach narastającą panikę. Nie było to tak zupełnie zwyczajne. Młoda, dobrze ubrana kobieta, paryżanka (Dlaczego jej nie

znam? – pomyślał Markiz), samotnie wyczekująca kogoś na przedmieściu... Dopiero teraz, doznawszy nagłego olśnienia, połączył te wszystkie fakty w jedno i zrozumiał, że ma przed sobą słynną kochankę kawalera, o której ten opowiadał wszem i wobec, prosząc o szczególną dyskrecję. Miał się podobno z nią żenić, co wszyscy jego przyjaciele uznali za kolejne posunięcie w niekończącej się grze z ojcem. Markiz poczuł nagły przypływ sympatii dla przybyłej. Pocierał dłonią srebrną gałkę swojej laski, wahając się, czy nie podejść do kobiety i nie zacząć rozmowy. Ona zauważyła, że na nią patrzy, i ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Markiz uśmiechnął się i skłonił lekko. Speszona, odwzajemniła ukłon skinieniem głowy i patrząc w ziemię, wróciła do powozu.

Przez długi czas nic się nie działo. Upał rósł z minuty na minutę i wydawało się, że nic nie jest w stanie zburzyć panującego bezruchu. W pewnej chwili jednak na podwórku oberży Pod Cesarzem pojawił się jeździec. Przygalopował z Paryża na zziajanym koniu tak szybko, że zauważyli go dopiero, kiedy mijał bramę. Podjechał prosto do powozu Weroniki, żeby podać jej list. Był to spocony chłopiec w mundurze; z pewnością nie miał jeszcze dwudziestu lat. Nie czekając, aż Weronika skończy czytać, podszedł do Markiza i de Berle'a, podał im kartkę od kawalera i powiedział, że d'Albi rano się pojedynkował i został przyłapany na gorącym uczynku. Markiz wiedział, że Król Słońce karze pojedynkowanie się wśród szlachty z całą surowością i nie dba o to, jak wysoko postawieni są ludzie załatwiający w ten sposób swoje honorowe sprawy. Kompromitujący proces, skandal, nawet banicja. Dlatego Markiz zrozumiał natychmiast, że kawaler d'Albi nie zjawi się ani dziś, ani w ciągu najbliższych dni. Kawaler liczył jednak, jak pisał, na wyjątkowe szczęście i na skuteczność interwencji swojego ojca. Prosił o zaopiekowanie się „panną Weroniką" i poczekanie na niego w Châteauroux u Chevillona, gdzie i tak planowano dłuższy postój. Był pewny, że pojawi się tam przed dziesiątym września. Co pisał kawaler w liście do Weroniki, Markiz nie wiedział. Siedziała nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Wracamy – powiedział spokojnie de Berle.

To dziwne, ale Markiz wbrew własnemu rozsądkowi wierzył, że d'Albiemu się uda. Bywało tak już wielokrotnie, ponieważ d'Albi był urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Bóg kochał kawalera i okazywał mu to. Tworzył wokół

niego rodzaj bezpiecznej bańki i sprawiał, że wszelkie kłopoty i przeciwności losu ledwie go muskały. Kawaler miał szczęście w kartach i u kobiet, wygrywał zakłady i w jakiś niewytłumaczalny sposób unikał popadnięcia w długi. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Markiz musiał jeszcze przekonać o tym de Berle'a, traktując całą sprawę z kawalerem jako drobny, nieistotny szczegół, lekką modyfikację planu. Pojadą tylko do Châteauroux, nigdzie dalej. Jeżeli kawaler się nie zjawi, wrócą. Tę kobietę zabiorą ze sobą jedynie ze względu na jego prośbę, uważając ją bardziej za bagaż niż za żywą osobę. Przecież to nie jest dama. A zresztą Chevillon na nich czeka!

De Berle zgodził się w końcu. Czy nie tak zaczyna się większość podróży? Że już wykupione weksle podróżne, spakowane rzeczy, wysłane wiadomości? Gdyby wiedział o tym pojedynku wcześniej, wtedy gdy wstawał z łóżka, zostawiając w nim swoją ciężarną żonę, albo gdy całował śpiące dzieci, nigdy nie wyszedłby z domu. Może rzeczywiście, zgodnie ze słowami Markiza, wszystko dzieje się tak, jak ma się dziać? Ale czy wtedy mamy na cokolwiek jakiś wpływ? – pomyślał z lękiem.

Zgodziła się też Weronika. Zgodziła się z rozpaczy i rozczarowania, które odebrały jej zdolność do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Ten uprzejmy mężczyzna w zielonym surducie ujął ją ciepłym zainteresowaniem, brakiem pytań i perspektywą opieki. A przede wszystkim był przyjacielem jej ukochanego kawalera, co dawało mu nad nią swego rodzaju władzę.

Kiedy przyniesiono oba kufry, Weronika odprawiła swój powóz z powrotem do Paryża. Spojrzała jeszcze raz w stronę miasta i upewniła się, że robi dobrze. Nie mogła już do niego wrócić, nawet jeżeli wciąż jeszcze pozostawał tam jej kochanek. Powrót oznaczałby przebudzenie się ze snu w rzeczywistości pustej i strasznej.

Był jeszcze problem stangreta. Ten, z którym przyjechali, był najwyraźniej chory; zdecydowano się odesłać go do domu powozem Weroniki. Wprawdzie Markiz chciał powozić sam, ale pan de Berle nie chciał za nic w świecie zostać w powozie tylko z „tą kobietą". Zastanawiali się, co począć, i wtedy oberżysta zaproponował im długowłosego chłopca, któremu wcześniej przyglądała się Weronika. Zachwalał jego świetną znajomość koni i małe wymagania. Kiedy Markiz zapytał go o imię, a chłopak nie odpowiedział, oberżysta dodał śpiesznie, że jest on niemową. Ale po co woźnica ma mówić? Można traktować to nawet jako zaletę: nie będzie mógł ni-

komu opowiedzieć o tym, co usłyszy, pomyślał Markiz. Chłopiec przenosił przejęty wzrok z twarzy na twarz, chcąc nadążyć za rozmową. Nie bardzo rozumiał, dokąd i po co ma jechać. Wiedział tylko, że każą mu się zająć końmi, a nagrodą będzie wyjazd z tego miejsca, gdzie utknął w swoich wędrówkach. Podobały mu się konie i elegancka pani. Podobał mu się także widok z kozła – o wiele rozleglejszy niż z ziemi.

W końcu Markiz klepnął go z sympatią w ramię i kazał biec po rzeczy.

– Należy się osiem sous – przypomniał oberżysta. – A na chłopaka wołamy Gauche.

Czterokonny czarny powóz ruszył na południe, wzbijając w gorące powietrze tumany kurzu. Chłopiec na koźle zdjął kubrak i wystawił do słońca chudą pierś. Za powozem, żółty jak kurz na drodze, biegł jego pies.

5

Każda podróż zaczyna się od stanu, który można by określić jako zachłyśnięcie się przestrzenią. Ciało ledwie zauważalnie drży z podniecenia, w głowie się kręci od mijanych krajobrazów. Dopiero po dłuższej chwili człowiek wyrwany dobrowolnie lub siłą okoliczności z miejsca, w którym żył, wraca do tego, co zostawił za sobą. Ludzie identyfikują się z miejscem, gdzie zapuszczają korzenie, jakby życie bez tego wrastania w ziemię było tylko namiastką, czymś bez znaczenia. Jednakże wraz z każdą milą przeszłość, zmaterializowana w konkretne miejsca, blednie i coraz częściej zamazywana bywa tym, co rozpościera się przed oczami. Droga z koleinami wyżłobionymi kołami wozów, przydrożne studnie, obcy ludzie, kapliczki świętych ustawione na rozstajach, wsie widziane z oddali, ogromna przestrzeń rozpięta na trzech wymiarach: ziemi, horyzontu i nieba.

Na początku podróży nie tyle ważny jest cel, ile samo przesuwanie się w przestrzeni i czasie. Myśl ma wtedy tyle miejsca, że może leniwie płynąć, a wzrok prostuje się na rozległym krajobrazie jak płatki rozkwitającego maku. Krawędzie niepokojów i lęków stają się łagodniejsze, jakby umowne. Świat widziany z poruszającego się punktu wygląda na bardziej harmonijny i ostateczny w swym kształcie.

Podróż uczy także nieprzywiązywania się do szczegółu. To właśnie cecha, szczegół jest sednem bezruchu, bo istota rzeczy ciągle się zmienia. Sytuacje z przeszłości oglądane oczami podróżnego często odkrywają nowe znaczenia. Podróżujący ludzie stają się mądrzejsi nie tylko dlatego, że wciąż doświadczają nowych widoków i zdarzeń, ale przez to, że sami dla siebie stają się mijanym pejzażem, na który można popatrzeć z kojącego dystansu. Dostrzega się wtedy więcej.

Jazda czarnym, zakrytym powozem w czasie upału może także stać się piekłem. Gorąco zawisa nieruchomo i pokrywa odsłoniętą skórę rąk i twarzy warstewką śliskiego potu. Małe okienka powozu i niewielka prędkość na wyboistej drodze nie dają upragnionego przewiewu.

Rozmowa nie kleiła się, pewnie z powodu duchoty i upału. Obaj mężczyźni przyglądali się Weronice ukradkiem. Byliby pewnie zdjęli ze spoconych głów peruki, gdyby nie ta kobieta, podrzucona im przez zbieg okoliczności.

Weronice nie przeszkadzało, że jest obserwowana. Była przyzwyczajona do takich spojrzeń. Patrzyła przez okno, gorączkowo rozmyślając o kochanku. Myśli powtarzały się, wracały te same wspomnienia, aż w końcu rozmyły się w nieostry strumień obrazów i Weronika usnęła. Po drugiej stronie obrazy stały się chaotyczne i męczące.

Śniła, że zapomniała imienia jakiejś niezwykle dla siebie ważnej osoby. Ta osoba stała gdzieś blisko, za drzwiami, za ścianą, w oczekiwaniu, aż wypowiedziane imię pozwoli jej wejść i zostać. Weronika z trudem przypominała sobie imiona wszystkich znanych jej mężczyzn, lecz żadne z nich nie było właśnie tym. Imię ojca, brata, znajomego z ulicy, pierwszego kochanka, imiona dziesiątków przyjaciół. Szukała chociażby pierwszej litery, chciała ją z czymś skojarzyć, ale jej pamięć zacięła się jak klucz w zardzewiałym zamku. Czas płynął i pogarszał sytuację. Nie mogła nic zrobić.

Wydawało jej się, że koszmar trwa długo, ale kiedy oprzytomniała, stwierdziła, że sen trwał zaledwie kilka minut. Zaraz rozmył się i wsiąkł gdzieś pod powieki. Gdyby ją teraz zapytano, co jej się śniło, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Tymczasem za oknem skończyło się wszystko, co mogło przypominać Paryż. Zaraz za rogatkami stolicy zaczynała się prowincja i wszystko zdawało się mniejsze, gorsze, bardziej zaniedbane. Zaraz też zmienił się język. Spotkany podczas kilkuminutowego postoju chłop mówił jakimś śmiesznym, zniekształconym dialektem. Francuski obowiązywał tylko w Paryżu.

Postanowiono nie zatrzymywać się po drodze na dłużej i jechać prosto do Angerville. Powóz przystanął jeszcze tylko raz i chłopiec woźnica wziął na kozioł zmęczonego psa.

– Co sądzicie o tym chłopcu? – zapytał Markiz, kiedy ruszyli dalej.

– Nie wygląda na szczególnie rozgarniętego – odpowiedział de Berle.

– Trzeba koniecznie wynająć woźnicę w Angerville – postanowił Markiz.

Markiz czuł się odpowiedzialny za tę wyprawę. Przygotował się do niej dużo wcześniej, wiedząc, że w sprawach organizacyjnych nie może liczyć ani na pozbawionego wyobraźni de Berle'a, ani na nieprzewidywalnego w swych poczynaniach kawalera (czy nie miał racji?), ani też na zniedołężniałego Chevillona. Z radością zresztą wziął na siebie ten obowiązek. Lubił robić zarówno konkretne rzeczy, jak i układać plany, które potem z żelazną konsekwencją realizował punkt po punkcie. Teraz jednak był zbity z tropu. Od początku nic nie układało się tak, jak powinno. Pojedynek kawalera, nieoczekiwany prezent w postaci jego utrzymanki. Potem woźnica, który nagle ciężko się rozchorowuje, i w jego zastępstwie nierozgarnięty chłopiec niemowa. Markiz jednak nie byłby tym, kim się stał, gdyby oprócz umiejętności planowania zdarzeń i układania ich w konsekwentne, logiczne ciągi nie posiadał plastycznego zmysłu podporządkowywania się zdarzeniom, które planował ktoś potężniejszy od niego.

– Jeżeli coś się wydarza samo z siebie, z przypadku, to jest to wyraz boskiej woli – powiedział półgłosem do de Berle'a, ale de Berle był innego zdania.

– Można na to patrzeć jak na ostrzeżenie. Każda zmiana planów już na początku jest właśnie najniebezpieczniejsza. To tak jak w geometrii, odchylenie od prostej, niewielkie na początku, później staje się już nie do naprawienia.

De Berle'a opadły złe przeczucia. Myślał o twardym, gładkim i już naprawdę dużym brzuchu żony i o tym, że teraz mogą być jakieś komplikacje. Myślał o pozostawionych interesach. Myślał o znakach, które zawsze dawał mu Bóg i które jak mu się wydawało, nauczył się rozpoznawać. Był na siebie zły, że myśli w ten sposób, bo jeszcze nie przyznał się sam przed sobą, że nie chce jechać dalej, że od początku uważał ten pomysł za szalony. Czy nie wystarczy, że finansuje tę wyprawę? Teraz szukał pretekstów, by wytłumaczyć się przed sobą z nagłego odpływu entuzjazmu.

Przypomniał sobie swoje dzieci: gromadka istnień, w których mieszały się cechy jego samego i jego żony. A teraz urodzi się jeszcze jedno. Jakie? Słońce i Wenus będzie miało w znaku Panny. To dobry znak, pracowity i konkretny. Jeżeli przyjdzie na świat chłopiec, można liczyć na pomoc

w interesach. Jeżeli dziewczynka, zostanie w przyszłości świetną panią domu. Skromną, pracowitą, może trochę przyziemną, ale kobiecie nie jest potrzebne bujanie w obłokach. Gdyby tak spłodzić tyle dzieci, myślał, żeby każde z nich miało Słońce w innym znaku, wtedy w domu byłby cały zodiak. Można by badać różne między nimi zależności i stanowiłoby to z pewnością doskonały materiał do doświadczeń. Siedzieć w chłodnej bibliotece, pić sok z pomarańczy, zapisywać swoje obserwacje. De Berle znalazł się myślami w domu i krążył teraz po jego pomieszczeniach, czując prawdziwy wstręt do trzęsącej się w upale karety.

– Czy nie uważasz, że za dużo nieprzewidywalnego jak na początek? – zapytał Markiza szeptem, bo siedząca przy nim „ta kobieta" (tak o niej myślał) znów zasypiała. – Moglibyśmy zostać w Paryżu... poczekać...

Markiz uśmiechnął się i rozparł wygodnie na siedzeniu. Ruchem głowy wskazał słońce, które niby złoty pająk zaczynało powoli opuszczać się ku horyzontowi.

– Tak się cieszę, że wreszcie jedziemy – rzekł, jakby w ogóle nie słyszał tego, co powiedział przyjaciel.

Szkoda, że nie wiadomo, w jaki sposób działa ten świat. Czy rzeczy wynikają jedna z drugiej według jakichś trudnych do ogarnięcia prawideł? Czy są jak mniejsze pudełka, które wyjmuje się z większych, a te z jeszcze większych? Czy rządzą nimi siły zależne tylko od boskiej, nieprzewidywalnej dla człowieka woli? A może nie ma między nimi związku, może dzieją się, jak chcą, przypadkowo i chaotycznie, przecząc same sobie i łudząc ludzi swą pozorną logiką?

Tylko dzieci, głupcy i czarodzieje wiedzą, jak jest naprawdę. Czują, że Bóg ma niewiele wspólnego ze światem, a jedyne, co w tym świecie bezpośrednio pochodzi od Boga – to sens istnienia każdej rzeczy i nasze marzenie, żeby odkryć, co łączy je w łańcuchy zdarzeń. Każda rzecz, każde zjawisko ma swoje znaczenie, które jest jakby jego istotą. Kiedy coś się wydarza, wypływa zawsze z czegoś, co ma podobne znaczenie. Przypomina to grę w domino. Do kostki z jednym oczkiem przypasowuje się także kostkę z jednym oczkiem, która ma na drugiej połowie inną liczbę oczek. I do tej liczby trzeba dobrać następną kostkę z taką samą wartością. I znowu jest

kostka, a po niej przychodzi następna. Rzeczywistość została skonstruowana na zasadzie domina. Chodzi tylko o to, żeby poznać liczby oczek na kostkach, poznać znaczenie wydarzeń. W tym znaczeniu zawarta jest Moc.

Markiz sądził, że sposobem na poznanie znaczenia są Magia i Wtajemniczenie. Był blisko. Weronika sądziła, że znaczeniami, które nadają wszystkiemu sens, są Miłość i Sny. Była blisko. Gauche wierzył w Słowo, którego nigdy nie udało mu się wypowiedzieć, i też był blisko. De Berle zaś przeczuwał, że znaczenie zawiera się w samej istocie rzeczy, że rzeczy znaczą dokładnie to, czym są. Niezbyt to skomplikowana filozofia, ale i on był blisko.

6

Późnym wieczorem dojechali do Angerville i w pierwszej lepszej oberży zatrzymali się na nocleg. Kolacja nie była wystawna, a oni, zmęczeni upałem, nie byli głodni. Zimne pieczyste, chleb i ser z miejscowej serowarni. Podano też smaczny cienkusz, którego Weronika wypiła zbyt dużo. Może chciała mieć powód, żeby iść spać.

Markiz i pan de Berle wreszcie mieli okazję porozmawiać bez świadków. Znużony podróżą de Berle cichym głosem przekonywał Markiza, że należy wrócić.

– Ewentualnie – mówił – można pojechać do Châteauroux i czekając na d'Albiego, chociaż wątpię, czy on się w ogóle zjawi, ustalić z Chevillonem nowy termin. Na wiosnę.

Markiz uparcie trwał przy swoim.

– Nie może być tak, żeby drobne zdarzenie zepsuło obmyśliwane cały rok plany. Jeżeli teraz wrócimy do Paryża, cała wyprawa odwlecze się znowu na czas nieokreślony.

– Moim zdaniem trzeba się porozumieć z Bractwem – powiedział de Berle. – Nie możemy sami podejmować decyzji. Nie wiem też, czy obecność tej kobiety... Czym się w ogóle kierowałeś, wyrażając zgodę na jej towarzystwo? Czasami myślę, że jesteś tak samo nieobliczalny jak d'Albi.

Markiz wzruszył ramionami.

– To biedna, samotna kobieta.

– Dziwka.

– Ale wyjątkowo piękna.

Podnieśli obaj głowy, bo drzwi oberży otworzyły się i do środka wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w cudzoziemskim stroju.

– Hej, oberżysto, nocleg dla samotnego podróżnego! – zawołał z obcym akcentem.

Markiz i pan de Berle wrócili do rozmowy. Tymczasem oberżysta zaczął dość obcesowo tłumaczyć nieznajomemu, że nie ma już miejsca. Radził mu pójść o trzy ulice dalej, gdzie jest inna gospoda. Mężczyzna zachowywał się tak, jakby go nie rozumiał, i wyglądało na to, że nie ma zamiaru się stąd ruszyć. Obaj mówili podniesionymi głosami.

– Nigdzie nie będę chodził. Jestem zmęczony. Jutro czeka mnie długa droga, a w dodatku nie znam miasta – argumentował nieznajomy.

– Czy nie rozumiesz, panie? Wszystko jest już zajęte. O, ci państwo wzięli ostatnie dwa pokoje.

– Po cóż im dwa pokoje?! – wykrzyknął tryumfalnie mężczyzna. – Mogą się ze mną podzielić.

– Jest z nimi dama.

– Nie mam nic przeciwko damom.

Zniecierpliwiony Markiz wstał od stołu i podszedł do nieznajomego. Ukłonił się i przedstawił.

– Widzę, że ma pan jakieś kłopoty. W czym mogę pomóc?

– Nareszcie mam do czynienia z dżentelmenem. John Burling z Londynu, w podróży do Tuluzy i bez noclegu na tę noc.

Markiz rzucił przelotne spojrzenie panu de Berle.

– W naszym pokoju jest dość miejsca dla tak znamienitej osoby – oświadczył i kazał oberżyście zanieść bagaże Anglika na górę.

Burling potrafił się odwdzięczyć za ten gest. Zamówił najlepsze wino, a sam w zawrotnym tempie pochłonął półmisek mięsa. Między jednym a drugim kęsem przedstawił nowym znajomym najważniejsze fakty ze swej biografii, swoje poglądy polityczne i religijne oraz zdążył zacytować kilku angielskich poetów. Jechał z Fulham pod Londynem do Tuluzy po swego wychowanka, który już drugi rok przebywał we Francji, ucząc się języka i światowych manier. Był tylko nauczycielem chłopca, ale opowiadał o nim tak, jak ojciec opowiada o synu. Te opowieści wciągały może dlatego, że w samym jego sposobie mówienia było coś prowokującego. Każde, lekko tylko zniekształcone obcym akcentem zdanie było oceną, ustosunkowaniem się i zanim Burling postawił na jego końcu kropkę, zawieszał na

chwilę głos, jakby czekał, aż słuchacz się z nim nie zgodzi. Markiz i de Berle, wciągnięci w tok barwnych opowieści Anglika, rwali się do dyskusji. Wypili też z kwartę wina.

– No to ładnieśmy zaczęli tę podróż – powiedział de Berle i zamówił więcej trunku.

– Radzę panom spróbować teraz wyspiarskiego specyfiku. – Burling wyciągnął zza pasa płaską butelkę. – Coś takiego robi się w moich stronach.

Rozlał do metalowych kieliszków wielkości zakrętki po łyku brandy i wzniósł toast:

– Za nasze spotkanie.

– Bardzo mocne – stwierdził Markiz, krzywiąc się mimo woli.

Burling hałaśliwie zażył tabaki i rozparł się wygodnie na ławie.

– Coś mnie niepokoi w waszym pięknym kraju, mili panowie – zaczął. – Jechałem z Dunkierki i widziałem wielkie poruszenie. Całe hugenockie wsie nawracają się nagle na papizm. Ktoś mi mówił, że w okolicy Bordeaux jednego dnia zmieniło wiarę pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Czy to możliwe?

– Słyszał pan o misjach wewnętrznych, wymyślonych przez jezuitów? Może to skutek ich pracy? – zainteresował się pan de Berle.

– Sam w to nie wierzysz, panie. W takie nagłe nawrócenie. To musi coś oznaczać, i wszyscy niekatolicy niech się mają na baczności.

– Francja na cały świat słynie z tolerancji…

– A dwa lata temu, kiedy tu byłem po raz pierwszy, spalono dwie kobiety za czary.

– To zupełnie inna historia. Nie można mieszać polityki państwa i procesów za czary – zauważył ostrożnie Markiz.

Burling dolał brandy do małych kieliszków.

– W Anglii coś takiego jest nie do pomyślenia. Wasz król zanadto ulega wpływom jezuitów. Nie ufam im – zniżył głos. – To wsteczna siła, która hamuje postęp.

– Pan, zdaje się, bardzo wierzy w postęp.

Tak, Burling rzeczywiście wierzył w postęp, naukę i siłę rozumu. Szczycił się dokonaniami swoich rodaków. Tylko nauka jest w stanie wyzwolić

ludzi z chorób i nędzy. Wymawiając słowo „ludzkość", podnosił krótki, gruby palec jak wędrowny kaznodzieja.

– Na przykład Harvey. Jego odkrycie, że krew krąży w ludzkim ciele żyłami i wnika dzięki temu w każdą część ciała, jest największym odkryciem naszych czasów. Ile na tym może skorzystać medycyna! Ale to odkrycie ma obok praktycznego także i filozoficzne znaczenie. Pokazuje, że człowiek jest wysoko zorganizowaną maszyną i że jak każdą maszynę, można go dokładnie poznać i zbadać.

– To nie jest dobre porównanie – orzekł Markiz. – Maszynę da się rozłożyć na części i złożyć z powrotem. Człowieka nie. Musi istnieć coś, co tę pańską „maszynę" ożywia.

– A tak, zgadzam się z panem, Markizie. Tym czymś jest Bóg, ale pojmowany jako zegarmistrz, który nakręca mechanizm. Tchnienie boże, rozumie pan? Dalej już rządzą prawa mechaniki i przyrody.

– A więc sądzi pan, że człowiek składa się z takich systemów? System obiegu krwi, może jeszcze system myślenia czy rozmnażania... Ale co nam da wiedza o mechanizmach? Czy odpowie nam na pytanie, dlaczego ludzie się rodzą i umierają? Po co żyją? Nauka potrafi rozłożyć na elementy prostsze to, czym się zajmuje, ale nie potrafi potem złożyć tego w żyjącą całość. Tu potrzeba czegoś innego.

– Czego, jeżeli można wiedzieć?

– Boga wszechobecnego, który cały czas działa, totalnej, świadomej siły, która utrzymuje świat w istnieniu, a nie zegarmistrza – roześmiał się Markiz.

– Być może nauka dobierze się kiedyś i do Boga, i obwieści w końcu światu, kim on jest.

– Obyśmy nie dożyli takich czasów – westchnął pan de Berle i zaproponował, by się już położyć do łóżek.

Zaproszenie Burlinga na wspólny odpoczynek było sporym poświęceniem ze strony Francuzów. Musieli zmieścić się w jednym podwójnym łóżku we trójkę. Przed położeniem się spać Burling wyciągnął z toreb mnóstwo jakichś pachnących woreczków i porozkładał je w głowach i nogach łóżka.

– Muszę z przykrością stwierdzić, że francuskie oberże są zwykle bardzo zapluskwione – wyjaśnił.

Gauche tej pierwszej w podróży nocy spał w stajni, przy koniach. Noc była parna, duszna i pełna szelestów. Konie wzdychały, śpiąc na stojąco. Gauche śnił, że przemówił do nich ludzkimi słowami. Słowa były jak dym i wypuszczając je z ust, modelował je wargami w fantastyczne kształty.

Nazajutrz rano okazało się, że pogoda się popsuła. Na niebie pojawiły się pękate chmury, ciężkie od deszczu. Powietrze było jeszcze parne i duszne, ale już niosło ze sobą przyjemny, ożywczy zapach wody. Podczas lekkiego śniadania Burling zaproponował, że potowarzyszy trochę czarnemu powozowi. Przynajmniej do Orleanu, bo zmierza na południe i Orlean jest po drodze. Wyglądało, że na tę jego decyzję wpłynęła obecność Weroniki. Nie krył się z tym zresztą. Twierdził, że już dawno nie miał okazji obcować z kobietami.

– Człowiekowi potrzebny jest kontakt z pięknem – powiedział szarmancko.

Markiz nie był zadowolony. Bał się, że ten gadatliwy Anglik zamęczy ich ciągłym komentowaniem wszystkiego. Zdawał sobie jednak sprawę, że Burling rozładowuje swoją obecnością rosnące napięcie, a więc w pewnym sensie jest im potrzebny.

Na śniadanie oberżysta podał gotowane warzywa i majonez. Pewnie chciał w ten sposób dogodzić lepszemu towarzystwu i zatrzeć złe wrażenie, spowodowane jego wczorajszym niegrzecznym zachowaniem wobec Anglika.

– Czy wiecie, że majonez, który uchodzi za króla sosów, wymyślił sam wasz kardynał Richelieu? – zagadnął Burling. – Jest to jedna z wielu rzeczy, dzięki którym szanuję Francję i Francuzów. U nas majonez jest jeszcze nieznany.

– Przyrządzanie majonezu zawsze mnie zadziwiało – powiedział Markiz. – Bierze się jajko…

– Żółtko – poprawiła go Weronika nieśmiało.

– Tak, ma pani rację, żółtko, i powoli dolewa się oliwy. Trzeba to robić równomiernie i cały czas ucierać. Żółtko jest żółte, oliwa przezroczysta,

a z ich połączenia powstaje zupełnie nowa substancja, o zupełnie innym kolorze i konsystencji niż jej składniki. Czy nie jest to maleńki cud? Czy nie działają tu inne siły niż proste zasady dodawania i łączenia?

– Niepotrzebnie pan komplikuje sprawę, Markizie – stwierdził Burling. – Nawet w takich błahych, codziennych sprawach uwidaczniają się pana metafizyczne skłonności. Powstawanie majonezu można wytłumaczyć naukowo, trzeba tylko znać zachodzące w czasie ucierania procesy chemiczne. Przykro mi, że nie jestem chemikiem, ale przypuszczam, że ważne jest, iż w trakcie łączenia się jajka i oliwy, czyli dwóch odmiennych składników o ściśle określonych cechach jakościowych, dochodzi trzeci czynnik: ucieranie. Ten czynnik, ruch, czy może ciepło powstające podczas ucierania, powoduje zmianę jakości podstawowych substancji. Zachodzą jakieś tam procesy, których ja, niestety, nie umiem nazwać, i w ich wyniku powstaje nowa substancja, która nie jest prostą sumą, zwykłą mieszaniną, ale jakby wypadkową jajka i oliwy.

– To nie jest żadne wytłumaczenie: „jakieś tam procesy" – oburzył się Markiz – bo cała rzecz polega właśnie na tym, jakie to są procesy. Może uczestniczy w nich Bóg albo Demon Majonezu.

– Pan żartuje.

– Wcale nie żartuję. Pokazuję panu tylko, że pańskie „procesy" i mój Demon to dwie niewiadome. Dwa sposoby wytłumaczenia tego, czego nie wiemy. Dlaczego procesy mają być lepsze od Demona?

– Procesy są pojęciem naukowym. To znaczy, że można je zbadać, zobaczyć, przewidzieć i opisać.

– Czyli w jakiś sposób ich doświadczyć?

– Tak. Empiria, oto właściwe słowo – ucieszył się Anglik.

– A gdyby się okazało, że wielu ludzi widziało Demona Majonezu, jak straszny i żółty unosi się nad jajkiem i oliwą...

– Drogi Markizie, nie wiedziałem, że się pan tak lubuje w nonsensach – powiedział Anglik naburmuszony i zakończył rozmowę. Burlingowi, który jechał konno przy powozie, wcale nie przeszkadzało, że Gauche jest niemową. Zasypywał siedzącego na koźle chłopca opowieściami z życia Londynu. Gauche uśmiechał się i potakująco kiwał głową.

– Jak się pani dziś czuje? – zapytał Markiz Weronikę w powozie.

– Dziękuję. Wyspałam się, śniadanie było smaczne i rada jestem, że się ochłodziło – odpowiedziała konwencjonalnie.

– Myślę, że pani przyjaciel wyjechał już z Paryża i dogoni nas niebawem. Nie ma się czym martwić.

Weronika uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Nie martwię się. Będzie to, co ma być – powiedziała i Markiz umilkł.

Jechali zieloną równiną. Tu i tam widać było małe winnice. Mijali wieśniaków na wozach i konnych podróżnych. Droga do Orleanu należała do bardziej uczęszczanych szlaków. W południe zaczął siąpić deszcz i Burling natychmiast to wykorzystał, żeby przesiąść się do powozu. Konia przywiązał luźno z tyłu. Usiadł koło Weroniki i zabrał się do swojej tabaki.

– Myślałem o tym majonezie i obiecuję, że po powrocie zajmę się dokładnie badaniem procesu łączenia się jajka i oliwy.

– To musi pan wiedzieć, że majonez nie zawsze się udaje – odezwała się Weronika. – Kiedy kobieta bierze się do ucierania majonezu w czasie swojej miesięcznej niedyspozycji, może być pewna, że sos się nie uda.

– Niech mi pani nie mówi, że pani w to wierzy – obruszył się Burling.

– Wierzę, bo sprawdziłam. Empiria – jak pan to nazywa.

– Przypadek.

– Ja nie wierzę w przypadek – włączył się Markiz. – Określenie czegoś mianem przypadku wypływa z nieumiejętności wytłumaczenia tego w inny, bardziej przekonywający sposób. To właśnie wyraz bezradności wobec tajemnicy tych pańskich „procesów".

– A czy sądzisz, że one w ogóle są poznawalne? – zapytał de Berle.

– Myślę, że tak. Ale wiem też, że narzędziem ich poznania niekoniecznie musi być rozum.

– Ha, wiem, objawienie! – wykrzyknął Burling. – To czysty mistycyzm, drogi panie. Magia.

– Magia i rozum to dwie zupełnie różne drogi poznania i każda z nich ma za nic tę drugą. Może prawda leży, jak zwykle, gdzieś pośrodku.

– Nie można łączyć zabobonu z racjonalnym myśleniem – zaprotestował Burling.

Markiz zastanowił się chwilę i powiedział:

– Można by sobie wyobrazić, że poznanie, o którym mówimy, jest jak drzewo. Magowie rozumieją jego korzenie, ale nie pojmują gałęzi. Ludzie nauki zaś, tacy jak pan, panie Burling, odwrotnie – rozumieją jego koronę, ale nie potrafią zrozumieć korzeni. I nauka nie potrzebuje magii, a magia nauki. W rzeczywistości potrzebne są obie.

– Dobrze powiedziane – zakończył Burling.

Prawdziwy cel podróży Markiza i de Berle'a miał pozostać tajemnicą dla Weroniki i Anglika, toteż obaj zgrabnie omijali ten temat, a kiedy Burling zapytał ich o to wprost, wymyślili na poczekaniu wersję o bliżej nieokreślonej misji handlowej. Burling przyjął to wyjaśnienie i nie dopytywał się więcej. Natomiast Weronika łudziła się nadal. Wiedziała, że misja handlowa to kłamstwo, bo przecież w tym wszystkim chodziło o jedno – o jej ślub z kawalerem w romantycznej scenerii Pirenejów.

Markiz i de Berle wydawali jej się trochę dziwni. Nie byli to mężczyźni, jakich znała. Nie uwodzili jej, nie traktowali nawet jak kobietę. Trzymali się wyraźnie na dystans, a ich zachowanie wobec niej było pełne grzecznej wyższości. Nie bardzo wiedziała, czego od niej oczekują, jaka ma być. Chwilami patrzyła na nich jak na potencjalnych kochanków. De Berle był niewątpliwie przystojniejszy. Nie wyczuwało się w nim męskości, przeciwnie, wycofywał się przy każdym słowie dotyczącym ciała, miłości. Tacy ludzie nie bywają w domach schadzek, a w dyskusjach chętnie posługują się przykładami Ewy, Pandory i Heleny jako ucieleśnień zamętu i zła. Wierzą tylko w czystość swoich żon i jeżeli są katolikami, w czystość Matki Boskiej.

Markiz był niepodobny do de Berle'a. On miał w sobie ogień, ale ten ogień płonął na zupełnie innym ołtarzu. Weronika przyglądała się jego drobnym, jakby kobiecym rękom. Wyobraziła sobie, że dotykają piersi kobiety, jakiejś kobiety. Był to obraz statyczny i martwy. Te ręce nie mogły dotykać kobiecych piersi. Mogły poprawiać perukę, przewracać karty książki, mogły się grzać nad ogniem. Kiedy jednak mimowolnie i przez moment wyobraziła sobie, że dotykają jej piersi, zadrżała.

Spojrzenia, wzajemne lustrowanie się, obserwowanie kropelki potu, która spływa po czole, były nieodłączną częścią przebywania razem w zamkniętym powozie. Wszyscy mieli świadomość, że są na cenzurowanym. A ponieważ ludziom zazwyczaj wydaje się, że są sprytniejsi i bardziej spo-

strzegawczy niż inni, każde z nich sądziło, że widzi to, czego pozostali nie dostrzegają.

Markiz był świadom, że Weronika należy do pięknych kobiet. Jej figura i twarz rzucały się w oczy. Było w niej jednak coś, co burzyło całość i wywoływało w nim wahanie. Szukał tego defektu w rysach twarzy, w gestach, w wyrazie oczu. Patrzył uważnie, jak się porusza, co mówi – i niczego nie znajdował. Na pierwszy rzut oka mogłaby się wydawać doskonała, ale nie była.

Zaskoczony, pojął, że się jej boi. Wolał siedzieć naprzeciwko niej niż obok. Wtedy wydawało mu się, że lepiej kontroluje to nienazwane, co mogłoby mu zagrażać.

Po noclegu w Orleanie ruszyli dalej. Upał wrócił. Na koźle został Gauche, bo Markiz zrezygnował z szukania nowego woźnicy. Wszyscy polubili tego milczącego chłopca o jasnych oczach, który umiał być w taki sposób, jakby go wcale nie było. Zajmował się końmi, czyścił je i karmił, a potem znikał z nimi w stajni, podczas gdy oni do północy dyskutowali z Burlingiem, który postanowił z nieznanych przyczyn towarzyszyć im jeszcze dzień czy dwa, nawet jeżeli musiałby przydać sobie trochę więcej drogi. Naprawdę nie wiedzieli, jak sobie poradzić z takim gestem jego przyjaźni. Rano dyskusja przenosiła się do powozu. Czasem turkot kół na kamienistej drodze i półmrok w powozie sprawiały, że atmosfera tych rozmów, obojętne, jaki był ich temat, stawała się jakby ostateczna. Jeżeli nagle zapadało milczenie, to cisza była piątym rozmówcą.

Trzeciego dnia wieczorem, gdy dojeżdżali do Vierzon, słońce zachodziło w tak niezwykły sposób, że zatrzymali powóz i wyszli popatrzyć na trwające kilka minut widowisko. Widzieli miasto nieco z góry, rozłożone na równinie niby na wielkiej tacy. Słońce, czerwone i rozedrgane po całym dniu żaru, wisiało nad zachodnią częścią miasta. Wydawało się, że stanęło, że zatrzymało się tam raz na zawsze, żeby z miasta wydobyć jego bajkową umowność. Wieże, kominy, strome dachy były niczym wzór misternej czarnej koronki, w którą stroi się świat przed nocą – codzienne misterium wieczoru. Widać było, jak w stronę otwartych jeszcze bram ciągną drobne ludzkie figurki: konno, pieszo, wozami, karetami. Jak dzieci wracają z zabaw nad stawem. Wszyscy boją się spotkania z nocą. Delikatne czerwone

poblaski, jakie rzuca na ziemię zachodzące słońce, są przeczuciem tego, co towarzyszy nocy: strachu krwi, bezszelestnych kroków śmierci, koszmarów sennych i czegoś, co jako że bezimienne – jest jeszcze straszniejsze.

Gdy stali na wzniesieniu, zanim zanurzyli się w dolinę, byli świadkami milczącej wojny – zmagania się dwóch najpotężniejszych sił. Nadciągającej ze wschodu nieodwołalnej ciemności i resztek kapitulującej na zachodzie jasności. Wreszcie słońce zadrżało jeszcze raz i powoli, jakby zachowując pozory honorowej przegranej, zniknęło za horyzontem.

Weszli do ciemnego wnętrza powozu i chłopiec zaciął konie. Jechali w dół, ku miastu, tęskniąc do jęzorów ognia na kominku.

W Vierzon udało im się znaleźć bardzo przyzwoitą oberżę. Dostali dwa pokoje i Weronika mogła się wreszcie porządnie umyć. W pokoju mężczyzn był kominek i utykająca żona gospodarza zaraz w nim napaliła. Noce zaczęły się już robić chłodne. Burling zaprosił wszystkich na kieliszek brandy. Rozlewający się wolno po ciele alkohol, ciepło bijące od ognia, czerwony blask na twarzach i tkwiący jeszcze pod powiekami obraz zachodzącego słońca nastroiły towarzystwo bardzo refleksyjnie. Nawet Burling dziś milczał.

– Myślałem o tym, że jutro powinniśmy już być w Châteauroux – odezwał się Markiz. – I chyba żal nam będzie rozstać się z panem, monsieur Burling.

– A jakże! I mnie będzie żal tak wyśmienitego towarzystwa – zakrzyknął Anglik.

– Pan de Chevillon, u którego zamierzamy się zatrzymać – ciągnął Markiz – jest naszym dobrym przyjacielem i z pewnością byłby uradowany, gdyby mógł pana gościć wraz z nami. Dlatego chciałbym pana zaprosić w jego imieniu. Potem będziemy mogli znowu ruszyć dalej razem i rozstaniemy się tam, skąd będzie miał pan najbliżej do pańskiej Tuluzy.

Burling był wyraźnie ucieszony tym zaproszeniem.

– Wydaje mi się, że gdzieś już słyszałem to nazwisko... Chevillon... – powiedział. – Czy to nie z jego osobą wiązano tę ponurą aferę na dworze dwa lata temu, gdy mnóstwo osobistości wmieszanych było w jakieś próby otrucia króla czy czary?

Pan de Berle ożywił się, słysząc słowa Burlinga.

– Tak, chciano zrobić z niego kozła ofiarnego, ale pan de Chevillon umie się bronić. To była sprawa sekty wyznawców szatana i sił nieczystych, tak to się przynajmniej oficjalnie mówi. Pan de Chevillon został posądzony o kontakty z tymi ludźmi. Postarali się o to jego przeciwnicy polityczni, ale nic mu nie mogli udowodnić. Zapewniam pana, iż każdy, kto go zna, wie, że to bzdura.

– Co za zabobony! – jęknął Burling.

– Nie sądzę – mówił dalej de Berle. – Zło jest tak samo konkretne jak dobro, ale to inna sprawa. Umiejętności pana de Chevillona są wielkie. To nieprzeciętny człowiek i dlatego może niektórym przeszkadzać. W tamtej sprawie posunięto się bardzo daleko. Wie pan, że spalono wtedy rzekomą trucicielkę, jej kochanka i dwóch księży?

– Tak, tak, słyszałem. Byłem wtedy pierwszy raz we Francji, odwoziłem mojego wychowanka do szkół. Wszyscy wtedy o tym mówili.

– Dzisiaj uważa się, że były to rozgrywki między kobietami króla – powiedział de Berle. – Tak to się zwykle dzieje, kiedy do spraw poważnych wtrącają się kobiety.

Markiz po chwili zmienił temat i zaczął teraz opowiadać plotki i anegdoty o dworze. Śmiech rozgrzewał wszystkich nie gorzej niż brandy i ogień z kominka i był im potrzebny bardziej niż cokolwiek innego. Wszyscy mieli chyba tę świadomość, bo nie pozwalali Markizowi skończyć. I Markiz, który stał się nagle duszą towarzystwa, przeszedł sam siebie. Bawił grono przyjaciół do północy, a jego dowcipy stawały się coraz bardziej pikantne. Bez peruki wydawał się młodszy i przystojniejszy. Weronika patrzyła na niego zachwycona i nikomu nie chciało się spać.

– A ja sądziłem, że jest pan ponurym czarnoksiężnikiem – rzekł Burling z uznaniem pomiędzy wybuchami śmiechu.

7

Droga z Vierzon do Châteauroux – równy trakt wysadzany po obu stronach starymi kasztanami – pełna była mijających ich wozów, dyliżansów, pieszych i konnych. Wszyscy ciągnęli na północ, w stronę Orleanu. Markiz kazał zatrzymać karetę i wysiadł, aby się dowiedzieć, co się dzieje. Wrócił podekscytowany i przejęty. To hugenoci z południa jechali przez Paryż do Niderlandów. Zdecydowali się porzucić własne domy, warsztaty, cały swój dobytek, i szukać nowej ojczyzny. Podobno urzędnicy królewscy postawili im ultimatum: mają natychmiast przejść na katolicyzm albo opuścić kraj. Francja pozbywała się w ten sposób swoich najlepszych rzemieślników, bogatych mieszczan, ludzi wykształconych, tylko dlatego że byli innego wyznania.

– Zdaje się, że w ślad za tym pójdzie jakaś ustawa – zauważył Burling, wyglądając przez okienko.

Markiz pomyślał o swojej starej, samotnej matce. Co się z nią teraz stanie? Czy i ją ośmielą się nakłaniać do zmiany wyznania? Poczuł się nagle solidarny z tym ciągnącym na północ tłumem. Położył rękę na piersi, tam gdzie głęboko pod ubraniem miał ukryty amulet, bo bał się każdej myśli, która mogłaby go odciągnąć od Księgi. Matka, dom, pisma Kalwina czytane przez matkę zimą po kolacji, bo ojca nigdy nie było w domu. Słowa, które wypowiadała, na wpół tylko zrozumiałe dla dziecięcego umysłu, budowały jakiś porządek świata, porządek, który najbardziej doceniły dzieci. Prawda, skromność, praca, pokora, cztery ściany odgradzające od chaosu i hałasu zewnętrznego świata. Markiz zamknął oczy, jakby chciał pod powiekami odnaleźć tamte wieczory. Ale tam, w środku, była teraz tylko Księga.

Gauche pierwszy zobaczył z kozła zamek pana de Chevillona w Châteauroux. Zachwyciły go jego harmonia i piękno. Wjechał przez wysoką bramę w przestrzeń niemal doskonałą. Geometrycznie rozplanowane ogrody, wznoszące się tarasami płaszczyzny pokryte barwnymi kobiercami kwiatów, od bieli, poprzez róż i amarant, aż do wszystkich odcieni błękitu, indygo i fioletu. Między wystrzyżonymi krzewami stały białe posągi. Gauche zagapił się i otworzył usta. Jechali przez ten cudowny park dobry kwadrans.

Gospodarz powitał ich na schodach przed domem. Kiedy zobaczył Markiza, broda mu zadrżała i padli sobie w objęcia.

Pan de Chevillon był dużo starszy, niż się spodziewała Weronika. Nie nosił peruki, a jego zupełnie białe, rzadkie włosy sprawiały, że kontrastująca z nimi twarz wydawała się ciemna i pomarszczona. Był drobny, chudy i stał tak niepewnie, jakby za chwilę miał się przewrócić.

Po wstępnych grzecznościach i powitaniach goście rozeszli się do specjalnie dla nich przygotowanych pokoi. Pokój czekał także na Gauche'a.

Weronika rozgościła się w swojej komnacie i wtedy przyszło jej do głowy, że przecież de Chevillon nie mógł wiedzieć, ile osób przyjedzie i jakie. A jednak jej pokój przeznaczony był najwyraźniej dla kobiety. Na łożu pod pięknym czerwonym baldachimem, wspartym na kolumienkach z gruszkowego drzewa, leżała jedwabna nocna koszula. W porcelanowej misce mieniła się woda ze świeżymi płatkami róż. Na marmurowym blacie stały słoiczki z najlepszym pachnącym pudrem i pomadą do włosów. Wydawało się Weronice, że znalazła się w pałacu z bajki. Nigdy nie zdarzyło się jej mieszkać w podobnym luksusie.

Naprzeciwko łoża wisiało na ścianie wielkie olejne malowidło przedstawiające świętą Marię Magdalenę. Pozostałe ściany pokryte były gobelinami, na których widniały sceny ze Starego Testamentu. Wielkie okna wychodziły na fantastyczny ogród, który niedawno podziwiali. Nad kominkiem zawieszono wysokie na cztery stopy weneckie lustro, nachylone w ten sposób, że mieściło w sobie odbicie całego pokoju. Stały tu jeszcze hebanowy sekretarzyk i komoda z jakiegoś szlachetnego drewna. Weronika zauważyła też swoje kufry z rzeczami. Musiano je tu przynieść, kiedy witali się na schodach.

Zerknęła w lustro i zobaczyła, jak bardzo zmizerniała przez te kilka dni podróży. Wciąż się sobie przyglądając, zaczęła się rozbierać. Suknia spadła na podłogę niby krępująca ruchy łupina i Weronika ujrzała swoje nagie, białe ciało. Postanowiła się umyć i dotyk chłodnej, pachnącej wody sprawił jej rozkosz, był jak pieszczota nieobecnego kochanka.

W czasie niezwykle wystawnej kolacji, na którą podano wiele potraw z ryb oraz kilka rodzajów sałatek i ciast, panowie rozmawiali o polityce, a zwłaszcza o eksodusie hugenotów. Weronika nie słuchała. Przyglądała się potrawom, które wydały jej się prawie czarodziejskie, a potem jej uwagę przyciągnął lokaj usługujący przy kolacji. Po raz pierwszy widziała z bliska człowieka o czarnej skórze. Przez moment jej ręka i ręka służącego znalazły się obok siebie na tle białego jak śnieg obrusu. Weronika miała wrażenie, że jej dłoń istnieje tylko połowicznie, zaledwie ubiega się o istnienie. Zerknęła ukradkiem na całą postać służącego. Kamlotowe spodnie i białe jedwabne pończochy ciasno opinały umięśnione nogi. Wyglądał jak jeden z posągów w parku – chłodny i majestatyczny, piękno wcielone.

Spojrzenie Weroniki przechwycił Markiz; poczuła się jak skarcona, nazbyt ciekawska dziewczynka. Uświadomiła sobie, że zupełnie nie słyszała, o czym mówiono przy stole.

– Kiedy wrócimy do Francji, być może serio zajmę się polityką – oświadczył Markiz, kończąc swoje wywody.

– Jak pani znajduje mój dom? – zwrócił się do Weroniki pan de Chevillon. – Czy jest pani zadowolona z pokoju?

Weronika całkiem szczerze wyraziła swój zachwyt dla pałacu, gobelinów, pokoju i parku. Wszystko jej się tutaj podobało.

– Jeżeli tak pani lubi moje włości, to chętnie pokażę pani coś szczególnego. Wszystkim – dodał – ale dopiero po kolacji.

Pierwszy Burling dał znak, że posiłek skończony, prosząc wszystkich o pozwolenie „powąchania tytoniu", jak mówił o zażyciu tabaki. Chevillon zaś wstał, wziął świecznik i oświetlił ścianę, która do tej pory pozostawała w mroku.

Płomień świec ukazał rozległy krajobraz i burzowe chmury ponad horyzontem. Wydawało się, że światło otworzyło jakieś ukryte w ścianie okno,

przez które widać było zmierzch i zbliżającą się nocną burzę. Z lewej strony patrzącego, na pierwszym planie, była grota. Jej wnętrze kryło się w ciemności. Przed wejściem do jaskini stała smukła, zwiewna kobieta w jasnej sukni. Miała nadzwyczaj bladą cerę i wyglądała, jakby spała, albo tak jak wyglądają lunatycy: półprzymknięte oczy, twarz spokojna, lecz bez szczególnego wyrazu. Kobieta w delikatnej dłoni trzymała sznurek, czy też raczej nić, do której przywiązany był stojący u jej stóp smok. Może miał być straszny, ale w jego pozie i wyglądzie, w posłusznym schyleniu głowy było coś, co pozwalało patrzeć na niego raczej jak na psa. Mimo że miał pazury, błoniaste skrzydła i wielki, kolczasty ogon, był smokiem tylko z nazwy. W rzeczywistości przypominał domowe, nawet trochę ułomne zwierzę. Także nić, która wiązała go z ręką kobiety, nie kojarzyła się z symbolem niewoli, lecz raczej z więzami posłuszeństwa, dobrowolnego oddania się i podporządkowania. Z prawej strony obrazu, gdzie przedstawiono gęsty las, nadjeżdża rycerz. Siedzi na ogromnym białym koniu, podniesiony szyszak odsłania tylko jego młodą, ale zaciętą twarz. Oczy pełne gniewu, niezarośnięte jeszcze policzki. Młodzieniec podnosi włócznię i przebija gardło smoka. Krople ciemnoczerwonej krwi spływają na piasek. Smok w agonii próbuje jeszcze rozpostrzeć skrzydła i wtedy widać, że są na nich kropki, niby u wielkiej biedronki.

Obraz sprawiał wrażenie jakby niedokończonego. Wydawało się, że przedstawiona scena nie może się skończyć w taki sposób, że gdzieś obok istnieje jej dalszy ciąg. Przez tę niepełność i brak rozwiązania, które można by było zaakceptować, obraz wywierał wstrząsające wrażenie.

– Kto to jest? Dlaczego ona pozwala mu zabić to biedne zwierzę? Czy to święty Jerzy? – spytała Weronika szeptem.

– Tak, to święty Jerzy, a to księżniczka, którą zgodnie z legendą smok porwał i więził w jaskini. Jerzy zabija pod postacią smoka zło i grzechy świata.

Weronika przysunęła się bliżej obrazu i patrzyła uważnie na kobietę.

– Ta księżniczka nie wygląda wcale na więzioną. To ona więzi smoka. Taki smok nie mógłby nikomu zrobić krzywdy. Już raczej ten rycerz.

– Tak, ma pani rację – wtrącił de Berle. – Bo też ten obraz nie jest wiernym przedstawieniem legendy. To tylko wariacja artystyczna na jej temat. Skąd pan ma ten obraz, panie de Chevillon?

– Przywiozłem go z Włoch. Ma ponad dwieście lat. To Uccello.

Wrócili do stołu. Czarny służący dolał wszystkim wina.

– Wyśmienity trunek – powiedział Markiz. Upił łyczek i długo trzymał go w ustach, smakując. – Wymowa tego obrazu jest dla mnie dość jasna. Otóż smok, jako symbol grzechu, specjalnie stara się nie sprawiać groźnego wrażenia. Ale jest groźny. Spójrzcie, jak wygląda księżniczka. Jest poddana władzy smoka, śni pogrążona w złudzeniach. Smok-Szatan sprawił, że dobrowolnie stała się niewolnicą grzechu. Nie potrafi już odróżnić dobra od zła, wolności od zniewolenia. Jest tak blada, jakby była chora na grzech. Nie wita wybawienia z radością, jest oszołomiona. Nie wystarczy zniszczyć grzech, trzeba się od niego uwolnić wewnętrznie.

– Człowiek pochodzi od Boga i w jego naturze nie ma grzechu – włączył się Chevillon. – Grzech pochodzi z zewnątrz, z równie potężnego jak Królestwo Boże królestwa ciemności. To Szatan zasiewa w nas grzech i zło, a my poddajemy mu się w chwili słabości. Ten obraz mówi o czymś zupełnie innym…

– Wydaje mi się, że jest pan w błędzie – wtrącił niegrzecznie de Berle. – Zło tkwi w naszej naturze od popełnienia przez pierwszych rodziców grzechu pierworodnego. Oni przekazali go nam razem z krwią, którą dziedziczymy. Tak mówi Pismo. Szukanie innych uzasadnień zła jest grzechem. Naszym obowiązkiem jest zniszczyć zło w sobie samych i w świecie, wydać mu walkę na śmierć i życie, tak jak to zrobił święty Jerzy.

– Czy nie sądzi pan jednak, że możliwy jest jeszcze inny sposób radzenia sobie z tą naszą ułomnością, bez względu na to, skąd się ona bierze? Grzech to przecież ciemna, mroczna strona naszej natury. Można tę ciemną stronę nauczyć dobra, wynieść do Boga i oswoić, tak jak ta kobieta oswoiła smoka.

– Nawrócić Szatana! – wykrzyknął de Berle. – Toż to przecież sprzeczność sama w sobie.

– Być może Bóg, stwarzając ludzi, obdarzył ich misją dążenia ku dobru poprzez doskonalenie się, a tym samym ignorowanie podburzeń Szatana, nie zaś poprzez walkę. Walka ze światem to walka z samym sobą. Każda przemoc jest orędziem Szatana, to krzywda, śmierć, ogień i tortury. Walka, jak wojna, nie może być dobra. Zabijanie jest zabijaniem.

– Ale czy walka w zbożnym celu nie bywa słuszna? – zapytał ostrożnie Markiz.

– Jeżeli przyjmiemy, że tak, to musimy przyjąć również, że cel uświęca środki – odparł de Chevillon. – To oznacza błędne koło. Ściganie ludzi, jakby byli dzikimi zwierzętami, wypędzanie ich z domów i z kraju, malowanie na drzwiach innowierców znaków zarazy, tworzenie gett. Nie. Wierzę, że człowiek ma Boga w sobie i że do każdego przemawia On w inny sposób.

Weronika wróciła do swojego pokoju oszołomiona. Może tak podziałało na nią wino, może zmęczenie, rozmowy, ten dziwny obraz. Uklękła przy łóżku, próbując się modlić, ale nie mogła się skupić. W głowie przesuwały jej się obrazy z minionego dnia: kolorowe kobierce kwiatów, kobieta ze smokiem, kropki na jego skrzydłach, poruszające się usta Markiza, umięśnione nogi służącego. Rozebrała się i naga wsunęła w chłodną pościel. Patrzyła w ciemność i wydawało jej się, że nie jest już tą samą osobą. Że coś się w niej zmieniło, że nie jest w sobie, ale gdzieś na zewnątrz. Dotknęła palcami skóry na twarzy i przez chwilę miała wrażenie, że dotyka twarzy nie swojej, lecz obcej, choć równie dobrze znanej. Zdumiała ją gładkość policzka. Zdziwiła się, że ta twarz to nie twarz Markiza.

Gauche nie miał ochoty spać. Bał się, że kiedy się obudzi, znajdzie się znowu w stajni na przedmieściu Saint-Antoine. Siedział skulony na łóżku i muskał palcami aksamitną narzutę. Czuł się tak przepełniony miłością i wdzięcznością dla tych ludzi, którzy zabrali go ze sobą, że mógłby mówić. Otworzył usta i nabrał powietrza do płuc. W ciszy usłyszał spokojny oddech psa śpiącego na podłodze przy łóżku. Cicho wypuścił powietrze i podniósłszy głowę, przez otwarte okno zobaczył nad parkiem spadającą gwiazdę.

Pan de Berle stał przy oknie i patrzył na park. Noc zamazała fantastyczne kolory i wszystkie klomby wyglądały teraz jednakowo. De Berle był zmęczony. Wątpił w Księgę, w sens wyprawy, w osiągnięcie jakiegokolwiek celu, w uwolnienie kawalera. Miał świadomość, że rozwój wypadków już za daleko odwiódł ich od wcześniejszych planów. Wszystko wymykało się spod kontroli, a on nie był na to przygotowany. Czuł się rozczarowany i co-

raz bardziej zdecydowany był wracać do Paryża, nawet bez względu na to, czy doczekają się kawalera d'Albiego. De Berle utracił całą swoją wiarę.

Przeczuwał, że Bóg poplątał ich ścieżki.

W pokoju Burlinga paliła się jeszcze świeca. Anglik siedział przy małym stoliczku do gry w karty, obitym zielonym suknem, i wodził po nim palcem. Czuł, że otacza go jakaś tajemnica. Coś tu było niedopowiedziane, coś przemilczane, coś, co było właśnie najistotniejsze. Mimowolnie narysował palcem na suknie kółko, potem jeszcze jedno. Zastanawiał się przez chwilę i dorysował jeszcze dwa. Próbował połączyć je ze sobą w jakiś sensowny i harmonijny sposób, ale nagle zrezygnował. Starł dłonią wyimaginowany rysunek i zaśmiał się. Zdmuchnął świecę i położył się spać.

Markiz narysował kredą okrąg wokół siebie. Stał w środku wyprostowany, z głową lekko opuszczoną na piersi. Widział w swoim ciele powietrze, które rozjarza się i dociera do najdalszych jego zakątków. Do palców u stóp, nóg, lędźwi, dłoni, rąk, piersi, szyi i głowy, aż po koniuszki włosów. Wtedy poczuł, że znalazł się znowu w rozświetlonych, bezkresnych przestrzeniach. Dawno w nich nie przebywał. Słyszał jednostajny dźwięk podobny do szumu morza. To, co w nim było, wysunęło się delikatnie i zawisło wyżej. Zobaczył z góry swoje samotne, opuszczone ciało. Zdziwił się, bo ujrzał w nim coś, czego do tej pory tam nie było. Jakby tęsknotę, dążenie, niepokój, przypominało to niewidoczny sznur, który nie pozwalał mu pójść dalej i wznieść się wyżej. Moc, którą był Markiz, spłynęła z powrotem do niego i otworzyła mu oczy. Poruszyła ciężkimi kotarami przy oknie, tak że zafalowały jak od przeciągu. Ale to nie wystarczało. Markiz chciał znaku. Pragnął mieć pewność, że jego istnienie, jego cel mieści się wciąż w planach wszechświata.

Oddychał spokojnie i głęboko. Jego oddech sięgał aż do stóp i jeszcze niżej, w głąb ziemi. Poczuł, jak powierzchnia koła wibruje pod skórą jego stóp. Teraz już wiedział, że nic nie może mu przeszkodzić. Żadne ciało, ani konkretne, fizyczne, ani mentalne, nie ma już nad nim władzy. Był samym sobą i dotykał swojej najgłębszej istoty. Dotknął czoła i powiedział:

– Ateh.

Dotknął piersi i powiedział:

– Malkuth.

Dotknął prawego ramienia i powiedział:

– Wegebura.

Dotknął lewego ramienia i powiedział:

– Wegedula.

Potem skrzyżował ręce na piersi.

– Le-olam, amen.

„Ukaż mi, Panie, Księgę", pomyślała w nim Moc. Zobaczył Archanioła w żółtej szacie powiewającej na wietrze, pobłyskującej odcieniami purpury. Archanioł trzymał w wyciągniętych rękach Księgę. Wiatr poruszał stronicami. Były puste. „Gdzie jest mądrość zapisana w Księdze?", zapytała w nim Moc. Archanioł miał długie włosy i wyglądał jak kobieta. Poruszył ustami, ale nie słychać było żadnego dźwięku.

Wtedy do Markiza podeszły liczby.

„Cała moc, jakakolwiek była i jakakolwiek będzie, zawiera się we mnie – powiedziało Zero. – I nie ma niczego, co by było czymś więcej niż ja. Jestem tym, co zawsze było, co jest i zawsze będzie. Tym, co nie ma granic ani jakości, a jednak wszystko określa. Zawieram w sobie wszystko, co wyobrażalne i niewyobrażalne. Jestem bowiem początkiem i końcem. Jestem nasieniem, z którego wyrósł świat i do którego powróci".

Potem nadeszła Jedynka i powiedziała: „Jestem wolą życia, która wciąż stwarza świat i podtrzymuje jego istnienie. Jestem ustami, które wypowiadają: Ja jestem. Istnieję, żeby widzieć samą siebie i w nieskończoność powtarzać święte słowo – Jestem. Ode mnie bierze początek wszelka myśl i wszelkie słowo. Określam, więc istnieję. Chcę, więc jestem".

„Ja nadaję formy nieskończonej mądrości – powiedziała Dwójka. – W swoich formach mądrość przygląda się sobie i staje się jeszcze większa. Jestem siłą życia, bo jestem lustrem. Podwajam jedność. Mnożę i daję życie".

„Jestem zrozumieniem, a więc czymś więcej niż mądrością – powiedziała Trójka. – Rozumiem doskonałość prawa kosmosu. Zrozumienie tego jedynego prawa prowadzi mnie krok po kroku do wyzwolenia".

„Ale dopiero ja robię użytek ze zrozumienia – powiedziała Czwórka. – Rozumiejąc prawo, stosuję je w świecie, oblekam w formę i buduję porządek. Czerpię z niezmierzonych bogactw wszechświata i czynię rzeczy duchowe i materialne pożytecznymi i potrzebnymi. Każdy otrzymuje tyle, ile ma dostać. Nie ma pomyłki. Jest prawo".

„Nie ma pomyłki, jest prawo – powtórzyła Piątka. – Ja rozpoznaję przejawy niezmiennej, kosmicznej sprawiedliwości we wszystkich zdarzeniach, które następują w świecie. Nic się nie dzieje poza prawem, nic nie bierze się z niczego. A wszystko ma swój czas i swoje miejsce. Rozumiem konieczność i dlatego jestem lękiem, buntem i rozpaczą. Jestem przejawem ślepej siły, bo ukazuję granicę wszelkich poczynań. Jestem niezmienną sprawiedliwością".

„Sprawiedliwość jest harmonią i czystym pięknem – powiedziała Szóstka. – Dlatego we wszystkich rzeczach, wielkich i małych, widzę piękno porządku świata. Części widziane każda z osobna są złudzeniem, które rodzi zwątpienie. Lecz widziane razem budują świat na rusztowaniach z miłości".

„Wspomagana przez mądrość i zrozumienie, przez prawo, sprawiedliwość i piękno, jestem zwycięstwem istnienia nad nieistnieniem" – powiedziała Siódemka.

„Istnienie jest wieczne – powiedziała Ósemka. – Jestem nieskończonością, w której zawiera się rozkwit i upadek, ruch w górę i ruch w dół, rozwijanie się i zwijanie. Jestem rytmem wszechświata, gdzie sprzeczność jest pozorem, wszystko bowiem jest dopełnieniem wszystkiego".

„We mnie zaczyna się koniec cyklu – powiedziała Dziewiątka. – Jestem osiągnięciem celu. Lecz w osiągnięciu celu nie kończy się żadne dążenie, w każdym końcu bowiem zawiera się ziarno nowego początku i w każdym początku jest koniec".

Na koniec do Markiza podeszła Dziesiątka i powiedziała: „Ja jestem królestwem, bo łączę to, co potężne, lecz rozmyte, z tym, co słabe, lecz konkretne. W każdej najmniejszej rzeczy mieści się nieskończenie potężne Królestwo Ducha".

Markiz stał zwrócony twarzą ku oknu wychodzącemu na park. Po niebie przemknął błysk spadającej gwiazdy, ale Markiz nie mógł jej zobaczyć roz-

szerzonymi, szklistymi oczyma.

Nie wiadomo tylko, co tej nocy robił pan de Chevillon. Odszedł, szurając i powłócząc nogami po schodach, i przepadł gdzieś w dziesiątkach swoich pokoi.

8

W ciągu kilku następnych dni nie było żadnych wiadomości z Paryża i mimo wielu atrakcji, jakie zapewnił gościom Chevillon, czekanie na kawalera stawało się nużące.

Burling codziennie o świcie objeżdżał konno włości gospodarza i zjawiał się dopiero na południowe drugie śniadanie. Traktował te przejażdżki jako czystą rozrywkę, ale przy okazji lustrował dokładnie całe gospodarstwo. Kalkulował możliwe zyski pana de Chevillona i był zaskoczony ich prawdopodobną nikłością. Wyglądało na to, że Chevillon żył z kapitału. Znajdowało się tu tylko trochę łąk, były też mała winnica na południowym stoku wzgórza, niewielki sad i warzywnik, zaspokajające zapewne jedynie potrzeby pałacu. Nie było żadnych zabudowań oprócz niskiego budynku dla służby po drugiej stronie parku. Oczywiście wsie i fabryczki pana de Chevillona mogły być gdzieś dalej i Burlinga uspokoiło to przypuszczenie. Utrzymanie pałacu, ogrodu i parku wymagało według jego kalkulacji ogromnych środków.

Dziwiła go także nieobecność innych domowników, nie licząc kilku osób czarnej służby. Kiedy patrzył na pałac z daleka, z łąk, na które się wypuścił, przyszło mu do głowy, że gospodarz jest czarnoksiężnikiem i w podziemiach tego wielkiego domu produkuje złoto.

Gdy Burling jeździł konno, Weronika błąkała się samotnie po komnatach i korytarzach i zwiedzała galerie. Dla Markiza, gospodarza i pana de Berle był to bowiem czas pracy w bibliotece i było rzeczą niemożliwą, żeby wpuścili tam kogokolwiek. Weronika zauważyła, że któregoś razu nie wpuszczono do biblioteki nawet służącego niosącego herbatę. Markiz odebrał od niego tacę w drzwiach.

Weronika czuła się wspaniale w zbytkownym domu Chevillona i nie przeszkadzała jej całodzienna samotność. Na dole urządzono łaźnię, w której wielką, ośmiokątną wannę można było w każdej chwili napełnić ciepłą

wodą. Znajdowało się tu też urządzenie, z którego za pociągnięciem łańcuszka spadała kroplami deszczu podgrzana woda. Weronika mogłaby zamieszkać w tej łaźni. Moczyć się w pachnących kąpielach, polewać czystą wodą, na zmianę zimną i gorącą, suszyć się potem, popijając herbatę z róży, i w końcu wcierać w ciało pachnące emulsje, olejki, które nadają skórze gładkość i jędrność. Przyglądała się sobie zawsze z miłością i uwagą: czy na wierzchu dłoni nie pojawiły się szpecące piegi, czy na ramionach nie tworzy się gęsia skórka, a na dekolcie nie ma czasem brzydkich, zaczerwienionych krostek. Kolor jej skóry przyjemnie zlewał się z mlecznołososiowym kolorem marmurowej posadzki – może był nawet jeszcze bledszy, jeszcze jaśniejszy, jeszcze bardziej matowy. Weronika pragnęła wtedy przytulić się do samej siebie.

Kiedy już doprowadziła się do porządku, postanowiła przewietrzyć także swoją garderobę zamkniętą w kufrach. Otworzyła kufer z sukniami i serce jej się ścisnęło. Biała suknia, przeznaczona na ślub, była cała w wielkich żółtych plamach. Weronika jęknęła, nie wierząc oczom. Nie rozumiała zupełnie, jak to się mogło stać. Dopiero potem uważnie obejrzała kufer. Wieko było nieszczelne i mżący drugiego dnia podróży deszcz przesiąknął do środka. Wyrzucała sobie, że nie kazała zawinąć sukni w grube płótno czy papier lub przynajmniej nie zabroniła kłaść jej na samym wierzchu. Teraz suknia była zniszczona. Weronika rozłożyła ją na łóżku i rozprostowała zagniecione delikatne koronki. Suknia leżała niby martwa kobieta, której ciało zaczynają naznaczać objawy rozkładu. Miała wrażenie, że zrobiło się chłodniej, że do jej pokoju weszła śmierć i mroźnym okiem przygląda się białej, ciepłej skórze żywej kobiety, jak rywalka przygląda się rywalce. Weronika skrzyżowała ramiona wokół odsłoniętego dekoltu i, jak nigdy dotąd tutaj, poczuła się samotna i opuszczona. To, co do tej pory pulsowało w niej oczekiwaniem, leciutkim podnieceniem, wewnętrznym ciepłem, zniknęło. Pokój zrobił się większy, sprzęty bardziej kanciaste, a cisza w wielkim domu dotkliwsza.

Weronika znała to uczucie. Pojawiało się zawsze wtedy, kiedy zostawała sama. Nie w zwykłym, codziennym sensie tego słowa, ale kiedy odchodzili od niej kochankowie. Odbierali jej nie tylko swoje ciało i swoją obecność, ale także jakąś część energii, która utrzymywała ją na powierzchni życia.

Jej wewnętrzny czas cofał się wtedy niepostrzeżenie i stawała się znowu małą dziewczynką, która sama śpiewa sobie kołysanki do snu. Sny zaczynały przynosić lepkie, podwodne marzenia, pełne lęku i niezrozumiałych znaków. Zabierały ze sobą całą chęć życia. Stojąc nad rozłożoną na łóżku suknią, Weronika zrozumiała, że kawaler d'Albi nie przyjedzie. Teraz brak wiadomości od niego wydał jej się oczywisty. Taki człowiek jak on nie mógł mieć kłopotów, chyba że wybrał je sobie sam. Był przecież szczęściarzem. Jedyne, co mogło się zdarzyć, to to, że zmienił plany, przestał ją kochać i znalazł gdzie indziej pocieszenie. Wszystkie jej miłości kończyły się w taki sam sposób. Tak odchodzili ci, których kochała. Delikatniejsi starali się tłumaczyć swoje odejście sprawami niezależnymi od nich. Żony, dorastające dzieci, kariera, Kościół. Mniej delikatni zostawiali jej na odchodnym cenniejszy niż zwykle prezent, jakby chcieli się wykupić z zasięgu jej miłości. Najmniej delikatni po prostu odchodzili bez słowa i czasami widywała ich potem z nową kobietą.

Weronika nie mogłaby być tym, kim była – luksusową kurtyzaną – gdyby nie wypracowała sobie pewnej filozofii odejść swoich kochanków. Ponieważ oddając im ciało, oddawała w swoim pojęciu całą siebie, nazywała to miłością. I ponieważ prędzej czy później zostawała z tą miłością sama, uwierzyła, że takie właśnie są prawa, które nią rządzą. Najpierw ma się jej do syta, do odurzenia, a potem następuje naturalny przełom i miłość zostaje odebrana. Był to fakt akceptowany przez Weronikę z coraz większym, rosnącym z wiekiem przekonaniem, lecz naprawdę nigdy do końca nie zrozumiany.

Cudem jest to, co wydaje się nienaturalne i co przeczy akceptowanym prawom. Dla Weroniki cudem była miłość wieczna i niekończąca się. Jak każda kobieta, Weronika wierzyła w cuda. Ale cuda są też tym, co się nigdy nie zdarza. Istotą cudu jest czekanie, i to był dla Weroniki stan naturalny. Samotność i nadzieja. Samotność pełna nadziei.

Dlatego lubiła oglądać obraz wiszący na ścianie w jadalni. Podobnie jak tamta blada kobieta, marzyła o jakimś wybawicielu. Smok Weroniki nie miał skrzydeł w kropki. Był ledwie mglistym, sennym kształtem, którego pojawienie się we śnie budziło zawsze dziwne przygnębienie i myśli o śmierci.

Wychodziła z jadalni i szła przed siebie szerokimi korytarzami pełnymi obrazów. Gdzieniegdzie pod ścianami stały oszklone gabloty z rysunkami. Były tam arkusze papieru wyrwane jakby ze szkicowników nieznanych z imienia mistrzów. Studium ręki, głowy pół ludzi, pół zwierząt, owoce przedstawione z każdej możliwej strony, dzbany i naczynia. Pan de Chevillon spotkał ją kiedyś w jednej z galerii i zaprowadził do gabloty, gdzie miał wiele rysunków Uccella. Widział, jakie wrażenie zrobił na Weronice obraz ze smokiem. Tutaj były szkice różnych przedmiotów, ubrań, nakryć głowy, roślin i fantastycznych zwierząt. Ale Weronikę zafascynowały rysunki rogatych czapek widzianych z różnych punktów. Fascynował ją upór tego artysty, któremu nie wystarczało narysowanie przedmiotu tak, żeby można było zachwycać się precyzją, z jaką został oddany. Nie chodziło mu nawet o podobieństwo rzeczy i jej obrazu. Przedstawiał przedmioty po wielekroć, jakby przeczuwał, że istota, sedno malowanej rzeczy to co innego niż jej przedstawienie. Rysował ją z dołu, z góry, z boku, z ukosa, manipulując kątem widzenia, a kiedy rysunek rozczarowywał go swoją umownością, nie starał się nawet skończyć pracy.

Wieczorem de Chevillon opowiedział na prośbę Weroniki o owym dziwnym artyście.

Uccello był malarzem. Miał tyle talentu i pracowitości, że mógłby stać się prawdziwym mistrzem, gdyby nie idea, której się całkowicie poświęcił i która w końcu opanowała jego umysł. Postanowił mianowicie zgłębić prawa widzenia, prawa tego, co w malarstwie nazywa się perspektywą. W jego czasach te sprawy traktowano czysto intuicyjnie. Malarz malował to, co widział i jak widział, nie dbając o prawa optyki. Na tym zresztą polega sztuka. Jeżeli obraz był przekonywający dla innych, jeżeli wzbudzał emocje lub zadziwiał, był dobry. Jeżeli nie, malarz brał się do malowania skrzyń na bieliznę.

Paolo Uccello, zwany Ptakiem, chciał posiąść tajemnicę malowanych przedmiotów. Dlaczego drzewo, które stoi dalej, wydaje się mniejsze? Dlaczego ręka Chrystusa wyciągnięta w głąb obrazu sprawia wrażenie krótszej i jakby skurczonej? Dlaczego domy stojące wzdłuż ulicy zdają się iść pod górę, piąć ku horyzontowi, mimo że w rzeczywistości ulica jest prosta, nie wznosi się ani nie opada? I jak należy malować? Czy tak jak się widzi, że jest, czy tak jak się wie, że jest?

Żaden namalowany przez artystę obraz nie zadowalał go. Relacje między malowanymi przedmiotami wciąż wydawały mu się zafałszowane. Zaczął więc najpierw rozpracowywać same przedmioty. Spędzał noce, usiłując przedstawić najlepiej, jak tylko mógł, naczynie, wazę z owocami, kunsztownie udrapowane poły płaszcza. Wkrótce zrozumiał, że kolor tylko mu przeszkadza w tych poszukiwaniach, skupił się więc na rysunku. Cienie i głębię zaznaczał zagęszczeniem kreski, światło i blask – czystą, niepoznaczoną niczym powierzchnią. Ale i to go nie zadowalało. Do swojego rysowania włączył algebrę i geometrię. Zaczął teraz obliczać skomplikowane stosunki między krawędziami, odległościami, między jedną a drugą powierzchnią. A ponieważ miał jeszcze dawne zamówienia, przy których musiał pracować w dzień, przy świetle słonecznym, swoim studiom poświęcał noce. Ślęczał przy świecy nad jednym szczególnym zgięciem rysowanego palca, nad detalem czapki, cieniem drzewa w pejzażu. Jak oddać głębię? Bo to głębia jest tajemnicą każdego przedstawienia. Bez tego trzeciego wymiaru zacierają się relacje między przedmiotami, a przecież one są równie ważne jak same rzeczy. Jego malowanym w dzień obrazom zaczynało powoli brakować życia, które zwykle spływa po pędzlu z ręki malarza. Wyobrażone postaci stały się senne, jakby wiedzione światłem księżyca. Nie ożywiała ich już ta wewnętrzna siła przekonania artysty, który je stworzył, że otaczający nas świat jest od początku do końca realny. Klienci Uccella czuli się rozczarowani i jego dobra sława zaczynała przemijać. „Komplikujesz to, co jest proste" – mówili mu jego przyjaciele malarze. A także: „Chcesz uprościć to, co jest nieskończenie skomplikowane". Lecz on uważał, że do osiągnięcia ostatecznej formuły brakuje mu już niewiele.

Bardzo w tym czasie zbiedniał i zmizerniał. Od prawdziwej śmierci głodowej uratowali go przyjaciele i zamówienie na fresk kościelny od pewnych mnichów. W tym właśnie fresku postanowił spożytkować to, co odkrył po latach eksperymentów i ślęczenia nad rysunkami: jak działa ludzkie oko i jak wygląda rzeczywistość, określona prawami optyki i perspektywy. Malował swój fresk z rusztowania, na którym zawiesił szczelną zasłonę. Nie chciał pokazywać innym, jak powstaje arcydzieło. Obłożył się miarami i obliczeniami i przez kilka tygodni nie wypuszczał pędzla z dłoni. Żywił się tylko serem, mnisi bowiem byli dość ubodzy, a może po prostu skąpi. Jesz-

cze bardziej zmarniał, ale nie dbał o to. Wiedział, że kiedy nadejdzie dzień odsłonięcia fresku, świat ujrzy i doceni geniusz artysty.

Stało się jednak inaczej. Ukończony fresk przedstawiał potop. Arka Noego była pełna najróżniejszych zwierząt: słoni, lwów, gadów i ptactwa. Na jednym z masztów statku siedział nawet kameleon przypominający wielbłąda w miniaturze, mistrz Uccello bowiem nigdy nie widział prawdziwego kameleona i wyobraził go po prostu, kojarząc nazwy: kameleon to po włosku *camaleonte,* a *cammello* – wielbłąd. Ten drobny błąd uszedłby mu na sucho, gdyby kompozycja była bez zarzutu. Widzowie jednak byli rozczarowani, zarówno przyjaciele malarze, jak i mnisi klienci. „To, co teraz należałoby zasłonić, ty odsłaniasz" – powiedzieli mu. Wszyscy zgodnie uznali fresk za dziwaczny i nieudany. Drewniane ściany arki były w dziwny sposób zdeformowane, drzewa miotane wichurą przypominały powykręcane kończyny paralityka. Głębia obrazu była narowista i niejednolita, rozpadała się na osobne plany, które nie dawały wrażenia realności. Wzburzone niebo waliło się na widza, wzbudzając nieprzyjemne poczucie zagrożenia.

To była klęska. Mistrzowi wprawdzie zapłacono za pracę, lecz nie potrafiono ukryć zawodu. Eksperyment nie udał się.

Najbardziej rozczarowany był sam Uccello. Nie chciał zrozumieć, że rzeczywistość wystawiła go do wiatru. Po raz kolejny udowodniła złośliwie, że nie można jej ująć w proste, matematyczne formuły i wzory. Już prawie nazwana i określona, wymknęła się bokiem, naigrawając się ze starego malarza.

Po tym zdarzeniu Paolo Uccello nie namalował już żadnego obrazu. Sprawdzał tylko w nieskończoność swoje obliczenia i wciąż nie mógł w nich znaleźć błędu. Zrozumiał w końcu, że malować dobrze to powielać fałsz i złudzenie, to odtwarzać miraże, jakimi mami nas rzeczywistość. Że malowanie to proces wyrzekania się własnego rozumu i pojmowania, a zawierzanie kapryśnej i pokrętnej intuicji. Że wszelkie dzieła sztuki, mimo iż potwierdzają, jak bliscy jesteśmy Boga, są w rzeczywistości skutkiem przypadkowych prób wyrażenia niewyrażalnego i w końcu okazują się tylko dziecinnym małpowaniem boskiego dzieła stworzenia.

Tę i wiele jeszcze innych historii opowiedziała potem Weronika Gauche'owi, bo przez kilka samotnych dni bardzo zaprzyjaźniła się z tym bladym i milczącym chłopcem. Być może wzruszyły ją jego zagubienie i płochliwość. Wydawało jej się, że jest w jakiś sposób do niego podobna. Zabierała go na spacery po parku, bo nie lubiła być sama. Nie przeszkadzało jej jego milczenie. Raczej ją prowokowało. Dawało jej czas i przestrzeń do mówienia i zawsze mogła być pewna, że będzie uważnie słuchana. Czasami tylko wątpiła, czy on ją w ogóle rozumie.

Odkryli razem, że przy północnym skrzydle pałacu park zmienia swój charakter i staje się bardziej dziki. Podejrzewała, że ta naturalna dzikość jest starannie pielęgnowana, jak wszystko tutaj. Były tu dwa nieduże stawy połączone groblą, nad którą wisiał wygięty w łuk kamienny mostek. Za nim zaczynało się wzniesienie, u którego stóp pod dwoma wiązami ustawiono marmurowe altanki. Tu najczęściej przychodzili. Żółty pies biegał po wzgórzu, płosząc wzlatujące nad wodę dzikie kaczki.

Weronika dużo mówiła do Gauche'a, a on szedł za nią zawsze o pół kroku z tyłu. Opowiadała mu o Paryżu, o balach maskowych w Operze, o niedzielnych spacerach z kawalerem d'Albim, o swojej Ninon, o ojcu i młodszym bracie. Mówiąc, nie patrzyła nawet na niego, tak była pewna, że jej słucha. Traktowała go jak kamienny posąg, marmurowego Hermesa z altany, którego mądrość ma tyle lat, że nie wymaga już żadnych słów na swoje potwierdzenie, a jej korzenie tkwią raczej gdzieś w parkach niż w wielkim świecie. Zdziwiła się więc bardzo, kiedy Gauche zrobił pierwszą próbę, żeby jakoś zwrócić na siebie uwagę. Idąc za nią, zbierał różne drobne roślinki, a gdy usiedli pod drzewami, na migi usiłował wytłumaczyć jej ich lecznicze zastosowanie. Wskazywał zioło, a potem część ciała, na którą ono działa, gdy ktoś był chory. Bo rzeczywiście znał się na tym, choć nie potrafił sobie wyobrazić, jak wygląda Opera, o czym rozmawiają ludzie na ulicach i jaki fason kapeluszy nosi się ostatnio. Przyjrzała się wtedy uważniej jego dziecięcej jeszcze twarzy i dostrzegła w niej coś psiego. Tak, psiego, bo czasem czując na sobie pełen miłości i przywiązania wzrok, odwracała się nagle i nie wiedziała, czy patrzy na nią Gauche, czy jego żółty pies.

Markiz spoglądał przez okno biblioteki na biegnących w stronę stawu Weronikę z Gauche'em i obszczekującego ich psa. Widoki takie jak ten

sprawiały, że miał lepszy nastrój. Widok Weroniki sprawiał, że czuł się lepiej. Był to rodzaj ulgi. Kobieta biegnąca teraz przez park była nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje, nie wiedziała, dokąd i po co ma jechać dalej, czekała na kogoś, kto się prawdopodobnie nigdy nie zjawi, i nie miała pojęcia, co zdarzy się jutro. A jednak wstawała rano każdego dnia i ów dzień niósł ją jak rzeka ku wieczorowi, który niczego nie rozwiązywał i niczego nie posuwał dalej.

– Czy możesz jeszcze raz rzucić na to okiem? – przywołał go Chevillon.

Markiz wrócił do stołu, gdzie leżała mapa. Była już gotowa. Przez kilka ostatnich dni kopiowali ją dokładnie ze zniszczonego oryginału, który Chevillon przywiózł z Niderlandów. Przedstawiała fragment mniej więcej czterdziestu mil kwadratowych obszaru Pirenejów po stronie hiszpańskiej i łańcuch dużo niższych gór Sierra del Cadí. Czarnym kółkiem zaznaczone było miejsce u stóp jednego ze szczytów, gdzie znajdował się niezwykle głęboki wąwóz, znany z tajemnych pism jako Uterus Mundi. Tam, według wszelkich domysłów, w ruinach klasztoru miała zostać ukryta Księga. Patrzyli na ten zakreślony kółkiem punkt jak na największą świętość.

– A więc wszystko jest tak, jak powinno być – powiedział Markiz, bardziej do siebie niż do przyjaciół.

Teraz musieli opracować dokładną trasę, dzień po dniu, postój po postoju. Czas naglił. Zima w Pirenejach może zniweczyć cały plan. Niektóre przełęcze będą nie do przebycia.

– Kawaler już się nie zjawi – stwierdził de Chevillon, patrząc w okno.

Nikt nie próbował temu zaprzeczyć.

– A ty? Czy ty nie mógłbyś wyruszyć z nami? – zapytał de Chevillona Markiz.

Pan de Chevillon położył mu rękę na ramieniu.

– Nie dam rady. Widzicie, w jakim jestem stanie. Starość dopadła mnie tutaj i zapewne na zawsze już tu zatrzyma.

De Berle poruszył się niespokojnie na krześle.

– Cóż znowu… – zaprotestował słabym głosem.

Od kilku dni próbował przekonać przyjaciół o konieczności odłożenia wyprawy do wiosny. Szukał argumentów racjonalnych i nie do zbicia, takich jak pogoda, niepewna sytuacja polityczna, nieobecność kawalera d'Al-

biego, brak dobrego woźnicy, przybłąkana kurtyzana. Wydawało mu się, że tamtych dwóch dotknął jakiś rodzaj głuchoty. Nie słuchali, bagatelizowali go, zmieniali temat.

Teraz bawił się cyrklem. Nagle gwałtownie odwrócił się do pochylonego nad stołem starca.

– Nie zgadzam się. Nie ma we mnie na to zgody. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ta wyprawa to szaleństwo. Znakiem dla mnie jest mój strach i... jakieś takie... sam nie wiem. Boję się i nie wiem, czy to tchórzostwo, czy złe przeczucie.

Spodziewał się współczucia, namów, rozgrzeszeń, ale zapadła cisza. Pan de Chevillon i Markiz przez chwilę patrzyli na niego ze smutkiem, a potem wrócili do pracy nad rozłożoną mapą.

Tego dnia gospodarz postanowił urozmaicić gościom wieczór przy kominku. Kazał wnieść do saloniku klawesyn, ten niezwykły instrument na pięciu nogach, i zwoje nut. Rozgrzał palce nad ogniem i zaczął grać. Grał pięknie i z uczuciem utwory swojego ulubionego Couperina. Kiedy zaczynał nowy taniec lub chaconne, dedykował je kolejno swoim gościom.

Muzyka sprawiła, że atmosfera tego wieczoru stała się jakby aksamitna. Siedząc wygodnie w fotelach i na kanapach, w milczeniu słuchali płynącej spod kościstych palców Chevillona subtelnej, perfekcyjnej melodii, aż muzyka połączyła tych pięć osób w jakąś pentagonalną figurę. Perspektywa rozbicia ulotnego pięciokąta mogłaby się wydać małą rewolucją.

Burling poczuł się zainspirowany nową sytuacją i przyniósł z biblioteki tom wierszy pewnego Anglika.

Znalazł tę książkę poprzedniego dnia, kiedy szukał czegoś do poczytania w swoim, jak mawiał, „rozkosznie brzmiącym dla ucha" języku. Zaczął czytać i skrupulatnie komentował każdy wers, usiłując go w ten sposób dokładniej przetłumaczyć. Ale wychodził z tego pêle-mêle. Wszyscy widzieli, jak bardzo Anglik się męczy. Poezja objaśniana, nieudolnie tłumaczona stawała się cieniem samej siebie. Rozdrażniony i zniecierpliwiony Burling wychylił kielich wina i zażył tabaki.

– Pragnąć się wypowiedzieć i nie móc znaleźć słów to jedna z tortur piekielnych, przeznaczonych szczególnie dla poetów – powiedział. – Chciałem

coś zadedykować pani – rzekł do Weroniki – ale czuję się tak, jak musi się czuć ten mały woźnica niemowa.

Wtedy pan de Chevillon zaskoczył ich po raz kolejny. Wziął od Burlinga książkę z wybranym przez niego fragmentem i po chwili zastanowienia wyrecytował, tłumacząc na gorąco:

...Klejnoty, brylanty
Na ciałach kobiet są to jabłka Atalanty,
Rzucane nam przed oczy; gdy kiep je ogląda,
Przyziemną duszą bardziej ich niż ciał pożąda.
Jak książka, co laika obwolutą swoją
Przyciąga, tak kobiety zdobią się i stroją:
Same zaś są księgami, w których my jedynie
(Jeśli na nas ich łaska niespodzianie spłynie)
Czytamy treść mistyczną[1].

– Nie do wiary! – wykrzyknął Burling. – Pan jest na dodatek prawdziwym poetą! A ja, naiwny, chciałem się popisać, jaki to ze mnie znawca poezji.

Długo jeszcze mruczał coś do siebie, zanim pan de Chevillon wrócił do klawesynu i zagrał znowu kilka utworów. Potem przyniesiono stolik do kart i towarzystwo zaczęło grać w basetę. Pan de Chevillon twierdził, że ma zbyt duże szczęście w grach, w których rządzi przypadek, i nie chciał być graczem. Trzymał za to bank. Grali na niskie, symboliczne stawki, lecz mimo to Burling przegrywał z kretesem. Złościł się i pokrzykiwał za każdym razem, kiedy bankier wyciągał jego kolor. Dlatego wszystkich bawiło raczej zachowanie Anglika niż sama gra.

Tylko de Berle był nieswój. Trzeba go było popędzać i przypominać, że teraz jego karta. W końcu przeprosił za roztargnienie i poszedł się położyć. Markiz popatrzył za nim przeciągle i smutno.

Siódmego dnia pobytu w Châteauroux stało się jasne, że nie mogą dłużej czekać na kawalera d'Albiego. Gdyby rzeczywiście miano go uwolnić z więzienia pierwszego czy drugiego dnia po aresztowaniu (jeżeli w ogóle tam się znalazł), byłaby już od niego wiadomość albo i on sam. Istniało prawdopodobieństwo, że sprawy nie potoczyły się po myśli kawalera i że proces się jednak odbędzie. Kawaler mógł też być w drodze. Istniała także i gorsza możliwość: impulsywny i nieprzewidywalny młodzieniec zmienił zdanie i postanowił zostać w Paryżu, choć tu, w Châteauroux, wydawało się to nieprawdopodobne.

De Berle zamknął się na cały dzień w pokoju, a wieczorem oświadczył Chevillonowi i Markizowi, że wraca do Paryża. Uważał też, że jego decyzja przesądza sprawę i wyprawa zostaje odłożona. Już chciał się kajać i przepraszać, ale Markiz, który przeglądał się w lustrze, odwrócił głowę i oświadczył:

– W takim razie jedziemy bez ciebie.

– Jak to „jedziemy"? Kogo masz na myśli? – zakrzyknął zaskoczony de Berle, patrząc pytająco na gospodarza.

– Pani Weronika, Gauche i ja – powiedział spokojnie Markiz.

De Berle na chwilę stracił mowę. Wreszcie wykrzyknął:

– Przecież to profanacja… przecież to kobieta! I wiejski głupek… przecież oni nie są wtajemniczeni! Proszę cię, nie rób tego.

– Obawiam się, że w tej sytuacji Markiz nie ma wyboru – odezwał się pan de Chevillon cichym głosem.

– Jesteście obaj zaślepieni przez własny upór. Ryzykujecie zbyt wiele. Wszystko przemawia za tym, że podróż trzeba odłożyć, czyż nie widzicie tego? Czy oślepliście? Ale ja wiem, o co wam chodzi, dlaczego tak się wam śpieszy, że nie chcecie się nawet skonsultować z Bractwem. Jesteś chory, Chevillon, umierający, i tylko Księga może ci uratować życie…

Chevillon nie odpowiedział.

– Nie mam zamiaru… – zaczął de Berle, ale Markiz nie pozwolił mu skończyć.

– Nie musisz. Po prostu nie musisz.

Pan de Berle wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Markiz był pewien, że Weronika pojedzie z nimi dalej, chociaż sam nie wiedział, skąd bierze się ta pewność. Co do niego, trudno mu było teraz zrezygnować z jej towarzystwa. Ta egocentryczna, trochę dziecinna kobieta była mu potrzebna. Przyzwyczaił się do jej obecności. Zaczynała stanowić piątą esencję tej podróży. Z drugiej strony nie było to tylko statyczne przywiązanie, ale także jakaś dynamiczna siła, która popychała go ku niej. Próbował się z tego sam przed sobą wytłumaczyć i czuł, że bardziej stwarza problemy, niż je wyjaśnia. Przyszła mu bowiem do głowy myśl, iż może do odnalezienia Księgi potrzebna jest kobieta, tak jak potrzebny jest mężczyzna, że może w tym splocie okoliczności i przypadków kryje się głęboka mądrość. Musiał się więc teraz z Weroniką rozmówić i po prostu powiedzieć jej o wszystkim. Powinien to jakoś upiększyć, udramatyzować, bo jej dziecinny umysł niewątpliwie pragnie baśni. Nie, nie chciał jej okłamać. Tej myśli Markiz się przestraszył. Musi zrobić tak, żeby się zgodziła. Wiedział, że się zgodzi. Czuł, że się zgodzi. Chciał, żeby się zgodziła. Przy niej był silny jak kawaler d'Albi.

Tego wieczoru, kiedy pan de Chevillon grał na klawesynie, Markiz poprosił Weronikę o chwilę rozmowy. Stanęli najpierw przy oknie, a potem, mimo zimnej nocy, wyszli na taras. Markiz bez wstępów poprosił, żeby jechała z nimi dalej. Powiedział, że de Berle prawdopodobnie się wycofa i że przez jakiś czas towarzyszyć im będzie Burling. Weronika nie wydawała się zaskoczona, bardziej udawała zaskoczenie, być może po to, żeby usłyszeć jakieś wyznanie. Markiz nie chciał być okrutny, a jednak to, co mówił, było dla Weroniki bolesne.

– Kawaler panią opuścił. Wiedział, co robi, pojedynkując się. Nie wierzę w inne wytłumaczenie jego nieobecności. Opuścił także nas. Nie wiem, dlaczego wcześniej postanowił zabrać panią na tę wyprawę, i teraz to już nie ma znaczenia. Nasze drogi się zeszły i jeżeli to jest przypadek, to pozwólmy mu działać.

Weronika gwałtownie odwróciła się do niego plecami.

– Mieliśmy wziąć ślub.

– Domyślałem się czegoś w tym rodzaju. To bardzo romantyczne i w stylu kawalera.

– Proszę tak nie mówić.

Nie widział w ciemności jej twarzy, ale wyobrażał sobie, że Weronika płacze.

– Niech pani nie rozpacza. Może dobrze się stało. Kawaler jest i pozostanie moim przyjacielem. Ale nie chciałbym go widzieć pani mężem. Nie pani.

Odważył się dotknąć jej policzka. Był suchy.

– Jest pani wyjątkową kobietą. Proszę, niech pani nie wraca do Paryża.

9

Każda książka może być odbiciem Księgi, stanowić jej odblask. Może przywodzić na myśl wszystkie ludzkie próby dotarcia do prawdy o świecie. Ludzie bowiem zostali obdarzeni przeczuciem, że każda rzecz, która wyda im się warta opisania, ma jakiś kosmiczny czy boski wymiar i stanie się wieczna. Dlatego właśnie cierpliwie, jak mrówki, zbierają słowa, żeby to nazwać.

A wszystko warte jest opisania. Nie tylko żywoty świętych, wielkie katastrofy, wojny czy małżeństwa królów, ale także narodziny siódmego dziecka w rodzinie tkacza, żniwa w jakiejś biednej wsi, sny obłąkanej staruszki i dzień w przytułku w Mantes. Ludzie przeczuwają, że kiedy zbierze się te mniej i bardziej doniosłe zdarzenia i złoży w jedną całość, niby porozrzucane kamyki wielkiej mozaiki, życie i śmierć ukażą swoje prawdziwe znaczenie.

Każda książka napisana przez człowieka wychodzi poza niego i jest od niego większa. Jak to możliwe? Człowiek, który pisze książkę, przekracza siebie, bo czyni odważną próbę określenia siebie i nazwania. Sam jest tylko działaniem i chaotycznym ruchem, książka zaś określa to działanie i ten ruch, nazywa, nadaje mu sens i umieszcza go w relacji z innymi. To idea, o którą walczył Uccello.

Jeżeli więc Bóg napisał Księgę, to także przekroczył w niej sam siebie i swoje dzieło stworzenia. Zawierając w Księdze całą swoją mądrość, swój brak początku i końca, prawa świata – opisał sam siebie. Odbił się w niej jak w lustrze i zobaczył, kim jest. Księga stanowi więc rozszerzenie boskiej świadomości i jest bardziej boska niż sam Bóg.

Tymi mniej więcej słowy pan de Chevillon pożegnał Markiza, w naszej opowieści bowiem zatrzymany na kilka dni w Châteauroux czas znowu posuwa się naprzód. Bohaterowie ruszają w dalszą drogę, ale teraz ze wszystkich najważniejsi stają się Weronika i Markiz. Nie dlatego że są jacyś szczególni czy wyjątkowi, ale dlatego że wytwarza się między nimi relacja,

która sugeruje, że całą podróż można zacząć od początku, lecz tym razem na zupełnie innej scenie. W dekoracjach miłości.

Kiedy pojawia się miłość, wyostrza się zdolność widzenia rzeczy, które do tej pory pozostawały w cieniu. Ale także ostrość widzenia tego, co już znane, zaciera się.

Inne osoby, jak na przykład pan de Berle, na zawsze odchodzą z tej opowieści. Tego dnia de Berle wsiadł w pocztowy dyliżans i w ponurym nastroju wrócił do Paryża. Pan de Chevillon zaś został w swoim domu, żeby czekać na powrót Markiza z Księgą. Zresztą nigdy już go nie zobaczył, umarł bowiem w miesiąc po jego wyjeździe, osłabiony jesienną pogodą, być może dlatego że nie pozwolił upuścić sobie krwi.

Weronice trudno było podjąć decyzję, choć miała na to całą noc. Markiz opowiedział jej o prawdziwym celu podróży. Opowieść o Księdze powinna była, według jego oczekiwań, wzbudzić w niej tęsknotę za przygodą i pozwolić jej znaleźć w sobie inną, wyższą motywację niż trywialna potrzeba gry w jeszcze jedną miłość. Weronika stanęła jednak przed dylematem, bo jako gracz dobry, mimo że nieświadomy, przeczuwała, iż w miłości gra się głównie w wierność. A wierność kojarzyła jej się zawsze ze stratą. To właśnie ona bywała wierna, a mężczyźni odchodzili. Nawet jeżeli naiwnie dzieliła wierność na cielesną i duchową, to ją zawsze spotykał los porzuconej.

Tymczasem Markiz mimowolnie uczynił rzecz bardzo brzemienną w skutki. Obiecał Weronice miłość i przydał tej obietnicy tajemniczości i uroku, jaki zwykle towarzyszy spełnieniu dziecięcych marzeń. Dla Weroniki, uwięzionej we własnym ciele, w świecie spotkań, kochanków, pięknych sukien, prawdziwej samotności i płochych słów, była to obietnica wyjścia poza siebie. Znaczyła więc o wiele więcej niż kolejny romans i pełna przygód podróż do Hiszpanii. Była okazją do wielkiej życiowej zmiany. I czyż podjęcie tego wyzwania nie było warte nawet żarliwej i szczerej miłości kawalera d'Albiego?

Zasypiając ostatniej nocy w Châteauroux, Weronika wciąż nie miała pewności, jej głowa była bliska decyzji, podczas gdy inne części ciała, który-

mi twardo trzymamy się ziemi, już wiedziały, czego chcą. Weronika liczyła na sen, ten nieogarniony obszar, gdzie Bóg zwykł dawać jej wskazówki. Ale, o dziwo, tej ważnej nocy spała bez snów, a kiedy się obudziła, pierwszym uczuciem, jakiego doznała, była kiełkująca i nieśmiała jeszcze radość, że zobaczy Markiza. Dla niej, która nigdy nie wystawiła nosa poza rogatki Paryża, zaczynała się wielka przygoda.

Ku zdziwieniu Markiza postanowił im towarzyszyć Burling, choć nie znał celu tej wyprawy.

W Châteauroux została większość bagaży. Zostały kapelusze ze strusimi piórami, buty z lakierowanej cielęcej skórki ozdobione klamrami, zostały ażurowe wachlarze Weroniki i wykończone brabancką koronką koszule Markiza. Zostały też: zapas peruk, słoiczki z pomadami, część książek i papier listowy z herbem. Pan de Chevillon zapakował do dwóch niewielkich kuferków, które mieli wziąć ze sobą, oraz kilku skórzanych toreb ciepłą odzież, miękkie, wypchane puchem worki do spania, pledy, okulary z kryształu, buty podbite cienkimi żelaznymi zelówkami, najlepsze na górskie trasy, zwój mocnej liny, słoik rewelacyjnej zamorskiej chininy i inne rzeczy niezbędne do przetrwania w niesprzyjających okolicznościach. Ale najważniejsza była mapa, dokładnie opracowana przez Chevillona, Markiza i pana de Berle'a. Były to właściwie dwie mapy. Jedna przedstawiała zaplanowaną trasę podróży z Châteauroux do Montréjeau i była to mapa oficjalna. Druga zaczynała się od Montréjeau i pokazywała ukryte i mało uczęszczane przełęcze w Pirenejach, małe dopływy Garonny i jeziorka skalne. Trasa prowadziła prosto na południe, a od Viella na południowy wschód, poprzez ukryte w górach rzadkie ludzkie osady, aż po Llavorsí i stamtąd, z biegiem dopływów rzeki Noguery, dalej na południowy wschód, gdzie za rzeką Segre zaczynały się Sierra del Cadí. I tu właśnie znajdował się cel podróży, zaznaczony starczą ręką pana Chevillona. Czarne kółko zakreślało miejsce, gdzie góry wiły gniazdo w postaci płaskiego obniżenia. To obniżenie miało w sobie dziurę, jakby ziemia się w tym miejscu zapadła, tworząc wielki wąwóz o stromych brzegach. Uterus Mundi. Tam właśnie, na dnie, stał opuszczony klasztor, w którym została ukryta Księga. Na mapie nie było żadnych napisów. Miasta, wsie i góry oznaczone były tylko pierwszymi literami i symbolami, chroniąc tajemnicę przed okiem profana. Mapa spoczywała złożona w futerale na piersi Markiza.

Wyruszyli około południa, bez wylewnych pożegnań. De Chevillon nie chciał wyjść przed pałac. Na długą chwilę przytulił Markiza do chudej piersi i pobłogosławił go znakiem krzyża. Widzieli jego drobną postać stojącą w oknie, aż w końcu przesłoniły ją kasztany.

I znowu zaczęła się podróż. Nieustannie zmieniające się obrazy pochłaniały ich tak bardzo, że milczeli przez cały czas. We wnętrzu powozu wyraźnie brakowało pana de Berle. Na jego miejscu leżały teraz skórzane torby.

Jechali wciąż na południe, w górę rzeki Indre. Im bardziej oddalali się od wpływów stolicy i północy, tym drogi były nędzniejsze, a mijane oberże uboższe. W pewnej wsi, położonej na pojezierzu niedaleko Limoges, musieli się zatrzymać na dwa dni i naprawić złamaną oś. Opuścili to miejsce z ulgą, bo coś gnało ich wciąż do przodu. Nad jeziorami tej jesieni była prawdziwa plaga komarów. Posuwali się coraz dalej i mieli wrażenie, że jadą jakby pod prąd. Z południa nieprzerwanie ciągnęły wozy innowierców, a oberże były przepełnione. Zdarzało się im spędzać noce w szopach, w puchowych workach pana de Chevillona.

W okolicach Brive zjechali z głównego traktu i teraz powóz turkotał po kamienistych drogach tak powoli, że szli obok niego, zwłaszcza że pod koniec września lato po raz ostatni rozszalało się upałami.

Burling rano patrzył z nienawiścią człowieka z północy na słońce i mawiał:

– *Ecce* nasz wróg już wstał.

Rozpalone powietrze wiązało w bukiety zapachy dojrzewających winnic i przekwitających ziół. Musieli zatrzymywać się w południe w cieniu oliwek. Często stracony w ten sposób czas nadrabiali w nocy.

Jazda w nocy była przyjemniejsza niż w dzień. Miała także posmak niezwykłości. Zamknięci w ciemnej przestrzeni poruszającego się pudła, słyszeli zmieniającą się w zależności od nawierzchni muzykę kół. Droga niekontrolowana wzrokiem stawała się inna, bardziej tajemnicza, bez końca. Nagła zmiana odgłosów, kiedy powóz wjeżdżał na drewniany mostek, wyrywała ich z drzemki czy zamyślenia. Kulili się w sobie lub wybici ze snu,

odruchowo chwytali się ścian. Jakby byli wciśnięci w muszlę, która przemieszcza się po dnie oceanu, popychana morskimi prądami.

Półmrok, kołyszący ruch i monotonny turkot kół stwarzały nastrój do zwierzeń. Były to rozmowy, które łatwo przechodziły w monologi. Zaczynały się od zwykłej wymiany zdań, ZWYCZAJNYCH pytań i niezobowiązujących odpowiedzi, a więc zawsze od powierzchni świata. Potem nieuważne, pojedyncze słowa ściekały niechcący albo może popychane prawem konieczności, w głąb powierzchniowych szczelin, aż do litej skały osobistych historii ludzi. Wtedy jedno niewinne pytanie wyzwalało całe opowieści. Ciemność, świadomość obecności majaczących w niej twarzy dawały komfort mówienia o sobie, a mówienie o sobie dawało komfort poczucia bezpieczeństwa.

Trudno jest się odsłonić przed innymi, gdy pozostaje się w masce człowieka dorosłego. Dlatego potrzeba trochę zabawy, żartów, rezygnacji z konwenansów. Zdjęte peruki i kapelusze wiszą na kołku i podrygują z powozem na wertepach. Rozpięte koszule, podwinięte rękawy. Wino pite wieczorem. Śpiew Weroniki. Rubaszny śmiech Burlinga. W człowieku dojrzałym cały czas mieszka dziecko i ono nosi całą prawdę o człowieku – samotność, doświadczenie opuszczenia, oczekiwanie uwagi i miłości, lęk bez powodu – tutaj zaczyna się mędrzec, wielki polityk, zwykły człowiek, każdy. To, co później robi się w życiu, jest ciągłym prowadzeniem dialogu ze sobą jako dzieckiem.

Weronika w nowy sposób zobaczyła Markiza, kiedy ten, jeszcze w Châteauroux, wspiął się w czasie jakiejś rozmowy lekko na palce, żeby się przejrzeć w lustrze. Zrobił to pewnie mimowolnie, a jednak było w tym ukradkowym sprawdzeniu własnej twarzy w zimnej tafli lustra coś z bezbronności dziecka, które wciąż potrzebuje potwierdzenia, że jest. Weronika ujrzała wtedy Markiza bez tej zewnętrznej pewności siebie, uczonej mowy i tonu człowieka, który uważa, że zawsze ma rację. Wydawało jej się, że chwyciła koniec nitki, która prowadzi do kłębka tego, czym jest Markiz. Podążając za nitką, wyczulona na każdy sygnał, z dnia na dzień widziała coraz więcej. Ten mężczyzna zrzucał przed nią kolejne maski i stawał się coraz bardziej bezbronny, a przez to narażony na chłód i kanciastość świata. Trzeba go więc było bronić, ochraniać, ogrzewać słowami i własnym od-

dechem, i w końcu odziać w ciepło swojego uczucia. Z tej strony przyszło na Weronikę coraz większe zakochanie.

W czasie jazdy siedziała wciśnięta w kąt powozu i nawet wtedy kiedy brała udział w rozmowie, pilnowała się, żeby jej wzrok nie natknął się przypadkiem na wzrok Markiza. Bała się, że ten i słaby, i silny mężczyzna przechwyci go i na zawsze uwięzi w sobie.

Weronika była zdziwiona sobą, bo nagle odkryła siebie dawno już zapomnianą. Zadziwiały ją własne skrępowanie, własna nieudolność w korzystaniu z szerokiego wachlarza sztuczek kurtyzany. Zapomniała, jak być ponętną i kokieteryjną, jak obiecująco i wymownie patrzeć na mężczyznę i jak z pełną świadomością tego, że się wzbudza pożądanie, poruszać biodrami i niby przypadkiem ocierać się o mężczyznę. Bo też w tym rozumieniu Markiz nie był dla niej mężczyzną. Był raczej jej ojcem i dzieckiem jednocześnie. Był także największym mędrcem i największą niewiadomą.

Kiedy więc po raz pierwszy odważyła się do niego zbliżyć, dotknąć go, zrobiła to jak matka albo jak córka. Podrażnione upałem i kurzem oczy Markiza zaczęły chorować. Na którymś postoju podeszła więc do niego ze swoją chusteczką i po prostu mu je przemyła.

Dla Markiza pierwszą emocją, od której zaczęły się wszystkie inne, było współczucie. Było mu od początku żal tej kobiety. Już wtedy kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, wysiadającą z małego powoziku na przedmieściu Saint-Antoine, wiedział, że została oszukana, i zrozumiał jednocześnie, że najczęstszym sposobem postępowania wobec kobiet jest właśnie ich oszukiwanie. Przemknęło mu wtedy przez głowę pewne wspomnienie, którego się wstydził. Jako mały chłopiec, może sześcioletni, a więc w wieku, kiedy przyjemność nie jest jeszcze związana w żaden konkretny sposób z ciałem, ale zdaje się brać z jakichś snów nie do przypomnienia i nazwania, wciągał kilkuletnie jak on sam bliźniaczki, córki praczki, w parkowy gąszcz czarnego bzu i szczypał je po nagich nogach i ramionach. Dziewczynki patrzyły najpierw zdziwione, a potem uciekały z płaczem. Nie wiedział wtedy jeszcze nic o pożądaniu, a jednak gnębienie tych dziewczynek sprawiało mu dziwną przyjemność, o której wiedział skądś, że jest zła i grzeszna.

To wspomnienie trwało ułamek sekundy i Markiz zaraz z ulgą o nim zapomniał. Będąc człowiekiem dojrzałym, nie chciał nigdy nikogo krzywdzić,

choćby i z tego powodu, że jak wierzył, każdy zły uczynek i tak do niego wróci, psując mu jego moc i ciągnąc go ku ziemi.

Markiz należał do ludzi świadomych tego, co się z nimi dzieje. Wiedział wiele o prawach, które popychają ku sobie mężczyznę i kobietę, które są poza wolą, wyborem i zdrowym rozsądkiem. Doktryna Bractwa także o tym mówiła.

Każdy człowiek nosi w sobie zaczątki różnych osobowości, są to jakby niewykiełkowane zalążki zupełnie innych, potencjalnych ludzi. Życie rozwija tylko tę, która staje się osobowością nadrzędną, właściwą. Te inne jednak nadal tkwią w człowieku, nawet jeśli niedojrzałe, niepełne, ledwie narysowane, to wciąż bardzo konkretne. Kiedy owa wiodąca osobowość z jakichś przyczyn słabnie, te inne dochodzą do głosu. Stąd bierze się szaleństwo, poczucie opętania, rozbicia. Stąd także bierze się miłość, bo czasem się zdarza, że spotkane w życiu przypadkowo osoby są w zaskakujący sposób do nas podobne, pokrewne nasionom, które nosimy w sobie. Rozpoznanie tych ludzi i dążenie do wciągnięcia ich w swoją orbitę jest właśnie tym, co nazywa się miłością.

Markiz, jako człowiek wykształcony, znał także opowieść starożytnych o poszukujących siebie nawzajem połówkach pierwotnej całości, jaką był kiedyś człowiek, zanim gniew bogów podzielił go na mężczyznę i kobietę. Znał także powszechną na Wschodzie filozofię wędrówki dusz, które szczególnie sobie bliskie w jakimś życiu, poszukują potem siebie w następnych wcieleniach. Jako człowiek wychowany w duchu protestantyzmu, głęboko i dziecinnie wierzył w predestynację i w to, że cokolwiek się w życiu robi, leży już w planach i zamysłach Boga. Był więc przygotowany na fakt, który go mimo wszystko zdziwił. Że nie może oderwać oczu i myśli od bladej, delikatnej twarzy Weroniki, od ruchów jej głowy i stale umykającego przed nim wzroku.

10

– Kiedy wyrusza się w podróż, należy pamiętać, że mimo wszystkich przygotowanych tras, map, zarezerwowanych noclegów oraz przypadków i niespodziewanych wydarzeń, to Bóg rozwija przed nami ścieżki. Wszelkie podróże, od najmniejszych, najbardziej prywatnych, podejmowanych na przykład dla odwiedzenia krewnych, aż po ogromne, przez morza, na krańce znanych światów, że wszystkie te podróże mieszczą się w pedantycznych i drobiazgowych planach Boga. To on stwarza bezdroża, żebyśmy mogli wytyczać przez nie drogi, on wyznacza granice, żebyśmy mogli je przekraczać. On, jakby przez nieuwagę, pozostawia między szczytami przełęcze i przez strumienie przerzuca pnie zwalonych drzew. To on, budząc w nas niepokój i poczucie niespełnienia, wyprawia nas w drogę. I on utrzymuje nas w złudzeniu, że to my sami wybieramy kierunek. Tymczasem wszystko się już zdarzyło. Dla Boga nie ma przyszłości ani niespodzianek – mówił Markiz, krocząc w upale obok powozu.

– To brzmi jak hymn – powiedział Burling.

Jeżeli wszystko jest rzeczywiście w rękach Boga, to Bóg nie mógł wymyślić nic lepszego niż konieczność podróżowania nocą z powodu fali upałów. Wspólna, ograniczona niewielką przestrzenią ciemność zbliżyła obu mężczyzn. Z pewnością Burlingowi trudniej było zdejmować, nawet w ciemnościach, maskę rubasznego, choć pełnego dystansu prześmiewcy. Kiedy jednak powoli zdał sobie sprawę z zawiązującego się między Weroniką, Mignonne, Milutką, jak ją nazywał w myślach, a Markizem subtelnego stosunku, sytuacja stała się dla niego klarowna i bezpieczniejsza – stał z boku. Z początku nie sądził, by gra o tę Mignonne była warta zachodu. No cóż, była piękna i miła, ale… Potem, zdziwiony pełną szacunku uwagą, jaką darzył Weronikę Markiz, przestał o niej myśleć i mówić „Milutka”, jakby zaufał przyjacielowi. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyjął wobec tej pary rolę świata, który patrzy, widzi i akceptuje. Markiz był za to wdzięcz-

ny Burlingowi, choć mogłoby się wydawać, że nie jest mu potrzebna żadna akceptacja. I jakby w nagrodę opowiedział Anglikowi o Księdze, a mówiąc o Księdze, odsłonił się. Burling przeżył wtedy coś w rodzaju szoku. Markiz jako pewny siebie, mocno stąpający po ziemi dyplomata, który jedzie do ościennego kraju w interesach, przestał istnieć. Burling zobaczył teraz przed sobą szaleńca, bo jak inaczej można nazwać człowieka, który poświęca swoją karierę, pieniądze, ryzykuje życie, żeby zdobyć coś tak nierealnego jak Księga? A jednak taki rodzaj szaleństwa pociągał Burlinga. Jako racjonalista, zwolennik Kartezjusza i piewca rozumu, w głębi duszy potrzebował wody ze źródła baśni i przesądu. Choćby po to, żeby z nimi walczyć, bo walczy się przecież z tym, co najbardziej pociąga. Człowiek, który opowiadał mu te baśnie, był kimś, kogo szanował, kogo zaczął już traktować jak przyjaciela, osobę wielkiego rozumu i wiedzy.

Cały następny dzień Anglik przeżył w wielkim pomieszaniu. W jego racjonalnym wyobrażeniu świata nie było miejsca na coś takiego jak Księga. Świat składał się z materii ożywionej tchnieniem Boga. Bóg tchnął w nią życie w momencie tworzenia i od tej pory przejawiał się tylko w prawach nią rządzących. Że Bóg istnieje, w to Burling nigdy nie wątpił, ale uważał, że jest tak daleki, tak odległy, że być może nie ma już wpływu, czy też raczej nie chce mieć wpływu na to, co się dzieje tutaj. Burling nie dopuszczał więc żadnego innego sposobu kontaktowania się Boga z ludźmi; chyba że poprzez prawa natury. Bóg, który przejawiałby się wbrew stworzonym przez siebie prawom, przeczyłby własnemu istnieniu.

Burling wytężał całą swoją inteligencję, żeby jakoś wyjaśnić to, co wydawało mu się kompletnie niespójne. Rozwiązanie przyszło samo – nagły, jasny wgląd w sedno sprawy, bez słów, bez retoryki. Otóż pojął, że Księga jest symbolem tych wszystkich praw, które rządzą materią, jest myślowym ukonkretnieniem celu wszystkich ludzkich poszukiwań, badań, doświadczeń, eksperymentów i odkryć. Jako rzecz fizyczna nie istnieje. Któż by miał ją napisać? W jakim języku? Po hebrajsku czy po francusku? Może po łacinie, żeby była lepiej zrozumiała w Europie? I przede wszystkim – w jakim celu? Bo jaki to wszystko miałoby sens, gdyby drobiazgowe badania, zbliżanie się krok po kroku do prawdy, wyliczenia, dowody, gdyby to wszystko można było pominąć dzięki przeczytaniu Księgi? Jaki sens miałby wtedy rozwój, postęp, jaki sens miałyby poszukiwania i wątpliwości

człowieka, jego zmaganie się z własnymi możliwościami pojmowania, jeżeli wszystko jest już wyjaśnione i zapisane w Księdze, którą może znaleźć każdy?

Rozgorączkowanemu Burlingowi wydawało się jednak, że jego myślenie zatacza kręgi i wciąż wymyka mu się to, co najważniejsze. Wyobrażał sobie, co by mogła zawierać Księga, gdyby rzeczywiście istniała. Co aż tak ważnego, że nazwano ją Księgą Życia? Może to zbiór jakichś praw w stylu tych słynnych wzorów Newtona z Cambridge? Albo jedno tylko prawo, które zawiera w sobie wszystkie inne, prawo-matka? Może jakieś formuły alchemiczne? Burling miał wiele uznania dla alchemii i podniósłby ją nawet do rangi nauki, gdyby nie ten przerost mistycyzmu. Nagle przypomniał sobie pana de Chevillona i jego dom, przepych i bogactwo. Złoto! Od razu wiedział, że bogactwo Chevillona jest podejrzane. Lecz skoro Chevillon znał tajemnicę uzyskiwania złota ze zwykłych pierwiastków, to po co planowałby wyprawę po Księgę? Powodem musiało być coś konkretnego, coś materialnego, co daje korzyść. Samo abstrakcyjne Poznanie nie mogłoby tyle znaczyć dla nikogo. Baśń czy mit nie mógłby łudzić ludzi takich jak Markiz. I wtedy kołujące niczym muchy myśli Burlinga zatrzymały się na moment i jednocześnie trafiły w sedno. Burling z ulgą przymknął oczy i szepnął:

– Eliksir życia, eliksir wiecznej młodości. Dlatego Chevillon… ten starzec… to finansuje… I Markiz…

To mogło być rozwiązanie. To na pewno było rozwiązanie. I Burling postanowił spytać o to Markiza wprost. Lecz po spędzonym w oberży popołudniu, kiedy wsiadali do powozu, efekt jego długich rozmyślań wydał mu się nagle dziecinnie głupi. Patrząc na Markiza, zawstydził się własnej podejrzliwości i wiary w zbyt proste, narzucające się rozwiązania.

– Powiedz mi, panie, proszę – zwrócił się potem do Markiza – ale szczerze, jeżeli nie jest to oczywiście tajemnica, czy pan de Chevillon… czy on potrafi robić złoto?

Markiz zamarł z ustami pełnymi winogron.

– Co ci, panie, na miłość boską, przychodzi do głowy?

– Ten jego dom, ta służba, te niekończące się ogrody…

Markiz uśmiechnął się pod nosem i z zainteresowaniem wpatrywał się w dojrzałe owoce.

– Przecież, o ile mi wiadomo, nie wierzysz, przyjacielu, w możliwość uzyskania złota domowym sposobem.

– Przebywanie z tobą zmienia moje obyczaje i sądy. Czasem myślę, że mógłbyś mnie przekonać o istnieniu smoków, gdyby tylko przyszło ci to do głowy – odrzekł Burling z pretensją w głosie i po chwili dodał: – Ale ty wierzysz w transmutację metali?

– Tak, ale dla mnie nie jest to kwestia wiary. To fakt, mój drogi. Złoto, jako konkretny i pożądany przez ludzi metal, daje się uzyskać przez transmutację, i nie ma co robić z tego sensacji. Dla adepta alchemii otrzymywanie złota ma jednak wartość gratyfikującą, ale nie z powodu spodziewanego bogactwa. Pokazuje mu, że dzięki wytrwałości, odwadze, wierze, wyrzeczeniu i wtajemniczeniu zaszedł tak daleko. Złoto jest symbolem, a jeżeli nawet Chevillon umie je zrobić… to, powiedzmy, nie czyni z tego użytku.

– Gdy tymczasem setki alchemików tutaj, w Anglii i całej Europie spala prawdziwa *auri sacra fames*. Ludzie potrzebują złota jako złota, a nie jako symbolu.

– Są alchemicy różnego autoramentu. Większości z nich daleko do prawdziwej wiedzy. W gruncie rzeczy pragną sławy i bogactwa. Dlatego tak gorączkowo poszukują formuły na uzyskanie złota. Gdyby udało im się, świat byłby pełen wojen, grabieży, podstępów i kłamstw. Rządy państw prześcigałyby się w próbach poznania tajemnicy. Alchemików więziono by i szantażem czy torturami zmuszano do produkcji złota na wyposażenie armii, na nowe zaciągi żołnierzy, mundury, muszkiety, armaty. Ten, kto by zdobył adepta tej nauki i uczynił z niego niewolnika, byłby władcą świata. Nie trzeba być szczególnym mędrcem, żeby się domyślić, ile zła by to przyniosło. Dlatego ci, którym udaje się zrobić złoto, utrzymują ten fakt w głębokiej tajemnicy. To są ludzie o czystych duszach, bo jakże inaczej udałoby im się ingerować w boskie procesy? Dla nich złoto jest po prostu metalem, takim jak srebro czy rtęć, a przez to, że należy do Słońca, jest koroną wszystkich innych pierwiastków.

– Zadziwia mnie, że mówisz, panie, o otrzymywaniu złota, jakby to była rzecz oczywista – powiedział Burling, a w jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Co może być bardziej oczywiste niż własne doświadczenie? – odrzekł Markiz tajemniczo i podsunął Burlingowi kiść owoców. – Widziałem transmutację. Człowiek, który tego dokonał, żyje i dalej eksperymentuje. Dlatego nie wymieniam go z imienia.

– Jak to wygląda, proszę nam opowiedzieć! Jak to się dzieje? – odezwała się Weronika, nagle zaciekawiona rozmową.

– Bierze się rtęć i topi w tyglu odpowiednią jej ilość. W ostateczności może być ołów. Do tego dodaje się czerwonej tynktury, czyli *lapis philosophorum*. Po dokładnym zmieszaniu tygiel jest pełen płynnego złota.

– Nie wierzę, jak mi Bóg miły, nie wierzę – powiedział Burling. – Takie rzeczy są niemożliwe.

– Nie musisz wierzyć akurat mnie, ale nie ja pierwszy i nie ja ostatni o tym mówię. Znam co najmniej kilku ludzi, którzy poznali sposób na uzyskanie złota, i wiem, że wielu alchemików nie przyznaje się do tego, iż panuje nad transmutacją. Niektórzy zostawiają recepturę potomnym.

Burling się żachnął.

– Znam ci ja te receptury pełne niezrozumiałej, dziwacznej łaciny, symboli i przypowieści! To raczej kunsztowna poezja niż opis konkretnego postępowania.

– Tak samo jak filozofowie to poeci, którzy ze swoich przeczuć tworzą systemy. Mógłbym ci odpowiedzieć słowami jednego z alchemików-poetów: „Czy sądzisz, że przekażemy ci jasno i zrozumiale największą z tajemnic? Przyjmij nasze słowa w ich prostym znaczeniu. Zapewniam cię, że biorąc dosłownie to, co napisali mędrcy, wpadniesz w labirynt, w którym zginiesz, a twoja praca i wydatki będą daremne” – zacytował z pamięci Markiz.

– Więc to jest specjalnie użyty kamuflaż?

– Tak, to ukrycie w słowach wielkiej tajemnicy, do której poznania każdy musi dojść samodzielnie, najwyżej z pomocą Boga. Mówiłem wam, co mogłoby się zdarzyć, gdyby tajemnica dostała się w ręce ludzi na nią nieprzygotowanych. Poznanie mogłoby się stać nieszczęściem dla ludzi. Dam wam przykład. – Markiz odsunął owoce i rozsiadł się wygodnie. – W czasach poprzedniego króla i kardynała Richelieu mieszkał w Paryżu człowiek nazwiskiem Dubois. Znalazł on w papierach pozostawionych przez swojego pra-

dziada, słynnego na cały świat Flammelusa, receptę na proszek czyniący złoto. Flammelus był nieostrożny, zostawiając taką receptę, i tą nieostrożnością spowodował śmierć swojego prawnuka. Dubois, nie będąc w żaden sposób, duchowo ani intelektualnie, do tego przygotowany, zaczął robić złoto. Nie krył się z tym zresztą wcale. Zaraz też wieść o nim dotarła do żądnego władzy kardynała, który kazał go po prostu aresztować. Zmuszony do zademonstrowania w obecności króla całego procesu transmutacji, Dubois zamienił ołowianą kulę w czyste złoto, a ponieważ nie chciał zdradzić tajemnicy i nie zmusiły go do tego nawet tortury, kardynał, obawiając się takiego człowieka, kazał go powiesić. Z politycznego punktu widzenia miał rację. Gdyby Dubois dał się przekupić niemieckiemu czy angielskiemu władcy, wielkość Francji byłaby zagrożona. Albo też całkiem niedawno, kilka lat temu, głośny był przypadek niejakiego Delisle'a, ucznia tajemniczego mistrza. Młodzieniec ów jeździł po Francji i demonstrował sztukę uzyskiwania złota i srebra. Istnieje świadectwo poważnego i rozsądnego biskupa, w którego obecności Delisle, topiąc żelazne gwoździe, otrzymał srebro. Wkrótce został porwany i przyprowadzony przed oblicze ministra skarbu, od niego to wiem. I Delisle także, mimo gróźb, próśb i obietnic, nie chciał wyjawić tajemnicy. Został zamknięty w Bastylii i tam, obawiając się dalszych tortur, odebrał sobie życie. Także twój rozsądny i oświecony kraj, przyjacielu, wydał podobnego człowieka. Słyszałeś o Jamesie Butlerze, szkockim szlachcicu?

– Nigdy.

– Otóż w młodości przebywał on w niewoli u Arabów i służył jakiemuś arabskiemu adeptowi alchemii. Udało mu się wykraść pudełko z czerwonym proszkiem i uciec. Kiedy znalazł się w Londynie, zaczął robić złoto. Żył wystawnie i beztrosko, aż zamordowali go ludzie, którzy usiłowali wykraść mu tajemnicę. Do dziś nie wiadomo kto.

– To brzmi trochę jak fantastyczne opowieści przy kominku – powiedział nieprzekonany Burling.

– Mamy wolność osądzania rzeczy. Jeżeli jednak polegasz na autorytetach, to może da ci do myślenia, że alchemikami było wielu wielkich ludzi. To Platon uznał, że człowiek jest odbiciem całego wszechświata. Siły ludzkiego życia to te same siły, które poruszają planety. Poznając siebie, poznaje się świat zewnętrzny. I odwrotnie. Alchemia może być uważana za spo-

sób poznawania procesów zachodzących równolegle wewnątrz i na zewnątrz. Kamień filozoficzny byłby osiągnięciem pełnej wiedzy, i o sobie, i o świecie. Jeżeli popatrzysz na to w ten sposób, to nie będzie już sprzeczności pomiędzy wiedzą alchemiczną, tajemną, a wiedzą naturalną. Zauważ, że ci, którzy wnieśli wiele do nauki, byli zwykle także wielkimi wtajemniczonymi. Hermes Trismegistos, Ostanes z Persji albo egipski Ptolemeusz, wielki uczony, astrolog. Słyszałeś pewnie, panie, o filozofie Demokrycie z Abdery, który umiał stapiać kamienie i wyrabiać szmaragdy. Albo o Marii Żydówce, jednej z wielu kobiet zajmujących się wiedzą tajemną. To ona wynalazła aparat do destylacji i dzięki temu zbudowała podstawy praktyki alchemicznej. Lecz największy alchemik pochodził z krajów arabskich – to Dżabir, mędrzec, autor dzieła *De occulta philosophia*, które wciąż, po tylu latach, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. A Awicenna, lekarz i filozof, albo Zosimos z Panapolis, gnostyk, którego nie lubi Kościół? A Albert Wielki, dominikanin, święty katolicki, zwolennik Arystotelesa?... Alchemią zajmował się Roger Bacon i nawet Tomasz z Akwinu, który jednak uczciwie ostrzegał, że nauka ta może kusić osoby niedojrzałe moralnie do schlebiania własnej próżności i pożądliwości bogactwa. W naszych czasach największym alchemikiem był bez wątpienia Arnold de Villanova. Posądzono go o paktowanie z diabłem...

– Czy ty aby nie unikasz, dzięki temu wykładowi, konkretnej odpowiedzi na pytanie o Chevillona, panie? – przerwał mu Burling.

Markiz popatrzył na niego uważnie.

– Nie, nie chce robić złota ani nie pożąda eliksiru młodości. Chevillon nie jest człowiekiem, który by pragnął nieśmiertelności na tym świecie. Zadowolony?

Burling milczał, zaskoczony przenikliwością Markiza. Wyglądało na to, że szykuje się, by coś ważnego powiedzieć. Potem jednak wypuścił powietrze z płuc, jakby się poddając.

– Doprawdy, czuję się dziwnie – powiedział. – Jakiś rozdwojony. Nie chodzi o to, że mnie przekonałeś do czegokolwiek. Jedna część mnie pragnie wierzyć we wszystko, co mówisz, a druga się z tej pierwszej wyśmiewa.

Markiz wyrzucił przez okno obraną z owoców gałązkę winogron.

– Nie chcę być przyczyną zamieszania w twojej głowie.
Burling machnął ręką i zwrócił się do Weroniki:
– Nie słuchajmy go, pani, bo nam ten czarownik ukradnie dusze.

11

Markiz był bardzo sprawny zarówno w dyskusjach, jak i w organizowaniu noclegów i zaopatrzenia w żywność podczas następnych kilku dni podróży, kiedy powóz powoli, ale konsekwentnie zdążał na południe. Ale nie czuł się dobrze. Może martwił się tym, że Burling lada dzień pożegna się z nimi i odbije do swojej Tuluzy. Może obawiał się rychłego nadejścia jesiennej pogody. Może w końcu bał się swojego rosnącego zainteresowania Weroniką, mimowolnego kierowania ku niej wzroku, uwagi i myśli. Nie chciał wiedzieć, że kocha, bo nie chciał się zastanawiać, co to oznacza. Coraz więcej jednak potrzebował samotności i co paradoksalne, izolacji od tej, ku której nieubłaganie dryfował.

Burling dostrzegł jego chwile zamyślenia i nieobecności i starał się być szczególnie ostrożny. Nie dopytywał się, nie wyciągał Markiza na zwierzenia. Uprzejmy i dobrze wychowany, nie rościł sobie praw do jakiejkolwiek ingerencji. Było mu jednak żal Markiza i może dlatego prowokował intelektualne rozmowy na neutralne tematy, żeby zająć czymś myśli przyjaciela. Rozmowy te były zawsze aktualnym komentarzem do tego, co się właśnie działo, do obserwowanych przez okna powozu karawan hugenotów, do pełnych niepokoju czy zacietrzewienia dyskusji przy sąsiednich stolikach w odwiedzanych oberżach, do opowieści o Księdze.

A Markiz czuł się coraz gorzej. I to nie tylko na duszy. Jego oczy, ciemne i wyraziste, zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Stały się piekące i zaczerwienione, a po zmierzchu łzawiły. Co wieczór Weronika robiła mu okłady z ziół przynoszących ulgę – rumianku, nagietka i babki. Markiz oddawał się w jej ręce z ulgą, zadowoleniem i wdzięcznością. Już od południa zaczynał na to czekać.

– Skąd tyle wody w pana oczach, Markizie? – pytała go Weronika, przygotowując kawałki czystego płótna na kompresy.

– Chyba lód we mnie topnieje – żartował Markiz i całował delikatnie jej opiekuńczą dłoń.

Któregoś z październikowych dni zatrzymali się w dużej oberży, jedynej w miasteczku, które wyrosło na ich drodze.

Gospoda pękała w szwach. Nie było miejsca ani w izbach na górze, ani w stajni na dole. Przy stołach siedzieli zmęczeni ludzie w przybrudzonych ubraniach. Kobiety tuliły małe dzieci, mężczyźni przysypiali, oparci o drewniane ławy.

Burling dowiedział się od tęgiej oberżystki, że wszyscy ci podróżni są hugenotami z okolic Montauban, jadącymi do Niderlandów.

– Nie możecie liczyć, panie, na nocleg u mnie. Tu nie da się już szpilki wcisnąć. Jeżeli dołączycie do tych ludzi, to może uda się wam przespać w domu pastora. Ale coś do jedzenia jeszcze się znajdzie.

Kiedy czekali na skromną kolację, Markiz wdał się w rozmowę z młodym mężczyzną, który grzecznie zrobił mu miejsce przy stole. Od niego się dowiedział, że przed kilkoma dniami król oficjalnie odwołał edykt z Nantes. Odtąd jedynym legalnym wyznaniem w królestwie Francji stawało się wyznanie katolickie. Innowiercy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Młody człowiek nie miał zbyt wiele do stracenia. Był tylko czeladnikiem garbarskim, nie założył jeszcze rodziny. Jednak wielu jego bliskich zdecydowało się pozostać, udając nawróconych, bo przecież nie zmienia się wiary z powodu jakiegoś podpisanego przez króla dokumentu. Mężczyzna liczył, że da sobie radę w nowym kraju, był przecież fachowcem od wyprawiania skór. Ludzie wszędzie potrzebują dobrej skóry na buty, rękawiczki i torby. Martwił się tylko o rodziców, których zostawiał tutaj – upokorzonych, samotnych, starych.

Markizowi znowu przypomniała się matka. Przypomniała mu się z całą swoją bezradnością i brakiem zrozumienia tego, co się wokół dzieje. Oszukiwana i wykorzystywana przez męża, trzymająca się swojej wiary jak ślepiec laski. Czy ośmieliliby się jej coś zrobić? Dokąd pójdzie, kiedy jej pastor stanie się z dnia na dzień szewcem albo ucieknie jak inni? Pierwszą myślą Markiza było przyłączyć się do tej grupy i zawrócić. Zabrać matkę z zimnego domu, który stał się przyczyną jej artretyzmu, i pojechać do tych Niderlandów, tej ziemi obiecanej. Nie myślał o żonie i synu. Do nich nie tęsknił.

Wobec nich czuł się w porządku. Miał przed oczyma tylko tę starą kobietę, karmiącą rude koty.

Ową noc spędzili w domu hugenockiego pastora. Fala smutku i zniechęcenia opadła na Markiza jakąś obezwładniającą mgłą. Znał to uczucie i nie próbował z nim walczyć. Zdawał sobie sprawę, że dojrzewało, wzbierało już od pewnego czasu, niby ciężkie burzowe chmury.

Markiz miewał napady melancholii. Wydawały się niezależne od wydarzeń, pojawiały się znikąd. Zewnętrzne okoliczności były jedynie pretekstem, żeby niespodziewanie rozlać się w jego duszy z jakiegoś ciemnego, ukrytego miejsca. Zaczynały się zwykle poczuciem pewnej nieprzystawalności do reszty świata. Odczuwał wtedy, że jego osoba, tak, właśnie jego osoba, nie on sam, że jego osoba jest jakimś naddatkiem w harmonijnym, zrównoważonym świecie. Jakby przez swoje istnienie zaburzał doskonałą równowagę świata. Czuł się wtedy pryszczem na twarzy świata, rakowatą narośla na jego zdrowej tkance. Na świecie było o jednego za dużo. To właśnie poczucie go obezwładniało. Nie istniało takie miejsce, gdzie mógłby się schować, zmieścić, do którego by pasował. Kiedy się kładł na łóżku, burzył ideę łóżka, kiedy próbował chodzić tam i z powrotem, zakłócał spokój otaczających go rzeczy, kiedy mówił, jego słowa nie miały znaczenia, nazywały to, co już zostało nazwane. Jego głos brzmiał jak niemiły dla ucha hałas. Nie mógł się przed sobą ukryć.

Najlepsza bywała wtedy terapia luster. Markiz przeglądał się w nich, próbując w swojej twarzy i ciele znaleźć powód tego stanu rzeczy. Co w nim było takiego, że nie pasował do świata? Czy ta nadmierność jego istnienia dawała się zobaczyć? Lustra nieodmiennie pokazywały mu tę samą twarz i to samo ciało. Brązowe, jakby załzawione oczy pod wysokim czołem, prosty, ostry nos, duże, wydatne usta.

Ta choroba dręczyła go od dzieciństwa i już wtedy próbował znaleźć dla niej wytłumaczenie. Jako dorastający chłopiec zrobił sobie kalendarz, na którym przy każdym dniu zaznaczał specjalnym znakiem swój nastrój. Myślał, że taki wykres unaoczni mu z czasem jakiś porządek, zależny może od pór roku, faz Księżyca, odejść i powrotów ojca, migren matki. Ale dość szybko zorientował się, że taki porządek nie istnieje.

Kiedy miał więcej lat, nauczył się badać aspekty planet. Rysował wykresy opozycji i kwadratur. Obliczał tranzyty. W owych czasach melancholię

przypisywano wpływom Saturna. Nie badano wtedy ani napięć społecznych, ani stosunków w rodzinie, nie znano hormonów ani mikroelementów. Takie sprawy były zawsze błahe w porównaniu z tym, co działo się w teatrze nieba. A ponieważ Markiz urodził się z początkiem zimy, kiedy zmęczone Słońce wchodzi w znak Koziorożca, którym włada Saturn, uznał, że właśnie to ciało niebieskie jest sprawcą nawracających wciąż napadów smutku. Swoją uwagę skoncentrował więc na śledzeniu powolnego ruchu Saturna. Rysował koła, na których zaznaczał punktami pozycje planet, a kreseczkami kąty, które planety tworzyły z Saturnem. I tu był bliżej znalezienia jakiejś prawidłowości, lecz czy jego intelektualna zdolność ogarnięcia tych skomplikowanych wzajemnych zależności była zbyt mała, czy może nie starczało mu cierpliwości do obliczeń, dość, że i ta droga nie doprowadziła go do jasnej, jednoznacznej odpowiedzi.

Potem Markiz stał się całkiem dorosły. Był ważną osobą, mężem i ojcem, i dostąpił pierwszego wtajemniczenia w Bractwie. Wtedy zaczął podejrzewać, że i planety wraz z całym niebem mają gdzieś wyżej własne niebo, determinujące ich ruch. Przyczyna doskonale harmonijnej muzyki sfer byłaby więc gdzie indziej i nie dawałaby się ująć w wykresy, liczby i znane mu wzory Keplera.

Wtedy to Markiz z pokorą zaakceptował swoje cierpienie, nie próbując go dalej tłumaczyć. Kiedy przychodziło, odsuwał się od świata i przyjmował je w samotności, niby jakiś ponury, ciężko strawny sakrament. Pełen obrzydzenia i zniechęcenia leżał całymi godzinami z otwartymi oczyma. Nie jadł, nie mył się. Z jeszcze większym obrzydzeniem wstawał, żeby się wypróżnić, a potem znowu leżał.

Po pewnym czasie, niekiedy po kilku godzinach, a innym razem po kilku tygodniach, wszystko wracało do normy. Świat przyznawał mu wspaniałomyślnie rację istnienia.

Strzeżcie się wpływów Saturna, mawiali wtedy astrologowie. Ta planeta to starzec z kosturem kroczący po niebie. Jego wielki i ciężki płaszcz rozpościera się nad wszystkim niby niewidzialna, duszna mgła, od której szarzeją wszelkie kolory. Czerwienie i amaranty bledną, stając się zaledwie różem czy beżem. Popiół sypie się na ziemię z jakichś niewyobrażalnych zakamarków nieba. Przysypuje wszystko, co żywe, i każe mu zastygnąć

w symboliczne, trudne do odczytania figury. Rzeczy nikną pod nim, zostają z nich tylko cienie – ogromne ciemne plamy na powierzchni życia.

Godziną Saturna jest zmierzch, kiedy dzień słabnie i zachowuje się jak mdlejąca kobieta – traci barwy, wiotczeje, siła wysącza się z niego drobnymi kroplami. Zmierzch jest przeczuciem bezruchu nocy. O zmierzchu nawet najbardziej niewinne i stojące u progu życia istoty boją się śmierci. Zwierzęta chowają się do nor, rośliny zamierają, a ludzie zapalają świece i garną się do ognia. Jeżeli noc jest stanem przypominającym śmierć, to zmierzch jest codzienną agonią.

Pierścienie Saturna symbolizują ograniczenie. Są zaklętymi kręgami, które oddzielają część od całości. Zamykają część w jej uwarunkowaniach: człowieka w ciele, ciało w jego fizjologii, fizjologię w jej rytmach, rytmy w czasie. Człowieka zamykają w jego losie, który jest już zapisany i gotowy, zanim jeszcze pojawi się sam człowiek. Mówią: nie ma wyjścia, jesteś tym, czym jesteś, a nie tym, czym pragnąłbyś być. Właśnie z Saturna bierze się wszelkie cierpienie, bo cierpienie płynie zawsze z poczucia niemocy i ograniczenia. Być tam, gdzie się nie jest, nie być tam, gdzie się jest. Chcieć robić to, czego się nie może, i nie chcieć robić tego, co się musi. Mieć to, czego się nie chce, i pragnąć tego, czego się nie ma. Świadomość ograniczenia i zamknięcia nie ma nic wspólnego z przestrzenią i czasem. Można być zamkniętym w całym świecie i zatrzaśniętym w czasie, który sprawiedliwie został nam dany na jedno życie.

Wszystkie dzieci Saturna, a więc te, które urodziły się w jego znakach lub dniach, którymi rządzi, żyją z poczuciem ograniczenia. Kiedy się budzą rano, najpierw dziwią się, że nie umarły w nocy. Potem dziwią się słońcu, że wzeszło, i dniowi, że się rozpoczął. Z uległością właściwą tylko martwym przedmiotom powracają co rano do świata, w którym wciąż istnieją drzwi, zamki, łańcuchy, granice, paszporty i ograniczenie każdej miary czasu. Boleśnie odczuwają zgrzytliwe tykanie zegara i szmer przesypującego się w klepsydrze piasku. Oddają się na żer słowom, które najperfidniej oddzielają nasze doświadczenie od istnienia. I nawet jeżeli Bóg w swojej dobroci ukazuje im refleksy nieskończoności, oni, pełni niedowierzania, dzielą ją wymyślnymi narzędziami na małe drobinki, które przesypują im się przez palce.

12

– Muszę się już z wami pożegnać. Robi się późno – powiedział Burling, grzebiąc czubkiem buta w kamienistej ziemi. – To jest naprawdę ostatnie miejsce, gdzie mogę skręcić na wschód.

Stali przed nędzną gospodą na obrzeżach miasteczka, wzniesioną naprzeciwko wzgórza z szubienicą. Wyprzężone konie skubały rzadkie kępki trawy. Z otwartego na oścież powozu Gauche wynosił bagaże i kładł je na kamieniach obok leżących tam siodeł.

– Jakie to ponure miejsce – zauważyła Weronika, otulając się wełnianym szalem.

Markiz przyglądał się srebrnej gałce swojej laski.

– Trudno mi rozstawać się z wami – mówił Burling. – Gdybym teraz nie odszedł, nie odszedłbym już wcale, a przecież ja nie jadę po żadnego Graala. Jadę po prostu odebrać mojego wychowanka ze szkół. Ot co, banalna podróż w konkretnym celu, o którym wiem, że istnieje i że na mnie czeka – roześmiał się.

Niebo zaciągnęło się niskimi chmurami, a od gór zaczął wiać chłodny wiatr, który zmiatał wysuszone źdźbła traw w malutkie kupki.

– Idzie zima – odezwał się po chwili Markiz. – Dopadnie nas w górach.

– Jak się dowiem, czy udało się wam znaleźć Księgę?

– Na pewno się dowiesz. Cały świat będzie o tym mówił.

– Życzę ci powodzenia, przyjacielu.

– I ja tobie.

Wszystko było już przygotowane do rozstania. Burling zabierał swojego konia, swoje bagaże, swój zdrowy rozsądek, sceptycyzm i swoje poczucie humoru.

– Do zobaczenia, przyjacielu, w nowym świecie – powiedział Markiz, a Burling nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Do zobaczenia w Paryżu. Będzie mi pana bardzo brakowało. – Weronika podała mu dłoń, którą Burling przytrzymał może trochę za długo.

Potem poklepał po ramieniu Gauche'a.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Sprawdził jeszcze rzemienie przy torbach, poprawił kapelusz i dosiadł konia z zaskakującą gracją.

Październik przełamał się w listopad któregoś dnia, kiedy wjechali w góry. Uświadomili sobie, że słońce nie daje już rozlewającego się wszędzie gorąca, a tylko przyświeca światu, bawiąc się długimi cieniami, złocąc trawę i dodając skałom pastelowych refleksów.

Jechali teraz konno. Powóz zostawili w przydrożnej oberży, gdzie miał na nich czekać do drogi powrotnej. Od chwili odjazdu Burlinga nie był już potrzebny. Nie mieli teraz tematów do dyskusji, brakowało trzeciego do gry w karty. Poza tym drogi stały się o wiele gorsze i już nie były odpowiednie dla delikatnych kół paryskiego powozu. Krajobraz zmienił się. Coraz częściej zsiadali z koni i szli obok nich, patrząc uważnie pod nogi. W tyle zostały bujne, wilgotne winnice, sady pomarańczowe i łąki pełne lawendy. Ziemia wyschła i obnażała teraz swoje kamieniste kości. Zaczęły się też kłopoty z wodą. Rzadko napotykali ocembrowane studnie, a częściej pili wodę wprost z płynących stamtąd, dokąd szli, potoków.

Wreszcie któregoś dnia nie znaleźli ani gospody, ani żadnego schronienia na nocleg i musieli rozłożyć się obozem między skałami. Patrząc w rozgwieżdżone niebo, zdali sobie sprawę, że są wyżej niż doliny, z których przyszli. Niebo stąd wydawało się bardziej namacalne i konkretne. Wyciągnąć rękę, kiedy się siedzi przy ogniu, i dotknąć płomieni tych innych, niebieskich ognisk!

Gauche nazbierał po drodze ziół: gałązek mizernej lawendy i liści dzikich porzeczek. Rozrzucił je kręgiem wokół obozu, żeby odstraszyć dzikie zwierzęta.

Długo nie mogli zasnąć. Niebo wyglądało jak naszywana cekinami kurtyna, która za chwilę ma się odsłonić, żeby rozpoczęło się wielkie kosmicz-

ne przedstawienie.

W środku nocy Weronika poczuła na twarzy czyjś oddech. Otworzyła oczy i natychmiast oprzytomniała.

– Chodź – powiedział Markiz. Pomógł jej wstać i pociągnął ją za sobą poza zielną granicę bezpieczeństwa wokół obozu. Zatrzymał się przy pionowo stojącej skale i przyciągnął Weronikę do siebie.

– Kocham cię, pani, i nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę – powiedział, aż zakrztusił się tymi słowami. Jego ręka gorączkowo błądziła po włosach i twarzy Weroniki.

– Tak – szepnęła Weronika i poddała się chłodnym, wilgotnym pocałunkom. Szeptał jej do ucha słowa, których nie rozumiała. Jakieś wyjaśnienia, decyzje. Z bliska jego skóra pachniała, włosy w dotyku były inne, niż przypuszczała. Stał tak blisko niej, ich oddechy mieszały się. Rósł w jej ramionach. Stawał się coraz większy i większy. Panował.

Odwrócił ją twarzą do szorstkiej ściany i przywarł do jej pleców i pośladków. Poczuła go w sobie bez zdziwienia, z tym rodzajem uległości, która otwiera na zawsze wszystkie bramy.

– Idę do ciebie, idę do ciebie – powtarzał Markiz i poruszał się tak, jakby zdobywał szczyt, na którym znajduje się cel wszystkich podróży.

Weronika obudziła się jeszcze przed wschodem słońca. Ognisko zupełnie wygasło i lekki wiatr rozwiewał biały popiół dookoła. Markiz spał zwinięty jak kot, przygniatając jej suknię. Leżała na wznak, patrząc w szare niebo. Potem znalazła zapach. Wyodrębniła go z woni powietrza, wyschniętych na słońcu skał, trawy i tamaryszku, ponieważ był ciepły. Nazwała go, zapamiętała. Teraz już zawsze rozpozna go wśród innych i potrafi iść za nim. Ten mężczyzna pachniał inaczej niż wszystko, co przedtem wąchała. Był to zapach określony i jednoznaczny. Kiedy wiatr zmieszał go z wonią popiołu, Weronice wydało się, że jest w nim coś ostatecznego. Potem usnęła.

Poruszenie wśród koni obudziło Markiza. Otworzył oczy i leżał przez chwilę, patrząc na rozkwitające na horyzoncie słońce. Czuł się słaby. Sła-

bość płynęła z pustej przestrzeni, jaką pozostawiały oddalające się od siebie dryfujące w nim wyspy.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na śpiącą Weronikę. Była piękna, taka piękna. Miała w sobie złoto i miód, i uległość, która jest mocniejsza niż siła. Mogła prowadzić i wspierać, mogła swoją obecnością nadawać wszystkiemu sens. Mogła usprawiedliwiać i wybaczać, mogła koić i dodawać siły. Ale można też było się w nią zapaść i nie móc już nigdy wyruszyć dalej. Mogła, jak ogromna pszczoła, spijać całą energię i zmieniać ją w miód przyjemności. Mogła zatrzymać, zniewolić, ograniczyć i zamienić w zwierzę.

Markiz wstał ostrożnie i przetarł rękami twarz. Niespokojnie dotknął miejsca na piersiach, gdzie była schowana mapa. Wahał się przez chwilę, a potem ruszył pod górę. Minął konie i rozespaną twarz Gauche'a, przeszedł obok pionowej ściany wbitej w zbocze. Szedł szybko, tak jakby próbował uciec, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że chce wrócić, być przy niej, po prostu być. Gdzie popełnił błąd? Kiedy się zagapił, zamyślił i pozwolił, żeby widok tej kobiety tak zapadł mu w umysł? To musiało być wtedy, na początku, gdy zobaczył ją wysiadającą z powozu. Pamiętał jeszcze ciemne włosy i jasne, żywe refleksy światła. Włosy wyglądały, jakby żyły własnym życiem. Może to te włosy tak go zaczarowały, że odważył się jej w końcu dotknąć i zagarnąć ją dla siebie. Może dlatego nie chciał czekać na kawalera zbyt długo. W Châteauroux niewiele brakowało, żeby uzależnił dalszą podróż od tego, czy ona z nimi pojedzie, czy nie. Teraz świat pełen był Weroniki, wszystko było Weroniką. Nie trzeba było już nigdzie wyruszać, wystarczyło wyciągnąć rękę.

Markiz czuł się boleśnie rozdwojony. Żył zawsze ze świadomością, że porusza się w ramach pewnego kontinuum, którego jednym biegunem jest moc płynąca z wyzwolenia się od własnych pragnień, a drugim – bezpieczeństwo, którego istotą było zawsze pragnienie. Kryła się w tym sprzeczność nie do obejścia ani zlekceważenia. Dotąd wyboru między tymi dwiema możliwościami dokonywało za Markiza samo życie. Zrezygnował z miłości w swoim małżeństwie, ponieważ ona zrezygnowała z niego. Może i mógł walczyć – tak się zawsze mówi, oglądając czyjeś życie z daleka, ale nie bierze się pod uwagę bólu, jaki sprawia zawód.

Markiz zbudował swojemu bólowi kapliczkę i pielęgnował go jak rzadką roślinę. Ból uwalniał go powoli od miłości do żony, ale czy uwalniał go od

samego cierpienia? Cierpienie z powodu zawiedzionej miłości krępuje równie mocno jak sama miłość. Cierpienie jednak jest zupełnie czym innym – człowiek buntuje się przeciwko niemu i taki bunt sprzyja próbom uzyskania kontroli nad sobą i mocy. Będę silny, będę wolny, mógł sobie mówić Markiz, poznałem już tajemnicę siebie samego, moje cierpienie i moją samotność, poznam tajemnicę natury, nieba i ziemi, bo wiem, że poprzez poznanie osiąga się siłę.

Taka była być może droga Markiza do wtajemniczenia. Jak baśniowy Jeździec na Ślimaku, posuwał się słowo po słowie, krok po kroku, dzień po dniu do drugiego bieguna kontinuum, widząc z coraz większą jasnością, że poznanie daje wolność, ale nie daje bezpieczeństwa. Im głębsze, tym więcej rodzi pytań i niepewności, tym bardziej zawieszone i umowne zdaje się ludzkie istnienie, tym mniej ważna jest różnica między życiem i śmiercią. I w tym właśnie tkwi moc.

Tej nocy moc zaczęła opuszczać Markiza. Najpierw wylała się z niego falą nasienia, a potem, kiedy spał, wyciekała z niego powoli, niby woda z nieszczelnego dzbana. Markiz tracił swoją niewinność i nie była to kwestia fizycznego zbliżenia z kobietą; to mu się przecież zdarzało już przedtem. Tracił niewinność przez to, że tę kobietę kochał, że chciał z nią pozostawać przez cały czas, przyglądać się jej i być przez nią oglądany, poznawać ją, wejść w jej świat, mieć z nią dzieci. Idąc dalej pod górę, Markiz zaczął przeczuwać, że sam dla siebie stał się przeszkodą w dotarciu do Księgi. I że na dodatek jakaś obca siła odebrała mu tę jego umiejętność kontroli, umiejętność, z której kiedyś był tak dumny. Spojrzał z góry na obóz, na małe figurki koni i poruszającego się między nimi Gauche'a, na śpiącą Weronikę i siebie samego leżącego obok niej. Z tej odległości ów widok można było wziąć za kolorową, ale martwą ilustrację, obraz malowany ręką wrażliwego pejzażysty, który postaci ludzkie umieszcza w krajobrazie tylko dla ozdoby. Patrząc w dół, Markiz zrozumiał, że stanął przed wyborem, a ponieważ wierzył, że poważnych wyborów nie dokonuje się nigdy samemu, odwrócił się i wspinał dalej, uwalniając stopami drobne kamyczki, które z szemrzącą skargą toczyły się w dół.

13

Następnego dnia wieczorem dojechali do ściśniętego między górami miasteczka. Było w nim coś dziwnego. Pozamykane na głucho drzwi i okiennice, nieczynne dwie kolejne oberże. Wreszcie spotkali ponurego mężczyznę, który popatrzył na nich jak na duchy. Od niego dowiedzieli się, że miasteczko nazywa się Montréjeau i że od kilku dni panuje tu zaraza. Mężczyzna dał im do zrozumienia, żeby nie spodziewali się ciepłego ani w ogóle jakiegokolwiek przyjęcia. Ludzie bali się i nie wychodzili z domów. Radził im przenocować gdzieś poza miastem i jak najszybciej jechać dalej.

Mimo że konie były zmęczone i ledwie powłóczyły nogami, zdecydowali się minąć miasto. Byli głodni i zmarznięci.

Tego dnia Gauche zauważył subtelną zmianę, jaka nastąpiła po nocy spędzonej w górach. Nie znał faktów. Nie widział Weroniki i Markiza wychodzących poza obóz ani tego, jak wracali – objęci i nieobecni. Zresztą chyba nie zrozumiałby tego. Nie wiedział dokładnie, czym jest mężczyzna i kobieta i co znaczy to, że szukają w ciemnościach miejsca, żeby się złączyć. Wyczuwał tylko, że przepaść między ludźmi i zwierzętami nie jest tak wielka, jak zwykło się sądzić. A jeżeli nawet rozumiał, czym może być miłość między ludźmi, to pewnie przypisywał jej te same cechy co pieszczotom koni i nagłemu odchodzeniu od zmysłów jego żółtego psa.

Teraz jednak wiedział, że coś się dzieje. Zauważał długie i ciężkie spojrzenia Markiza rzucane na jadącą obok konno Weronikę. Widział ich radosne zmieszanie, kiedy napotykali nawzajem swoje spojrzenia. I to, z jakim trudem odrywali je od siebie. Gauche prawie czuł tę siłę, która sprawiała, że ich konie szły teraz wolniej i zawsze blisko. W milczeniu tej pary słyszał pytania, a w wypowiadanych przez nich pytaniach już zawarte były odpowiedzi. W nagle okazywanej troskliwości Markiza tkwiła świadomość władzy. W uległym przyjmowaniu tej opieki przez Weronikę także tkwiła świadomość władzy, ale władzy innej, bardziej ukrytej.

Tego dnia kilka razy przekraczali płytką, kamienistą rzekę i robili wtedy mały postój. Na jednym z postojów pewien gest Markiza niezwykle mocno podziałał na Gauche'a. Markiz dotknął Weroniki w taki sposób, że dotyk jak echo rozszedł się falami w powietrzu. Gauche znalazł się w zasięgu tego echa i jego ciało zadrżało. W następnej chwili cały stał się pragnieniem takiego dotyku. Choć kręgi miłości i pożądania tych dwojga ludzi objęły go przez przypadek, poczuł się z nimi związany na zawsze. A ponieważ niemy chłopak nie doświadczył różnicy między kobietą a mężczyzną i sam nie był do końca ani jednym ani drugim, pokochał ich od chwili tego gestu całym swoim pragnieniem miłości. Oddał im to, co zwykle dzieci ofiarowują rodzicom, czyli bezgraniczne zaufanie i największy podziw. I oczekiwanie, że ten czuły, drobny gest będzie się powtarzał w nieskończoność, dając pewność, że w świecie istnieje harmonia głębsza niż ta, której jest w stanie doświadczyć rozum.

Tak więc Gauche stał się jedyną sprzyjającą tej niespodziewanej miłości osobą. Jedyną, bowiem i Markiz, i Weronika bronili się przed nią. Wystawili do udziału w niej tylko część siebie samych, a cała reszta pozostawała w ukryciu, tłumaczyli sobie tym samym wyłącznie to, co się dzieje na zewnątrz.

Miasteczko zniknęło w dole za kolejną skałą. Droga zamieniła się w kamienistą ścieżkę i Markiz zaczął się niepokoić, że zabłądzili. Kiedy koń niebezpiecznie się potknął i zrzucił Weronikę, Markiz zarządził postój. Noc była bardzo zimna i musieli powyciągać z toreb worki do spania i koce. Gauche zgrabiałymi rękami próbował rozpalić ognisko, ale trawy i gałązki drobnych krzaczków tylko się tliły, nie dając ognia. Wtedy w ciemnościach, niemal nad ich głowami, Weronika wypatrzyła coś niezwykłego.

Na zboczu góry, w zupełnie niespodziewanym miejscu, stał niewielki kamienny dom. Wydawało się, że jest ogromnym jaskółczym gniazdem i utrzymuje się przy pionowej skale tylko dzięki jakimś czarom. Nie był oświetlony i w mroku niewiele różnił się od skały. A jednak z komina snuł się dym i właśnie dlatego Weronika spostrzegła dom. Dym był nieco jaśniejszy niż niebo, jakby odbijał w sobie światła gwiazd.

Wzięli konie za uzdy i powoli, krok za krokiem, ruszyli pod górę ścieżką tak wąską, że z ledwością mieściły się na niej stopy dorosłego człowieka.

Drzwi otworzyła otyła kobieta ze świecą. Nie powiedziała nic, tylko cofnęła się w głąb domu i zawołała coś niezrozumiale. Po chwili w krąg światła bijącego od świecy wszedł stary, niski mężczyzna w przekrzywionej, niechlujnej peruce. Otworzył szerzej drzwi i burkliwie zaprosił ich do środka.

– Tak, tak, domyślam się. Zaraza w mieście, nie ma noclegu, a wy zmęczeni drogą. No cóż, trzeba odwagi albo braku rozumu, żeby dotrzeć tu w nocy. Wejdźcie, naturalnie, jestem zawsze rad gościom. Konie będą musiały zostać przed domem. Nie mam stajni.

Markiz próbował jakoś wyjaśnić ten ich najazd, lecz wyglądało na to, że stary nie słucha.

– Jutro – powiedział. – Jutro sobie opowiemy to i owo. Kobieto, przygotuj szlachetnym państwu pokój, a ty, młodzieńcze, będziesz spać w kuchni. Czy nie ma w tym domu więcej świec, kobieto?

Delikatnie popchnął ich w kierunku otwartych drzwi do pomieszczenia z lewej strony. Kobieta, rzuciwszy na staroświeckie, wbudowane w ścianę łoże parę koców, czy może skór, wycofała się tyłem i zniknęła w sieni, zabierając świecę. Weronika po omacku dotarła do łóżka.

– Jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni… – zaczął Markiz, ale stary mu przerwał.

– Jutro opowiemy sobie to i owo, teraz życzę państwu dobrej nocy. Bez snów – powiedział, wychodząc.

Wszystko to stało się tak szybko, że nie zdążyli się przyjrzeć ani gospodarzowi, ani jego domowi. Gauche zniknął, pewnie poszedł, czy też zaprowadzono go do kuchni.

W pokoju pachniało kamieniem i wilgocią, a ciemność była doskonale nieprzenikniona i chłodna jak atłas. Weronika odnalazła palcami usta Markiza. Kochali się na wilgotnych pledach szybko i gwałtownie, jakby ta dziwna noc miała się zaraz skończyć. Zasypiając, Markiz przypomniał sobie nierozjuczone konie przed domem, ale nie znalazł w sobie dość siły, żeby zrobić cokolwiek. Na szczęście zajął się nimi Gauche. Zmieszane ciepło dwóch ciał tworzyło bezpieczną enklawę, kokon chroniący przed niezbadanymi wpływami nocy.

Rano zostali poproszeni na śniadanie na taras, który znajdował się po niewidocznej ze ścieżki stronie domu. Zaproszono także Gauche'a. Stał tam pusty stół nakryty białym obrusem, zbyt chyba długim, bo ocierał się o ziemię. Mimo iż taras był osłonięty także od strony góry, wiał na nim ostry górski wiatr, w którym czuć było śnieg i zimę. Chwilami podmuchy były tak silne, że obrus trzepotał niespokojnie, jakby razem ze stołem chciał ulecieć w chłodne błękitne niebo. Krzesła ustawiono po każdej z czterech stron stołu, daleko od siebie. Usiedli po trzech stronach, a po chwili zjawił się gospodarz z talerzem sera i chleba, i butelką oliwy. Był niedbale ubrany, w coś, co mogło przypominać staromodny, czarny surdut. Z rękawów wystawały podarte koronkowe mankiety. Ciemna, potargana peruka zsunęła mu się na jedno ucho.

– Czym chata bogata – powiedział i sam zabrał się do jedzenia. Weronika spojrzała porozumiewawczo na Markiza.

– Jesteśmy niezwykle wdzięczni za gościnę. Najwyższy czas się przedstawić – odezwał się Markiz i grzecznie wstał z krzesła, chcąc dokonać prezentacji.

– Doprawdy jestem zaszczycony. Ja nazywam się Delabranche, co wam zapewne i tak nic nie mówi – powiedział gospodarz, maczając chleb w oliwie i zagryzając serem. – Za to wiem, kim wy jesteście, moi mili, i dokąd się wybieracie. Sierra del Cadí, czy nie mam racji? Tak, tak, do Hiszpanii. W Hiszpanii żyje się właściwie po to, żeby kochać. We Francji zaś kochać to gadać o miłości. Tak, tak, święta racja.

Wiatr wciąż się wzmagał i trzeba było mówić bardzo głośno, żeby się wzajemnie zrozumieć. Markiz odchrząknął i prawie krzyknął:

– Jak to się stało, że znacie, panie, cel naszej podróży i… i…?

Delabranche zaśmiał się bezgłośnie, trzęsąc się całym ciałem.

– Wiem, co w trawie piszczy. Na całym świecie tylko raz na sto lat ktoś wybiera się w taką podróż. To rzadki przypadek, a ja wiem o wszystkich rzadkich przypadkach. Jestem lekarzem. Może jeszcze sera? Lekarzem. Wiecie, dzieci, kasja, senes, rabarbar na zatwardzenie i buliony ze żmij na anemię. Dam wam na drogę dobrej chininy…

– Czy ktoś wam, panie, mówił o nas? Ktoś tu był przed nami? – pytał Markiz, przekrzykując wiatr. Weronice zbielały kostki zaciśniętych dłoni.

– No, aż tak to nie. Nie, synu, aż tak świat się wami nie interesuje. Moja praca to wiedzieć o tym, co się dzieje. Tak, tak, a moja chinina jest dobra nawet przeciwko zarazie. Zarazą się nie przejmujcie, to zwykła panika. Miasteczko zatruło się starym serem. Poza tym kilka przypadków syfilisu. Hiszpańska choroba. Ale panika wokół zarazy już jest. Każdy choruje na to, na co chce… Jeżeli macie zamiar przekroczyć granicę, musicie mieć poświadczenie, że jesteście zdrowi. Taki certyfikat może wystawić tylko mer, on tam ma do tego swoich konowałów. Lecz to, dzieci, zabierze wam z tydzień. Muszą was poobserwować. Przybiją mnóstwo pieczęci i dopiero na tej podstawie przepuszczą was hiszpańskie straże.

– A wy, panie, nie możecie nam wystawić takiego dokumentu? Po przebadaniu, oczywiście? – zapytała Weronika.

– Niestety, nie, moja panno. Taki medyk to ja nie jestem. Musi być medyk oficjalny. Ja natomiast uchodzę za dziwaka, nie medyka.

Markiz chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie miał siły przekrzykiwać wiatru. Delabranche jakby czytał w jego myślach.

– Posiłki, moje dzieci, powinno się jadać na świeżym powietrzu. Z jedzeniem połyka się czyste tchnienie świata. To jak duchowy pocałunek, przedłuża życie i dobrze działa na krew. A ty, moja droga, wyglądasz bardzo blado.

Potem Delabranche zwrócił się nagle do Gauche'a, skrępowanego tym, że zasiada z nimi przy stole, co chłopca onieśmieliło jeszcze bardziej.

– Nie trzeba cały czas mleć ozorem, żeby być obecnym, prawda? Tak jak stary Delabranche.

Gauche przytaknął niepewnie głową i spojrzał pytająco na Markiza.

– On nie mówi! – krzyknął Markiz przez zwiniętą w trąbkę dłoń.

– Właśnie to miałem na myśli! – odkrzyknął gospodarz.

Na chwilę zapadła cisza. Wiatr na moment uspokoił się, ale potem ze zdwojoną siłą targnął obrusem. Zajęli się jedzeniem, tylko Gauche rzucał znad talerza spłoszone spojrzenia. Markiz przeżuwał powoli niesmaczny ser i rozmyślał. Delabranche go zadziwiał. Kim jest ten śmieszny, niechlujny człowieczek? Markiz miał niejasne wrażenie, że to chyba ktoś niezmiernie ważny, ktoś, kto ukrywa się w tak dziwnym miejscu i pod tak niepozorną postacią. Czuł, że wzrok Delabranche'a go prześwietla, że Delabranche

widzi na wskroś jego przeszłość, teraźniejszość, a może i przyszłość, że rozkłada go na czynniki pierwsze i analizuje jak zjawisko, przez co Markiz coraz bardziej tracił pewność siebie. Powoli, z chwili na chwilę, przestawał być silnym, stanowczym mężczyzną, uczonym, dyplomatą, kochankiem, opiekuńczym przewodnikiem. Zamiast tego powracało do niego dawno już zapomniane uczucie bycia chłopcem, niesfornym, przemądrzałym wyrostkiem. Zapragnął walczyć o tracony obraz siebie samego.

– Chciałem z panem porozmawiać, panie Delabranche, ale przeszkadza mi to, że muszę krzyczeć do pana przez ten wiatr.

– A czego chciałbyś się o mnie dowiedzieć? – Delabranche umoczył kawałek chleba w oliwie, którą wylał sobie na talerz.

Markiz stropił się na sekundę, a potem zapytał odważnie:

– Kim pan jest?

Delabranche położył łokcie na stole i z uznaniem spojrzał na Markiza.

– Jestem lekarzem, mój drogi.

– I pustelnikiem – powiedziała Weronika.

– Tak, właśnie pustelnikiem, chociaż mam kobietę i kota.

Wiatr na chwilę ucichł i Delabranche skorzystał z tego, żeby wygłosić dłuższą kwestię.

– Pustelnikiem jestem z wyboru. Lekarzem z przypadku, jeżeli przyjąć, że przypadek w ogóle istnieje. Zastanawiałem się kiedyś: żyć czy przyglądać się życiu? Miałem wtedy tyle lat co ty, synu. Być w nurcie czasu, używać i doświadczać życia czy z dystansu badać świat? I cóż, doszedłem w końcu do wniosku, że cała ludzka rozpacz bierze się z przyglądania. Nie znajduje się bowiem wtedy zaczepienia dla oczu, intelektu i uczuć. Kiedy się tylko stoi i przygląda wszystkiemu, to tak jakby się tkwiło w płytkiej rzece, ledwie po kostki w wodzie. A w rzece, jak wiadomo, nie ma nic stałego. Oczy bolą, umysł się męczy i wkrada się rozpacz. Kiedy wejdę do wody po czubek głowy, swym ciałem nadam jej stałość i sens. Rzeka płynie obok, ale i przeze mnie, i jej doznawanie jest właśnie istotą rzeki. Dlatego wybrałbym życie, nie przyglądanie się. A ty?

Markiz zastanawiał się. Był zaskoczony tym, co powiedział Delabranche, spodziewał się czegoś dokładnie przeciwnego.

– A jednocześnie zdaję sobie sprawę – ciągnął Delabranche – że wiele nieszczęść bierze się z bycia, bez przyglądania się. Rzeka wtedy wchłania nas w siebie, ogłusza i oślepia. Zapominamy, gdzie jest jej dno, gdzie nurt, a gdzie to, co rzeką nie jest. Stając się rzeką i doznając tylko rzeki, stajemy się jej nieuchwytnością i przemijalnością. W niej rozpływa się nasza siła, nasza skończoność i nasza niepowtarzalność. Tylko obserwowanie siebie i świata wokół może dać satysfakcję. To nas różni od zwierząt: refleksja, a nie czyste doświadczenie. Ale czyż nie są to tylko czcze rozważania, niesprzyjające zresztą trawieniu?

– O nie, panie, to są przecież pryncypia! – wykrzyknął Markiz, bo wiatr znowu się zerwał. Zawiązana pod brodą biała serweta, uniesiona podmuchem, zakryła mu na chwilę twarz. – Filozofia, czcza czy nie czcza, jest prywatnym dążeniem do prawdy. Chętnie porozmawiałbym o tym gdzieś, gdzie tak nie wieje.

Starzec uśmiechnął się szeroko i wstał. W tej samej chwili pojawiła się gruba kobieta i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Chodźmy więc, pokażę wam swoje gospodarstwo.

Wrócili z tarasu do domu. Delabranche wziął świecznik, bo mimo południowej pory wewnątrz było dość ciemno. Tylko frontowe pokoje miały okna, reszta pomieszczeń tonęła w mroku i Markiz zrozumiał, że muszą one być wykute w skale. Miał słuszność: sam dom był maleńki. Składał się z sionki, czy też małego hallu, zaraz za drzwiami wejściowymi, i dwóch komnat. Z sieni prowadziły strome schody w dół. Szli tędy za gospodarzem. Po obu stronach schodów rozmieszczone były drzwi. Jedne wyglądały na często używane, zwykłe drzwi do zwykłych pomieszczeń, inne, pordzewiałe i brudne, musiały być nieotwierane latami. Niżej schody zmieniły się w szeroki korytarz. Na jego ścianach umocowano płonące dziwnym niebieskawym światłem pochodnie. Pachniało wilgocią, chłodem i czymś, od czego cierpły zęby.

– Jak pan może mieszkać w takich ciemnościach? – zapytała Weronika.

– To właśnie lubię.

Doszli do sporego pomieszczenia, które wyglądało, jakby kończyło korytarz. Całe spowite było tym niebieskawym światłem, które dawały pochodnie. Delabranche objaśnił, że tak świeci pewien rodzaj substancji, otrzymy-

wanej przez niego z kości zwierząt. Posypał jedną z pochodni jakimś czarnym proszkiem i światło rozjarzyło się. Zobaczyli teraz lepiej wielką komnatę, której sufit tonął w nieprzeniknionych ciemnościach. Było tu wiele stołów zastawionych szklanymi alembikami, kolbami i innymi naczyniami niewiadomego przeznaczenia.

Na jednym ze stołów stał skomplikowany aparat, składający się z dużych i małych naczyń połączonych rurkami.

– Aparat do destylacji – powiedział Markiz.

– Widzę, że znasz się, panie, na tym i owym. Tak, to aparat do destylacji, wymyślony zresztą przez kobietę – odpowiedział Delabranche, uprzejmie zwracając się do Weroniki. – Tylko kobieta mogła wynaleźć rzecz, która pozwala wydobyć z każdej substancji jej lotnego ducha. Czyli, w pewnym sensie, otrzymać duszę każdej rzeczy. Kobiety, mimo różnych pomówień, mają dużo większą zdolność do obcowania ze światem duszy. Destylacja to przedziwna sztuka, najcenniejsza ze wszystkich sztuk alchemicznych. Dzięki niej można wydobyć z roślin, metali, kamieni subtelniejsze i czystsze siły, ukryte głęboko w masie rzeczy materialnych: ducha, moc, siłę istnienia. Cóż zatem doskonalszego można wymyślić?

Delabranche pokazywał zawartość szklanych pojemniczków, podnosząc każdy pod światło. Zawierały najróżniejsze rzeczy: skrawki papieru, zeschnięty mech, martwe, pokurczone muchy, sproszkowany opalizujący kamień, jakieś nasiona, włosy, a może sierść zwierzęcia, płatki kwiatów.

– Czy to wszystko zamierza pan destylować? – zapytał Markiz, podnosząc na wysokość oczu naczynko z czymś szczególnie obrzydliwym.

– Właśnie, mój drogi. Skoro destylacja uwalnia z materii ducha, czyli to, co w niej najdoskonalsze, to wymieszane esencje wszystkich na świecie substancji będą miały moc szczególną. Będzie to suma esencji wszelkiej rzeczy. Substancja najdoskonalsza, boska. Bo czyż tchnienie boskie nie zawiera się we wszystkim na świecie? Przez zmieszanie poszczególnych esencji wszystkich substancji otrzyma się czyste tchnienie Boga! To będzie właśnie panaceum.

– I chce pan przedestylować każdą rzecz? – zapytał Markiz zdumiony.

– Tak – odrzekł spokojnie Delabranche. – Tu oto znajduje się, powiedzmy, jedna setna. Dużo jeszcze pracy przede mną.

Zbliżył pochodnię do dużej szklanej butli stojącej na środkowym stole. Jej dno ledwie było zakryte gęstym brązowym syropem.

– A teraz pokażę wam coś, co was zapewne zdziwi i zaskoczy.

Minął stoły i podszedł do ściany. Niebieskie światło oświetliło jeszcze jedne drzwi. Oparł się o nie i z trudem je otworzył. Ze środka buchnął dziwny, niepokojący zapach. Miał w sobie trochę z woni gnijącego mięsa i rdzewiejącego żelaza. Było w tej cuchnącej mieszance coś sztucznego, coś, co nie istnieje w naturze. Weronika cofnęła się instynktownie. Delabranche wszedł pierwszy. W pomieszczeniu było jasno jak w dzień, pewnie z powodu dziesiątków niebieskich pochodni. Wilgoć zmieszana z tym dziwnym zapachem lepko osiadała na twarzach. Stary żwawym krokiem podszedł do stojącego na środku stołu i zagadał wesoło:

– Dzień dobry, dzień dobry, jak się spało? Mamy dzisiaj gości. Prawdziwych gości z dalekiego świata. Podejdźcie tutaj, moje dzieci – zwrócił się do Markiza i Weroniki. Gauche zatrzymał się w drzwiach, zaskoczony zapachem, i nie miał odwagi wejść dalej. Zbliżyli się do stołu.

W szklanym słoju wielkości dużego melona, w przezroczystym płynie pływał mały człowieczek. Był nagi. Jego skóra miała blady odcień, ale może był to efekt gry niebieskich refleksów światła. Krótkie czarne włosy nierównymi kosmykami okalały zgrabną głowę. Każdy artysta, który zobaczyłby jego twarz, uznałby ją za piękną. Wielkie, ciemne oczy wyrażały jakąś nieczłowieczą mądrość. Ciało delikatne, prawie fosforyzujące, miało doskonałe proporcje, lecz tam gdzie ludzie naznaczeni są piętnem płci, człowieczek nie miał nic. Tylko gładką, białą skórę. Może dlatego bardziej kojarzył się z kobietą, ale nie miał przecież także piersi, nawet zawiązków sutków. Na białym, lekko wypukłym brzuchu brakowało pępka. Człowieczek utrzymywał się na powierzchni płynu bez poruszania rękami czy nogami. Tkwił w nim jak salamandra schwytana do akwarium. Piękne ciemne oczy bez widocznych źrenic śledziły z chłodną, wyniosłą uwagą każdy ruch ludzi. Delabranche postukał w szkło słoja kościstym palcem i zagadał tonem, jakim ojcowie zwracają się do swoich małych dzieci. Człowieczek wykonał błyskawiczny ruch w stronę palca, jakby zamierzał go ugryźć przez szkło. Delabranche odruchowo cofnął palec.

– Bestia jest głodna – powiedział do siebie i wydawało się, że zapomniał o obecności ludzi, których tu zaprosił.

Potem wziął drewniany patyczek i zamoczył jego czubek we flaszy z płynem wyglądającym jak białe wino. Na końcu patyczka zawisła złota kropla, która zaraz spadła z cichym pluskiem do słoja z człowieczkiem. Stworzenie zaczęło powoli poruszać ustami. Przypominało teraz nieruchomą rybę filtrującą wodę niespiesznymi, mechanicznymi ruchami pyszczka. Ciemne oczy także nabrały rybiego wyrazu, ale była w nich jeszcze głębsza i bardziej dla ludzi niezrozumiała mądrość. Mądrość płynąca z fal morza, z Księżyca i jego przemian, z wędrówki żółwi do morza, kiedy złożą w piasku swoje drogocenne jaja, mądrość jaszczurczych szlaków w trawie i obłej poczwarki, kiedy sobie tylko wiadomym sposobem przemienia się w motyla. Ten wzrok przyciągał, zatapiał w sobie, był jak powódź. Spotykając go, spotykało się cały świat, ale widziany jakby tylko nocą, najwyżej przy świetle Księżyca, świat inny i nieznany, świat, z którego ten drugi, jasny, z pewnością bierze swój początek. Markiz i Weronika zapadli się w ten wzrok i jak zahipnotyzowani, poddając się prądowi rzeki, płynęli do jakichś nienazwanych mórz. Dopiero głos Delabranche'a wyrwał ich z tej cichej podróży.

– Karmię go esencją mojej krwi. *Arcanum sanguinis humani*. W pewnym sensie jest moim dzieckiem.

Markiz zamrugał oczami.

– Czytałem wiele na ten temat, ale nie sądziłem, że to możliwe – powiedział cicho. – Czy ktoś o tym wie? To niezwykłe. Niezwykłe.

– W starych pismach filozofów często stawiano pytanie, czy natura, bądź też raczej sztuka ludzka jest w stanie stworzyć człowieka poza ciałem kobiecym, bez naturalnej matki. Czy tylko Bóg? Ja daję odpowiedź. Stworzenie homunkulusa nie stoi w żadnej sprzeczności ze sztuką tajemną ani z przyrodą. Jest możliwe, jak widzicie. To kwestia procesu. – Delabranche zawahał się, jakby w obawie, że powie za dużo. – Ale ponieważ i tak wiem, dokąd jedziecie, i zdaję sobie sprawę, że jeżeli powrócicie, to z wiedzą potężniejszą niż moja, mogę wam zdradzić sekret homunkulusa. Myślałem też, co się z nim stanie, kiedy umrę. Kto zechce mu destylować swoją krew?

– Ja – powiedziała nagle Weronika.

Markiz poruszył się niespokojnie i chwycił ją za rękę.

– Dziękuję ci, moje dziecko, będę o tym pamiętał i pewnego dnia zjawię się u ciebie w Paryżu. A jeżeli chcesz, możesz sobie do tego czasu wyhodować swojego. – Delabranche zachichotał. – Trzeba wziąć męskie nasienie zbierane przez trzy miesiące, ale zawsze wtedy gdy Księżyc jest pełny i silny, to Księżyc bowiem daje życie, i umieścić je w zamkniętym naczyniu. W takim naczyniu nasienie samo się oczyszcza i użyźnia tak długo, aż stanie się żywe i poruszy się. W tym właśnie czasie utworzy się z nasienia zarys istoty ludzkiej, najpierw nieforemnej i przezroczystej. Dlatego trzeba ją karmić dobrze i regularnie tajemnicą ludzkiej krwi, ale nie przedobrzyć, bo wtedy można wyhodować potwora lub karła z ogromną głową. I trzeba tę istotę trzymać w cieple odpowiadającym temperaturze ludzkiego ciała. Oto cała tajemnica.

14

Przez cały dzień Delabranche mówił i pokazywał, pokazywał i mówił. Oprowadzał ich po tym dziwacznym domu, aż zaczęli podejrzewać, że dom nie ma końca, że rozrasta się i wgryza w górę, rozprzestrzenia korytarzykami, przejściami, do których prowadzą zapomniane drzwi. Marzli w chłodzie ciągnącym od kamiennych ścian, a potem wychodzili na zalany górskim, ostrym światłem taras, żeby się ogrzać. Dmuchało tam jednak tak bardzo, że słowa Delabranche'a rozwiewały się jak zeschłe liście. Wracali więc do frontowego pokoju, gdzie gruba służąca, może żona albo konkubina gospodarza, podawała coś gorącego do picia, kawę lub wywar z jarzyn przypominający rosół, w tym domu bowiem nie jadało się mięsa. Potem szli dalej zwiedzać to osobliwe muzeum. Zobaczyli bibliotekę pełną ksiąg rzadkich i nawet takich, co do których Markiz nie był przedtem pewny, czy w ogóle powstały. Byli tam Arystoteles i Platon, bez nich wszak nie mogła istnieć żadna biblioteka, byli Porfiriusz i Jamblich przy dziełach Pitagorasa, Plutarcha i Proklosa. Obok prac wielkich lekarzy, takich jak Hipokrates, Galen, Awicenna i Paracelsus, stały pisma filozofa-maga – Alberta Wielkiego. Były ośmiotomowa pierwsza edycja della Porty oraz jego mniejsze, lecz nie mniej słynne dzieło, *Criptologia*. Była *Summa perfectionis magisterii* al-Dżabira, o której Markiz sądził, że w ogóle nie była wydana i pozostaje tylko snem filozofów. Były też *De occulta philosophia* Agryppy i wyklęty przez Kościół *Atheismus Triumphatus* Campanelli. Stało tu też dzieło wielkiego Cardana, w którym postawił on i zinterpretował horoskop Chrystusa, za co spędził resztę życia, ukrywając się przed poszukującą go gorączkowo inkwizycją. Obok prac piewców rozumu i wielkości człowieka – Bruna Giordana i Vaniniego, Abelarda i Lullusa Raimundusa – stały zwięzłe naukowe traktaty Mariotte'a, Torricellego i Galileusza. Na bibliotecznym stoliku do czytania leżała rozłożona księga Regiusa, w której przedstawił on kołowrót zmian jako najbardziej uniwersalne prawo przyrody. W końcu Delabran-

che pokazał im rękopis swojego dzieła – *Taumatologii, czyli nauki o rzeczach cudownych*.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy podano drugi tego dnia większy posiłek: gorące placki z nałożoną na nie mieszanką warzyw i sera, figi, winogrona i brzoskwinie. Grzane wino z ziołami rozbudziło krew i zziębnięte ciała akurat na tyle, że mogli w spokoju i pełnym komforcie, który daje zaspokojenie potrzeb fizycznych, usiąść w bibliotece i wysłuchać opowieści Delabranche'a o dziele jego życia. Delabranche postanowił streścić napisaną część *Taumatologii*, a nienapisaną opowiedzieć szczegółowo. Toteż już przy wstępie Weronika poczuła się zmęczona dniem pełnym wrażeń i przestała słuchać. Zapadła w rodzaj przyjemnego odrętwienia i przymknąwszy oczy, szukała pod powiekami obrazu ostatnich nocy. Gauche, przerażony widokiem homunkulusa, z ulgą wydostał się z kamiennego domu i wrócił do koni i psa.

Tylko Markiz nie czuł zmęczenia. Skoncentrowany, pełen napięcia, siedział wpatrzony w człapiącego po bibliotece Delabranche'a. Wyglądał, jakby zapomniał o Weronice, o sobie, o podróży, kłopotach. Oczy przestały łzawić i szczypać. Nie czuł nawet zimna ciągnącego od ścian. Czuł natomiast, że jest kimś, kto jeszcze nie wyruszył, kto dopiero planuje podróż, mając wciąż jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. I jednocześnie miał wrażenie, jakby już wrócił z nową wiedzą, nowymi doświadczeniami, które okazały się w końcu nowymi pytaniami. Poruszał się jednak po obszarze znanym, w perspektywie zakreślonej granicą słów, pojęć i spekulacji, w której dozwolone jest budowanie tymczasowych bytów, składających się ze słów niczym z klocków. I wszystko zaczyna się i kończy w umyśle. Nie trzeba nawet ruszyć ręką, żeby stwarzać nowe abstrakcyjne światy, pełne logicznej harmonii, tak przyjemne dla myśli jak najlepsze wino dla języka. Kiedy dostrzeże się w ich kształcie najmniejszą skazę niedopowiedzenia czy sprzeczności, można je burzyć niewielkim tylko wysiłkiem woli i od początku zabierać się do budowania nowych. Delabranche podrzucał mu klocki do wznoszenia tych intelektualnych gmachów. Markiz słuchał go najpierw w napięciu, potem jednak jego umysł uruchomił inny sposób słuchania, przyglądania się i polemizowania z tym, co mówił Delabranche – w myślach, w potężnych, niekończących się labiryntach myśli, gdzie jest zawsze czas i miejsce na każdy spór. Delabranche mówił o tym, o czym

Markiz już wiedział albo co już przeczuwał. Dzięki temu pojawiła się dla niego szansa słuchania samego siebie i niezgadzania się z samym sobą.

– Być filozofem to spostrzegać ducha tam, gdzie inni widzą tylko literę – ciągnął Delabranche. – O filozofach często się mówi „magowie", ale mag to przede wszystkim mędrzec, który zdolny jest do rozumienia otaczającej go zewsząd tajemnicy. Pierwszym krokiem do jej zrozumienia jest wykrycie przyczyn, których skutki wydają nam się zdumiewające. Najczęściej okazuje się, że rzeczy cudowne mają bardzo zwyczajne przyczyny i że nie ma zjawiska, którego nie dałoby się wyjaśnić przyczyną naturalną. To tylko kwestia czasu. Dlatego wielcy magowie byli mędrcami większymi od uczonych filozofów. Posiadali nie tylko wiedzę, ale i umiejętność korzystania z niej. Czy to nie oni dzięki znajomości praw gwiazd dostrzegli znak zapowiadający narodzenie Chrystusa? Jakże krucha jest granica między magią a tym, co nazywa się nauką, skoro wróżąc z gwiazd, odkrywamy prawa nimi rządzące, i owe prawa i wróżby, razem, zaprzęgamy do służenia rzeczywistości. Jasne, że nie wszyscy wróżbici są magami i mędrcami. Trzeba umieć odróżnić prawdziwego maga od magików trucicieli wróżących z trzewi padliny i z fusów. Mag we właściwym znaczeniu jest wielki i dobry, bo posiada wiedzę o wszystkich rzeczach, potrafi wyjaśnić naturalne więzi łączące przyczyny i skutki, umie też wywoływać, nazywać i objaśniać naturalnymi sposobami zdumiewające zjawiska zachodzące w przyrodzie. Magia jest dziedziną szczególnie narażoną na wynaturzenia. Tak jak wiara może przerodzić się w rytuał, tak i każde poznanie może zaplątać się w dogmaty. Wtedy stanie się martwe i śmieszne. Prawda ze swej natury jawi się ludzkiemu umysłowi jako płynna i zmienna, jest bowiem niezwykle złożona. Tworzenie bezdusznych aksjomatów i sztywnych twierdzeń w celu opisania prawdy oddala nas od możliwości jej poznania. Weźmy przykład. Chcąc opisać i poznać naturę liścia, powiemy, że tworzy go zielona, jednolita substancja. Kiedy jednak spojrzymy nań pod światło, okaże się, że ta substancja to układ żyłek, punktów, wybrzuszeń. Gdy znów popatrzymy na liść przez powiększającą soczewkę, stwierdzimy, że i te żyłki składają się z jeszcze mniejszych cegiełek. Gdybyśmy użyli soczewki jeszcze silniej powiększającej widziany obraz, okazałoby się, że to, co uważaliśmy za elementy podstawowe, jest już jedną z wyższych form organizacji.

– Cały czas mówisz, panie, o poznawaniu poprzez zmysły i narzędzia wyostrzające zmysły. A przecież istnieje sposób poznania wszystkiego, jednocześnie przyczyn i skutków, początku i końca, poprzez objawienie – wtrącił się w wywody Delabranche'a Markiz. Delabranche nawet się nie zatrzymał w swojej wędrówce po bibliotece.

– Ja także doceniam objawienie, wgląd bezpośredni, czy też, jak niektórzy mówią, iluminację. To jest sposób, który daje głębokie zrozumienie istoty rzeczy, ale nie wiedzę. Wiedza płynąca z objawienia nie jest przekazywalna. Gdyby była przekazywalna, nie mielibyśmy tu już nic do roboty, przecież i przed nami żyło wielu ludzi oświeconych i natchnionych. Jednych wyklęto, innych skazano na wygnanie albo uznano za szaleńców, a reszcie po prostu nie uwierzono. Ten, kto sam przeżył mistyczne objawienie, musi użyć słów, żeby podzielić się tym z innymi. To jedyny sposób. Może także wskazać drogę, którą sam podążał do objawienia, mniemając, że innych owa droga zaprowadzi w to samo miejsce. Ale nie zawsze tak bywa. Droga zaś, o której ja mówię, jest drogą dla każdego. Nie dla wybrańców. Polega ona na wykorzystaniu rozumu i zmysłów. Jej początkiem jest zdziwienie, czyli pewien rodzaj wrażliwości na nieoczywistość. Jeden, przechodząc koło kiełkującego żołędzia, uzna to za oczywistość, jakieś niezmienne prawo przyrody. Drugi – za cud, i zapyta sam siebie: Jak to się dzieje, że z żołędzia, który można zmieścić w dłoni, wyrasta drzewo, drzewo potężniejsze od wielu ludzkich budowli? Jaka tu siła działa i w jaki sposób dokonuje się ta przemiana? I tak jest ze wszystkimi rzeczami na świecie. Jeżeli przyjrzymy im się dostatecznie uważnie, zachwycimy się ich cudownością. Dlatego tak ważna jest rola cudu. O tym mówi moja książka. O tym, że wszystko, co nas otacza, jest żywe i doskonale zharmonizowane, kierowane i utrzymywane przez jednolitą siłę. Tej siły, która łączy i podtrzymuje żywy świat, poszukiwali Platon i Arystoteles i obaj dzięki temu osiągnęli szczyty filozofii. Nie ma już znaczenia, że jeden nazwał ją duszą świata, a drugi naturą uniwersalną. Dla mnie jasne jest, że mówili o jednym. Ta *vis mirabilis* jest ukryta w każdej rzeczy. Ma ona naturę strumienia, z jego ciągłą zmiennością, nieustannym przepływaniem. Jest jedna, a jednak ciągle się zmienia. To ona popycha istoty żywe do wiecznego rozwoju i doskonalenia się. Ona powoduje, że wszystko, co jest, musi mieć swój początek, okres dojrzałej pełni i kres. I pomimo wszelkich różnic wszystko

jest jednością i ze wszystkiego może powstać wszystko. W każdej rzeczy jest część innej rzeczy, we wszystkim jest część wszystkiego, wszystkie rzeczy są jednym.

– Skąd więc bierze się ich różnorodność i skąd się biorą przeciwieństwa między nimi?

– To proste. Siła ta ma dwie jakości, zupełnie przeciwstawne. Wieczne napięcie między tymi jakościami jest motorem wszelkich zmian. Te dwa bieguny mają ogromną liczbę nazw. Można je nazwać ciemnością i światłem, ruchem i spoczynkiem, lewym i prawym, zasadą i kwasem, pozytywnym i negatywnym. Rzeczy są rozpięte na tym kontinuum i w zależności od tego, ku któremu biegunowi się skłaniają, nabierają konkretnych cech. Zgodnie z tymi konkretnymi właściwościami mają one do innych stosunek sympatii bądź antypatii. Dlatego jedne się przyciągają, a inne wręcz odpychają. Zadaniem maga jest zdobycie umiejętności rozpoznawania cech charakterystycznych w każdej rzeczy. W metalu, kamieniu, roślinie czy zwierzęciu. Mając tę umiejętność, mag będzie zdolny łączyć elementy jednej rzeczy z analogicznymi elementami rzeczy drugiej. Albo je rozdzielać. W ten sposób może zdobyć władzę nad światem. O tym piszę we wstępie do mojej *Taumatologii*. W dalszej części opisałem ponad tysiąc tajemnic zbadanych przeze mnie w ciągu całego mojego życia. Na ich zbadanie, podróże, doświadczenia wydałem swój majątek i jestem z tego dumny, bo zbliżyłem się do odpowiedzi.

– Czymże więc jest w rzeczywistości cud? – ponaglił go Markiz.

– Nie ma cudów. – Delabranche stanął przy oknie i założył ręce do tyłu. – Nie ma cudów w dosłownym rozumieniu. Skoro wszystko zawiera wszystko, skoro jasne jest, że każda rzecz może zamienić się w inną, nie może być cudów, przed którymi rzucać by się trzeba było na kolana. To, co uważaliśmy za cud, było w rzeczywistości próbą określenia zjawiska rzadkiego, o nieznanych przyczynach. Bóg nie tworzyłby praw rządzących tym światem, żeby je potem łamać. – Ostatnie słowa Delabranche wypowiedział z nutą lekkiego zawodu. Wyciągnął zaraz kilka tomów oprawnych w skórę i położył je przed Markizem. – To jest cała moja dokumentacja. Każde zjawisko, czyli tak zwany cud, opisany, połączony z jemu podobnymi i, co najważniejsze, objaśniony prawami natury. Ponad tysiąc tajemnic!

Markiz brał kolejno do rąk ciężkie księgi i przewracał ich karty. Wszystkie tomy były zapełnione, strona po stronie, drobniutkim, ale czytelnym pismem.

Księga, którą wziął najpierw, zaczynała się od „Traktatu o magnesie". Zawierała głównie opisy doświadczeń, w podsumowaniu zaś Delabranche wyjaśnił na podstawie tych eksperymentów, czym magnes jest, a czym nie jest. W ten sposób skonstruowane były wszystkie rozdziały. „Naturalne przepowiednie przyszłości", „Określenie charakteru jednostki ludzkiej na podstawie jej twarzy", „O widzeniu w ciemności", „Przyrząd do słyszenia na odległość", „O uzdrawianiu za pomocą piękna", „O uzdatnianiu wody morskiej". W rozdziale „O samorództwie" Delabranche udowadniał na podstawie doświadczeń, że robactwo bierze się z ekskrementów, skarabeusze – z gnijących ciał orłów i psów, a żaby z błota i siebie samych. Zaznaczył też, że dzieworództwo u ludzi występuje raz na sto dwadzieścia lat i zawsze wiosną. Dalej było o pielęgnowaniu urody, likwidowaniu piegów i przywracaniu wąskiej pochwy po porodach. A potem o sprawianiu bólu na odległość, o produkcji opali i ametystów, o otrzymywaniu barwników w procesach alchemicznych, o hodowli bazyliszka, a jeden z ostatnich rozdziałów poświęcony został homunkulusowi. Ten był opracowany szczególnie dokładnie. Marginesy zdobiły odręczne rysunki i wykresy, a pismo było jeszcze staranniejsze niż gdzie indziej. „Człowiek jest najdoskonalszą istotą stworzoną przez Boga – zaczął czytać Markiz ostatni akapit – i jeżeli zdobywa umiejętność powołania do życia człowieka nie drogą naturalnej prokreacji, lecz dzięki rozumowi, tej iskrze bożej w każdym z nas, znaczy to, że zakończył się pewien cykl w jego rozwoju. Być może w ten sposób odkupiony został na zawsze grzech pierworodny, stąd zaczyna się następny krok w drodze ku Niemu". Tymi słowami Delabranche kończył ostatni napisany tom.

Markiz odłożył księgi. Czuł suchość w ustach. Złożył głowę na wysokim oparciu fotela i przymknął oczy. Znowu zaczynały go szczypać.

– To rzeczywiście zrobiło na mnie wrażenie, panie Delabranche – powiedział. – Cały świat zmieszczony na stronicach kilku ksiąg.

– Coraz częściej podejrzewam, niestety, że to, co udało mi się tu przedstawić, to tylko cień prawdziwego świata, pojedynczy refleks, nie sądzi pan?

– Każde ludzkie dzieło będzie zawsze tylko refleksem czegoś doskonalszego. Każda księga napisana przez człowieka jest odbiciem tamtej Księgi. Żyjemy w świecie odbić, cieni, niedoskonałości, co nie znaczy, że czysta doskonałość nie istnieje.

Nagle zgasła wypalona świeca. Zanim Delabranche zapalił nową, siedzieli przez chwilę w gęstych ciemnościach, w których słychać było tylko jego człapanie i spokojny oddech Weroniki. Kiedy rozbłysła nowa świeca, zrobiło się dużo jaśniej niż przedtem. Delabranche pochylił się wtedy do Markiza i ściszył głos:

– Jestem pewien, że istnieje. Niech pan spojrzy – powiedział świszczącym szeptem i pokazał palcem na śpiącą Weronikę.

Tego wieczora Markiz podjął decyzję o wyruszeniu w dalszą drogę, lecz chętnie by jeszcze pozostał kilka dni w tym dziwnym domu. Ciągnęło go do biblioteki, do podziemi, gdzie w słoju pływał sztuczny człowiek. Bał się jednak nagłej zmiany pogody i tego, że po tylu trudach będą musieli zawrócić. Delabranche chciał z początku towarzyszyć im do granicy, lecz Markiz przekonał go, że nie byłoby to ani rozsądne, ani bezpieczne. Trudna droga przez góry byłaby dla niego zbyt uciążliwa i opóźniałby tempo podróży. Cały wieczór Delabranche przygotowywał im więc mapy terenów przygranicznych z zaznaczonymi bocznymi szlakami, rzadziej uczęszczanymi przez podróżnych i mniej pilnowanymi przez straże graniczne, które z pewnością zażądałyby zaświadczenia o przebytej kwarantannie. Poza tym udzielił im wielu rad tonem tak mentorskim, że trudno wprost było tego słuchać. Żeby gotować wodę, nawet zaczerpniętą ze strumieni, które wydają się czyste, żeby zawsze jedno z nich czuwało podczas noclegu, żeby nie ufać zbytnio przygodnym znajomym, zwłaszcza Hiszpanom (pełno wśród nich szubrawców), że lepiej spać pod gołym niebem, niż korzystać z wątpliwej gościnności tychże. W końcu zaproponował Markizowi, żeby zostawił u niego konie i wziął zamiast nich dwa muły, które kobieta może sprowadzić z dołu. Kazał im także naszykować worek z suszonymi owocami i wędzonym serem. Z zainteresowaniem lekarza przyglądał się wciąż Weronice.

– Wyglądasz, pani, na zaczarowaną – zażartował, zaglądając jej w oczy. – Bladość skóry, szklisty, błyszczący wzrok, powolność gestów. Czy rozmawialiście z kimś, jadąc do mnie?

– Tak, z jakimś człowiekiem w mieście, ale było ciemno – odrzekła.

Delabranche kazał jej wypić gorące wino, do którego nasypał sproszkowanych ziół, a potem dał jej flakonik z chininą do profilaktycznego zażywania rano i wieczorem.

Po tych wszystkich przygotowaniach, gdzieś koło północy, zeszli na prośbę Markiza zobaczyć jeszcze raz człowieczka w szklanym słoju.

– Ty, panie, też nie wyglądasz najlepiej – powiedział na schodach Delabranche do Markiza. – Masz na twarzy cień Saturna. Mogę się domyślić, na co cierpisz. Melancholia, ciężkie sny... Wybory, których dokonujesz, kawałkują twoje życie, a żyjesz tak, jakbyś miał kamień przywiązany do stóp.

– To choroba naszych czasów – stwierdził Markiz. – Mówią, że wszyscy żyjemy teraz pod znakiem tej planety.

– Ale mówią też, że Saturn nie jest ostatnią z krążących wokół Słońca planet, że są za nim jeszcze inne ciała, trzy, cztery, może pięć. Każda planeta to pewien etap w rozwoju. My musimy zajmować się Saturnem i doświadczać właśnie jego wpływów. Dopiero kiedy zgłębimy tajemnicę tego, co nas ogranicza i jednocześnie utrzymuje przy życiu, kiedy poznamy, czym jest cień wewnątrz naszej duszy, i znajdziemy korzenie śmierci, wtedy nastanie nowa epoka i astronomowie odkryją z pewnością nową planetę.

– I zaczną się nowe kłopoty – uśmiechnął się Markiz.

Stanęli przed drzwiami prowadzącymi do ostatniego z pomieszczeń.

– Czy go nie obudzimy? – zapytała Weronika.

– On nigdy nie śpi – odparł Delabranche, otwierając drzwi.

Markiz podszedł do szklanej granicy dwóch światów i długo patrzył w spokojną i piękną twarz stworzenia. Wydawało mu się, że niepotrzebujące powiek czarne oczy patrzą na niego z obojętną wyniosłością, w której jest także ironia... Zamrugał w końcu, bo nie wytrzymał tego przenikliwego spojrzenia.

– Do zobaczenia – powiedział zmieszany.

Nocą wtulił się w ciepłe, uległe ciało Weroniki. Szukał w nim ludzkiego zapachu, zapachu, którym przesycona jest rzeczywistość. W roztargnieniu gładził gładką i gorącą skórę.

– Boję się – powiedziała cicho Weronika.

Markiz drgnął, bo przez chwilę zdawało mu się, że powiedział to on sam.

– Czego się boisz, milutka? Wszystko idzie dobrze...

– Boję się, że się nam nie uda. Nic nie wyjdzie z tej wyprawy.

Przytulił ją.

– Czy miłość może być zaczarowaniem? – spytała w ciemnościach kobieta.

Nie odpowiedział. Jest chorobą, pomyślał.

15

Wczesnym rankiem ruszyli w stronę gór. Gauche wlókł się na końcu, z oczyma pełnymi łez, oglądając się na pozostawione konie. Teraz dwa muły niosły sakwy z ubraniem, pledami, workami do spania i żywnością. Na przedzie szedł Markiz, prowadząc zwierzęta, za nim Weronika. Wszyscy byli skupieni i smutni: Gauche z powodu koni, Weronika pewnie z „zaczarowania", a Markiz bodaj z tego rosnącego poczucia obcości wobec siebie, którego spotkanie z Delabranche'em, a raczej z tym dziwnym stworzeniem w słoju, nie tylko nie uleczyło, lecz jeszcze bardziej je pogłębiło.

Spotkanie z Delabranche'em było spotkaniem ze światem, który Markiz dobrze znał i z którego wyruszył, było powrotem do języka, którym mówił, do wartości, które uznawał dotąd za słuszne. A jednak teraz nie odnajdywał w nich siebie. Nie wiedział jeszcze, gdzie jest, ale tam już go nie było. Coś sprawiło, że pojawiła się w nim dziura, przez którą wysypywał się on sam, jakby zawsze był tylko piaskiem. Wysypywał się z siebie, rozpraszał, rozpuszczał w otaczającym świecie, a górski, ostry wiatr rozwiewał go na wszystkie strony, zaprzepaszczając możliwość powrotu. Nie mógł się skupić, zaczął wątpić we wszystko, co przedtem uważał za swoje. Tego ranka z przerażeniem uświadomił sobie, że zwątpił także w Księgę. Szedł dalej bardziej z uporu i nawyku. Przy pożegnaniu zapytał Delabranche'a o coś, co nagle wydało mu się niezwykle ważne.

– Czy znalazłeś, panie, w tym wszystkim jakieś znaczenie, jakiś ogólny sens? Po co miałoby się tworzyć homunkulusy, po co zamieniać ołów w złoto, poznawać zasadę magnesu?

– Wiem, o czym myślisz – odpowiedział Delabranche, przytrzymując na wietrze brudną perukę – ale ja nie szukałem znaczenia. Szukałem prawa.

Teraz Markiz przyglądał się swoim stopom w zniszczonych, podbitych żelazną zelówką trzewikach. Niosły ciało pełne nienasycenia, pożądania, jakiegoś wewnętrznego drżenia. Ciało, które zaczynało przekwitać, ale żą-

dało jeszcze rozkoszy, potomków, władzy. Ciało, które mąciło czystość umysłu, lekki sen i spokój, ciało, o którym sądził, że jest jego własnością i od niego zależy. To ono było zaczarowane. Ktoś zaczarował idącą przed nim kobietę, a ona zaczarowała jego. Czuł na plecach ten oddany, pełen miłości wzrok, którym trzymała go na uwięzi. Bał się tego ubezwłasnowolnienia, a jednak myśl o jakimkolwiek oddaleniu od tego wzroku wywoływała ból nie do wytrzymania.

Weronika szła za nim, ale widział ją dokładnie. Postać kobiety w oberwanej na wysokości kolan sukni, spod której błyskają czernią skóry wysokie, sznurowane trzewiki. Z przyzwyczajenia unosiła zmiętą sukienkę, kiedy potykała się na kamienistej ścieżce. Spoglądała wtedy w górę, na niego, czekając, aż się obejrzy. Widział też siebie samego, jak idzie przed nią. Jego zielonozłoty surdut, na który narzucił kożuszek, odbijał od szarego otoczenia papuzią wesołością. Widział swoje przygarbione plecy, nieumięśnione łydki w przybrudzonych pończochach. Czuł wtedy potrzebę lustra, żeby zobaczyć się z przodu, wydąć wargi, podnieść głowę i tym przydać sobie siły. Ten śmieszny mężczyzna z ciałem powoli tracącym męskość nie podobał mu się. Nie lubił jego pleców, łydek i krótko ostrzyżonych włosów. Był śmieszny – to właściwe słowo. Żałosny zielonożółty surdut na chudych nogach, surdut obejmujący skrawek powietrza, próżnię, którą nazywał sobą. Godny politowania filozof, który gubi się w tym, co najważniejsze, a odnajduje spocony na brzuchu kobiety. Który całą swoją wewnętrzną czystość, swoje oczekiwanie oddaje pod zastaw cherlawej fizyczności.

Markiz najbardziej brzydził się oszustwa, które zaczynało w nim kiełkować jak choroba. Zdawał już sobie sprawę, że oszukał siebie i tę samotną, wpatrzoną w niego kobietę w skórzanych trzewikach. Przez głowę przesunęły mu się zdarzenia z ostatnich kilku dni. Zaczął oszukiwać siebie i ją, sam o tym nie wiedząc, kiedy wysiadła z powozu, kiedy po raz pierwszy się do niej odezwał i potem, kiedy krył się sam przed sobą, patrząc na jej bladą skórę i pożądając jej dotknięcia. Wiedział już wtedy, co się stanie. Wszystko było ukartowane. Brudne przeczucia, brudne ręce, brudne całe ciało, pobrudzone białe karty Księgi, brudne koronki przy mankietach i brudne jedwabne pończochy. I co było zaskakujące: tylko ta kobieta pozostawała wciąż czysta, nawet w wymiętej, oberwanej sukni. Markiz nie chciał jej skrzywdzić, bo jej cierpienie byłoby dlań jeszcze potężniejszą falą bólu. Ni-

gdy już by się od niego nie uwolnił. Księga nie dopuściłaby go wówczas do siebie.

Przyszedł mu do głowy pomysł, który schłodził ten palący wstręt niczym zimny kompres. Gdyby Weronika była jego córką, gdyby zdarzyło się jakimś cudem, że jest jego córką, mógłby ją kochać i nie pożądać jej ciała. A nawet gdyby pożądanie pojawiło się jak niespodziewany powiew wietrzyku albo przyszło we śnie, byłoby wtedy warte jedynie uśmiechu, machnięcia ręki. Nie pożądałby w niej kobiety, ale siebie samego w tym ciele, które przenosiłoby jego cechy w przyszłość i w swojej kobiecej roli matki jego wnuków zapewniałoby mu rozkoszne poczucie nieśmiertelności. Mógłby patrzeć na Weronikę z dumą i zachwytem, które jemu dawałyby spełnienie, a jej nietykalność. Mógłby ją przytulić i pogłaskać po głowie, przelewając w nią morze swojej miłości. Mógłby mówić o niej innym. Jego ojcowska duma uzasadniałaby tę ciągłą uwagę, ten przyszpilony do niej wzrok, uporczywe zmiany tematów w rozmowach, kiedy zbyt oddalały się od jej osoby. Mógłby ją wydać dobrze za mąż i patrzeć, jak obrasta w szczęście. Wierzyłby wtedy, że każdej nocy w swoim mężu musi znajdować coś z ojca, żeby w ogóle móc kochać. Mógłby odnajdywać się w każdym mężczyźnie, którego brałaby za kochanka.

Popatrzył na nią z tą nową myślą i oczekiwaniem jakiejś zmiany. Wyczuła jego wzrok i podniosła głowę. Odwrócił się.

Mogłaby być jego siostrą. Siła, która ich ciągnie do siebie, byłaby wtedy usprawiedliwiona. Byłaby podobieństwem, wspólnotą doświadczeń, wspomnieniem rodzinnego domu, zapachu piersi matki, głosu ojca. Problem fizyczności w ogóle by wtedy nie istniał. Byliby przecież jednym ciałem w dwóch różnych formach: kobiecej i męskiej. Pochodziliby oboje z tego samego źródła. Jedna istota w dwóch wcieleniach. Mieliby prawo do rozumienia się bez słów, tylko za pomocą wzroku, albo nawet myśli. Mieliby prawo być razem i cokolwiek by się stało, wzajemnie pozostawać zawsze swoją drugą stroną. Jednakowość, pogrążenie swojej pojedynczości w utopii dwójni, czy nie to zawsze najbardziej pociąga w miłości? Markiz przypomniał sobie pewną formułę alchemiczną i teraz odczytał ją zupełnie na nowo:

Dwa rozwija jeden,

a trzy wraca do jeden.

Ponad sobą i Weroniką Markiz zobaczył trzecią postać, jeszcze nienazwaną. Jaka miałaby być matka, która by urodziła nas dwoje? – pomyślał. Tym razem zza słowa „matka" nie wynurzyła się zrezygnowana, pomarszczona twarz jego matki. To znów była Weronika.

Gdyby Weronika była jego matką... Tego nie mógł sobie ani wyobrazić, ani wyrazić słowami. Samo przyjęcie takiej możliwości, samo pomyślenie o niej osłabiło jego ciało i wywiało z pamięci wszelkie obrazy. Podniósł głowę i zobaczył, że są już prawie na szczycie płasko ściętej góry. Przed nimi rozciągało się pasmo jeszcze wyższych gór, których jaskrawe od słońca pionowe ściany znaczyły jakieś sobie tylko wiadome granice. Wydawało się, że gęste powietrze utrzymuje góry w stanie zawieszenia i tymczasowości, niby mróz, który zatrzymał ziemię w tańcu, falowaniu i szaleństwie. Pojedyncze skały sterczały, raniąc przestrzeń, i tylko cud sprawiał, że trwały tak w bezruchu. Drobne, karłowate drzewka ześlizgiwały się w dół, gdzie wąwozem płynął na wpół wyschnięty strumień. Z tej wysokości horyzont zdawał się tak daleki, że niemal na granicy widoczności. To był świat uporządkowanej kamiennej materii i dopiero gdzieś w górze, ponad granicą ledwie dostrzegalnego zamglenia, zaczynała się nieskończoność. Weronika stanęła w najwyższym miejscu i dłonią osłoniła oczy przed słońcem. Powoli obracała się wokół siebie, spoglądając na góry jak na swoje włości. Potem zbiegła do Markiza i objęła go wpół. Markizowi zapachniały jej włosy. Gdyby była moją matką, powiedziałaby mi, co teraz robić – pomyślał.

16

Plan Delabranche'a polegał na tym, żeby przełęcz przejść nocą. Żadna, nawet najbardziej karna straż graniczna nie będzie pilnować przejścia w nocy. W nocy się śpi, pije, kocha dziewczyny, które schodzą do strażnic z górskich wiosek, żeby miłością zarobić na posag. Tych zwyczajów nie zdołały zmienić zaostrzone z powodu zarazy przepisy.

Do przeprawy przygotowali się przed wieczorem. Znaleźli coś w rodzaju zarośniętej, osłoniętej od wiatru półki skalnej. Posilili się, nie rozpalając ognia, a potem zdrzemnęli godzinkę. Kiedy się trochę wychyliło głowę z ich kryjówki, widać było strażnicę. Przypominała byle jak skleconą szopę i wydawało się wątpliwe, czy w ogóle bywają w niej ludzie. Dopiero kiedy przed zmierzchem dotarli do niej jacyś podróżni wyglądający na kupców, pokazało się dwóch uzbrojonych strażników i celnik. Spóźnieni kupcy zdecydowali się najwidoczniej przenocować na granicy, bo uwiązali swoje muły. Zanim zaczęło się ściemniać, przyszło jeszcze do strażnicy od strony gór czterech mężczyzn; z innego kształtu nakryć głowy Markiz poznał, że są to Hiszpanie. Nie zauważył, żeby wracali potem na swoją stronę. Strażnica musiała spełniać chyba funkcję górskiego hotelu.

Noc dojrzała i w ciemności skały stały się dwuwymiarowe. Markiz sprawdził rzemienie przytrzymujące bagaż na grzbietach mułów i zaraz potem ruszyli. Trzymali się blisko pionowej ściany, gdzie ciemność była gęsta jak woda. Wszystko im sprzyjało. Nie poruszył się żaden kamień, nie zaskrzypiał żaden pasek. W ciągu godziny znaleźli się po drugiej stronie granicy, a w chwilę potem na wschodzie zabłysła jasna poświata. Szli do południa, nie niepokojeni przez nikogo. Dopiero kiedy słońce przechyliło się na drugą stronę nieba, poczuli się zmęczeni i pozwolili sobie na zasłużony popas.

Gauche chciał rozpalić ognisko, ale Markiz nie zgodził się na to. Byli wciąż jeszcze za blisko posterunków granicznych i dym mógłby ich zdra-

dzić. Siedzieli więc zziębnięci i skuleni, bo górskie słońce o tej porze roku nawet w południe nie dawało już ciepła. Grzało tylko skórę, jakby jego promienie nie miały dość siły, żeby się przebić głębiej.

Markiz narzucił na siebie i Weronikę duży pled podbity jakimś miłym w dotyku futerkiem. Pomyślał, że oto nadszedł czas, żeby coś z tym wszystkim zrobić. Kilka razy otwierał już usta i nagle ogarniał go dojmujący żal; ból w piersi odbierał mu oddech. Wreszcie wstał i zaczął krążyć niespokojnie, trącając czubkiem buta leżące na ziemi torby.

– Co ci jest, panie? – zapytała Weronika. – Przecież przeszliśmy najniebezpieczniejsze. Teraz już możemy sobie iść spokojnie, jak na spacer.

Przysunęła do siebie rozłożoną mapę de Chevillona i wodziła palcem po zaznaczonej trasie.

– Zaczniemy schodzić w dół i zrobi się cieplej. Pojawią się w końcu ludzie i kupimy świeże jedzenie. Buty Gauche'a są do wyrzucenia.

Markiz popatrzył na nią i na chwilę jego wzrok złagodniał. Potem odwrócił się i zagryzł wargi.

– Gauche, idź do zwierząt! – rzucił przez ramię, a chłopiec wycofał się, przestraszony.

Weronika wstała, okryta pledem.

– Weroniko, musimy się opamiętać – powiedział, chwytając ją za ramiona. Spojrzała na niego z zaskoczeniem. – Opamiętać się, rozumiesz? Nie wolno nam się teraz kochać. Nie w ten sposób. Rozpraszasz mnie, pochłaniasz całą moją uwagę. Twoja obecność mnie kusi i myślę tylko o tym, żeby się z tobą kochać. Mam wciąż chaos w głowie. Czuję się słaby. Jeśli będę w takim stanie, Księga nie pozwoli, bym ją odnalazł. Jestem tego pewien, a przecież nie mogę zrezygnować z Księgi. Nie teraz, kiedy pokonaliśmy już wszystkie przeszkody i jesteśmy tak blisko. Musimy się zmienić. Nasz stosunek do siebie nawzajem musi się zmienić. Tylko na razie, na tych kilka dni, jakie jeszcze pozostały. Muszę być czysty, ty też, ciałem i duszą, i umysłem. Kiedy wrócimy z Księgą, załatwię wszystko z moją żoną i będziemy już zawsze razem. Ale teraz musimy się opamiętać. Rozumiesz mnie?

Weronika próbowała dotknąć jego twarzy, ale odsunął się gwałtownie.

– Tylko na razie – powtórzył.

– Co może być złego w tym, że się kochamy?

– Nic złego, ale nie tu i nie teraz. To jest misja! Wyruszyliśmy po świętą Księgę, a nie na miłosny spacer. Księga stoi ponad ludzką miłością i żeby ją odnaleźć, trzeba być czystym, a to, co my teraz robimy, jest grzechem.

– Miłość nie może być grzechem.

– Miłość jest grzechem, kiedy nie stoi za nią prawo i błogosławieństwo. Nasza miłość to grzech. Nie mam już mojej mocy, czuję się niespokojny…

– Kocham cię – powiedziała Weronika szeptem.

Markiz wolałby tego nie słyszeć. To słowo było zbyt ciężkie, żeby mógł je teraz nieść przez góry. „Jeżeli mnie kochasz, to przestań mnie kochać" – chciał powiedzieć, ale uświadomił sobie nonsensowność takiego żądania.

– Ja też cię kocham – rzucił w przestrzeń, tak żeby nie natknąć się na jej wzrok.

Weronika płakała. Nie z żalu, lecz z poczucia, że dzieje się coś ważnego, a ona nie jest w stanie, zupełnie nie potrafi tego zrozumieć.

Gauche, przestraszony zmienionym nagle głosem Markiza, pobiegł w dół, gdzie strumyk wzbierał, tworząc małe wodospady, błyszczące od odbić stalowego nieba. Był niespokojny. Czuł przykry zapach, jakieś ciężkie, stojące powietrze. Wciągał je do płuc pełen wstrętu, ale nie chciał wracać na górę, gdzie przecież działo się coś niedobrego. Powietrze bulgotało mu w gardle, próbując wydostać się na zewnątrz w inny niż zwykle sposób. Gauche nie przeczuwał, że tak właśnie rodzi się głos. Chrząkał, kaszlał i pochlipywał. Kucnął nad strumykiem i spryskał sobie twarz lodowato zimną wodą. Wtedy usłyszał piski. Zamarł bez ruchu, zły na siebie, że mógł być tak nieostrożny. Głosy dochodziły z tyłu i z wysoka. Domyślił się, że nad nim, ukryte w jakimś skalnym zagłębieniu, mieści się gniazdo drapieżnika. Plecy Gauche'a zadrżały w oczekiwaniu ataku. Tutaj, w tej małej kotlince, był zupełnie bezbronny. Gorączkowo szukał wzrokiem drogi ucieczki. Woda wyglądała na zbyt płytką, żeby się w niej ukryć, podejście zaś na zbyt strome, żeby szybko wbiec na górę. Strach wyostrzył mu zmysły i Gauche nagle zidentyfikował ten cierpki zapach: to zwierzęce ścierwo, stara śmierć, gnicie, zniszczenie. Chłopiec pragnął się skulić, osłonić głowę dłońmi, wcisnąć ją między kolana i czekać, ale instynkt kazał mu się wyprostować i odskoczyć pod ścianę. Dopiero teraz podniósł głowę i zobaczył

nad sobą skalny występ, z którego zwisało duże skrzydło martwego ptaka. Serce dudniło mu w piersi, ale ciało nabrało raptem zwierzęcej sprawności i pewności ruchów. Gauche zrozumiał, że może jedynie obejść gniazdo górą. To zapewni mu przewagę. Ruszył więc ukosem wzwyż, powoli przestawiając stopy wzdłuż krawędzi wystających ścian. Po kilkunastu metrach wspinaczki znalazł się prawie dokładnie nad miejscem, skąd dochodziły piski. Było tam stare, zniszczone gniazdo dużego ptaka, w którym kręciły się nieporadnie małe kotki. Wydawały się może nieco większe niż te, które Gauche znał z ludzkich siedzib, miały ognistorudą sierść i puszyste ogony. Chłopiec ucieszył się i odetchnął z ulgą. Zaraz pomyślał o Weronice – jak by się ucieszyła, widząc takiego małego kotka. Podjął decyzję. Obraz siebie samego ofiarowującego Weronice zwierzątko, jej uśmiech, jej wzrok, ten obraz rozkwitł w wyobraźni chłopca i na chwilę go oślepił. Gauche zaczął zsuwać się do gniazda, raniąc sobie ręce o skałę. Kiedy był tuż-tuż, zamarł, wisząc na skale z ręką uniesioną nad gniazdem. Rude koty miały na płaskim czole nieruchomy, błyszczący klejnot: jeszcze jedno oko. Gauche zamrugał powiekami, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Wrażenie, że jest obserwowany przez ten nieruchomy, pozbawiony powiek wybryk natury, sprawiło, iż zaczął drżeć. Spojrzał przelotnie w dół i skoczył w kamienisty potok. Nie czuł bólu potłuczonych kolan, chłodu wody, kamieni. Posapując z przerażenia, piął się do góry, do obozu, do swoich mułów, do psa, Weroniki i Markiza.

– Co ci jest, co się stało? – tuliła go Weronika.

Wyrwał jej się i chwycił Markiza za połę zielonożółtego surduta.

– On coś znalazł! – krzyknął Markiz i pobiegł za Gauche'em w stronę potoku.

Obeszli teraz gniazdo dookoła i patrzyli na nie z góry. Koty zwróciły ku nim swoje niesamowite potrójne oczy.

– To znak, że Księga jest już blisko.

Szli teraz rozległym płaskowyżem, który niespodziewanie rozpostarł się przed nimi, równy jak stół. Nie było go na mapie de Chevillona i Markiz rozglądał się niespokojnie. Patrzył na słońce, badał kierunek wiatru i odchodził gdzieś na bok, często znikając z oczu Weronice i Gauche'owi.

Już trzeci dzień nie spotkali żywej duszy. Gdyby zbłądzili, nie miałby kto wskazać im drogi. Tylko raz dostrzegli maleńką figurkę człowieka, tak daleko, że wyglądał jak mrówka.

Kolejny wieczór spędzili w milczeniu, grzejąc się na zapas przy ognisku i przygotowując sobie ciepłe legowiska do spania. Temperatura spadła tutaj tak bardzo, że nocą ścinała powierzchnię wody w przezroczystą tafelkę. Worki do spania od de Chevillona były zbyt ciasne, żeby można w nich było spać wygodnie, ale za to nie pozwalały przymarznąć do ziemi.

Weronika męczyła się przez ostatnie trzy dni. Próbowała ułożyć jakąś rozsądną i przekonującą przemowę do Markiza, żeby mu udowodnić, że nie ma racji. Wyszukiwała argumenty, polemizowała z nim w myślach, ale przez całą drogę, kiedy maszerowali obok siebie, nie potrafiła odezwać się pierwsza.

Markiz szedł pół kroku przed nią. Osłonił sobie usta i nos kawałkiem wełny i widać było tylko jego oczy: przekrwione, załzawione, zmęczone, jakby nie spał przez kilka nocy. Nie odzywał się. Od czasu do czasu spoglądał na mapę, mimo że znał ją już na pamięć.

Gauche nadal przed zaśnięciem rozkładał wokół obozu kępki ziół. Słyszał w nocy, jak zwierzęta podchodziły do tej pachnącej granicy, depcząc z szelestem wysuszone trawy, i odchodziły zawiedzione. W ich alfabecie zapachów zioła Gauche'a jednoznacznie mówiły, że oto na tę jedną noc w ich górach wyrosła twierdza.

17

Tego ranka Markiz obudził się pierwszy. Słońce jeszcze nie wzeszło i Markizowi wydawało się, że powietrze pozwalające wziąć głęboki oddech pojawi się dopiero wraz ze słońcem. Powoli, z wysiłkiem odwrócił się na bok, zobaczył śpiącego z otwartymi ustami Gauche'a i ciężko oddychającą Weronikę. Poczuł się nagle odpowiedzialny za te dwa młode ciała. To z jego powodu oboje dotarli aż tutaj i dla niego ryzykowali zdrowie i życie. Jakże byli zależni od niego; teraz najmniejszy jego błąd mógł ich zabić.

Przemagając niechęć i zesztywnienie ciała, wstał i zabrał się do rozpalania ognia. Rozwiązał pęk drewna, które nieśli ze sobą, i ostrożnie położył dwie szczapy na tlącą się trawę i gałązki. Potem z bukłaka nalał wody do żelaznego kociołka i wrzucił do niej garść ziół – mieszankę od Delabranche'a. Wyjął także suchy chleb i wędzony ser. Rozłożył to na płóciennej serwetce. Nagle przyszło mu do głowy, żeby się pomodlić. Stanął twarzą do wschodzącego słońca i ostrożnie kilka razy nabrał powietrza w płuca. Było tak czyste i ostre, jakby nigdy nie skaził go ludzki oddech, a nawet jakby nie zawierało oczywistej, nigdy niekwestionowanej obecności Boga. To było dziwne powietrze. Kręciło się od niego w głowie jak po mocnym winie.

W skupieniu, opanowując drżenie ciała, Markiz modlił się o siłę, opiekę, o pomoc. Prosił o wskazówki, gdyby zdolność rozróżniania między tym, co dobre i złe, została mu odebrana. Czuł jednak, że modlitwa nie niesie mu tego spokoju i ufności co zwykle. Gdzieś z boku, spoza granicy wzroku, płynął do niego niepokój i burzył porządek wypowiadanych szeptem słów.

Wracając do ogniska, kucnął przy śpiącej Weronice i zobaczył, że dziewczyna ma spieczone wargi i oddycha szybko i płytko. Oczy pod zamkniętymi powiekami poruszały się niespokojnie, oglądając jakieś wewnętrzne obrazy. Markiz przez chwilę zapragnął ujrzeć te niezwykłe widoki, które sen rozpościerał na szklistych powierzchniach uśpionych oczu. Pochylił się, żeby wargami dotknąć jej czoła, i z daleka poczuł bijące od niego gorąco.

Kołysał się bezmyślnie na piętach, nie wiedząc, co zrobić. Ogarnęła go fala strachu.

Powyciągał torebki z ziołami i proszkami, ale nie mógł się zdecydować na żadne z lekarstw. Przypomniał sobie o chininie. Usiadł przy ogniu i dotykając niespokojnymi palcami kilkudniowego zarostu na brodzie, czekał, aż woda się zagotuje.

Godzinę później Weronika wypiła rozpuszczone w wodzie lekarstwo i posmarowała sobie resztką jakiegoś mazidła spękane wargi. Siedziała na kocu koło ognia i próbowała rozczesać włosy. Te, które wypadły, martwe, wrzucała do ogniska.

– Chciałabym się wykąpać – powiedziała. – Marzę o tym, żeby się wykąpać.

Markiz grzebał patykiem w ognisku.

– Możliwe, że znajdziemy dzisiaj jakieś bezpieczne miejsce, na przykład u tego pasterza, którego widzieliśmy wczoraj z góry. Wtedy wy oboje zostaniecie tam i poczekacie na mnie. Poszedłbym dalej sam. To już niedaleko, myślę, że dwa, trzy dni drogi. Gauche mógłby się tobą zająć.

Weronika popatrzyła na Markiza ponuro.

– Nic mi nie jest.

– Boję się o ciebie, pani. Miałaś w nocy gorączkę.

– Nienawidzisz mnie i chcesz się mnie pozbyć. – W głosie Weroniki pobrzmiewały nuty histerii.

– Proszę cię, nie mówmy o tym. To nie jest miejsce ani pora.

Markiz wstał gwałtownie i wrzucił patyk do ognia.

Podszedł do muła i zaczął wiązać pakunki na grzbiecie zwierzęcia.

W południe zeszli z płaskowyżu w wąską i głęboką dolinę jakiejś rzeki. Markiz sporo wyprzedził wlokących się noga za nogą Gauche'a i Weronikę i teraz, czekając na nich, usiadł na brzegu i przyglądał się mapie. Wodził palcem po wyrysowanej trasie, lecz nadal nie potrafił zlokalizować dokładnie miejsca, gdzie się znajdowali. Słyszał za sobą głos opowiadającej coś chłopcu Weroniki i stukot osuwających się spod ich stóp kamieni. Markiz

wiedział, że podobną rzekę przechodzili wczoraj. Zresztą wszystkie górskie rzeki są do siebie podobne. Może kręcą się w kółko? Na mapie miał zaznaczone dwie takie rzeczki. Przy jednej de Chevillon napisał literę V, przy drugiej S. Markiz zdawał sobie sprawę, że bez jakiejś wskazówki nigdy nie zdoła określić dokładnie, gdzie są. A teraz przecież zależało mu na czasie ze względu na Weronikę, pogodę i malejące z dnia na dzień zapasy. Zaczął padać drobny deszczyk. Markiz złożył mapę i wycofał się w miejsce, gdzie pionowa skała tworzyła nawis. Po chwili zjawili się Weronika i Gauche.

– Nie będziemy mogli się stąd ruszyć, jak będzie padać – powiedział Markiz ze złością.

Wtedy zobaczyli idących po drugiej stronie rzeki ludzi – staruszka i kilkunastoletnią dziewczynkę. Mężczyzna miał niechlujną siwą brodę i wyglądał na pasterza. Czarnowłosa, chuda dziewczynka osłaniała głowę brązową chustką.

Widok tych dwojga idących w deszczu z biegiem rzeki wydał im się niezwykły. Zjawili się jak na zawołanie. Markiz wyskoczył spod skały i machając rękami, zbiegł na brzeg.

– Hej, człowieku, dobry człowieku! – wołał.

Stary przystanął i na widok Markiza cofnął się ze strachem. Dziewczynka schowała się za niego.

– Człowieku, zatrzymaj się, chcę cię tylko o coś zapytać! – krzyczał Markiz. – Jak się nazywa ta rzeka?

Stary patrzył na niego, wciąż ogłupiały i zaskoczony.

– Jak nazywacie tę rzekę? – zapytał Markiz już spokojniej i po hiszpańsku.

Twarz starego ożywiła się na chwilę.

– A, rzeka. To jest Rzeka.

– Ale jak się nazywa?

– My mówimy Rzeka.

– A jak się nazywa najbliższa wioska?

Stary wymienił jakąś obcą nazwę. Markiz zawahał się, czy wrócić po mapę. Bał się, że ci ludzie odejdą.

– Chodźcie do nas, schowacie się przed deszczem. Jesteśmy podróżnymi.

Tamci ociągali się przez chwilę, ale ciekawość zwyciężyła. Ostrożnie, sprawdzając stopą każdy kamień, przeszli po nich na drugą stronę rzeki. Dziewczynka rozszerzonymi ze zdumienia oczami przyglądała się najpierw Markizowi, a potem nie odrywała już wzroku od Weroniki. Markiz pokazał staremu mapę, ale widać było, że nie pojmuje on nic z narysowanych na papierze znaków, linii i zakreskowanych plam.

– Chcemy dojść tutaj, o, tu właśnie. – Markiz pokazał palcem miejsce na papierze.

Stary patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Góry del Cadí, Seo de Urgel, Llavorsí – wymieniał Markiz.

– O, Llavorsí, tak, tak, duże miasto – podchwycił nagle pasterz.

– Gdzie? Powiedz, gdzie jest Llavorsí?

Pasterz i dziewczynka jednocześnie wskazali ręką kierunek, który według Markiza był północnym zachodem. Markiz zaczął orientować mapę.

– A więc musimy przejść rzekę i iść tam, prosto w tamtą stronę.

Stary zaniepokoił się.

– Nie, panie, tamtędy nie idźcie. Chodźcie z nami do wsi i dalej do Llavorsí, ze wsi droga jest prosta.

– Dlaczego mielibyśmy zbaczać? Musimy iść najkrótszą drogą do Sierra del Cadí – niecierpliwiła się Weronika.

– Nie, pani, tam nie ma drogi, a przełęcze są niebezpieczne. I w dolinie mieszkają smoki.

Weronika nie od razu zrozumiała.

– Smoki? Powiedziałeś „smoki”?

– Tak, pani, wielkie gady, jaszczurki ze skrzydłami.

Markiz roześmiał się.

– On ma rację. Chodźmy najpierw do tej wsi. Tam odpoczniemy i uzupełnimy zapasy.

Zeszli do małej osady, idąc ze starym i dziewczynką w dół rzeki. Stało tu kilka lichych domów, rozrzuconych w długiej i wąskiej dolinie, którą tworzyła. Domy były byle jakie, jakby niezamieszkane. Bez zagród, bez zabu-

dowań gospodarskich, bez drzew czy ogródków. Stary zaprosił ich do wnętrza jednej z chat. Było tu palenisko i kilka prymitywnie skleconych sprzętów. Czarnowłosa dziewczynka zakrzątnęła się koło ognia, a kiedy już zapłonął, usiadła zadowolona pod ścianą. Do chaty z ciekawością zaglądały spierzchnięte, czerwone twarze kobiet. Zapłakało jakieś niemowlę. Stary wyszedł na chwilę i przyprowadził wysokiego, postawnego młodego człowieka. Mężczyzna miał na imię Luis i mówił po francusku z tak dziwnym akcentem, że prawie niezrozumiale. Na tle wymizerowanych kobiet i dzieci wyglądał, jakby nie był stąd, jakby zabłąkał się w to zagubione w górach miejsce zupełnie tak jak Markiz i Weronika. Miał smagłą cerę i białe, zdrowe zęby. Patrzył na podróżnych odważnie czarnymi, błyskającymi oczami i za każdym razem jego wzrok ześlizgiwał się, może mimo woli, na Weronikę.

Luis był przywódcą mieszkających tu ludzi, jakby nieformalnym wójtem. W tak trudnych warunkach życia nie liczyła się mądrość, tylko siła i wola przetrwania. Najważniejszy był instynkt, spryt i refleks. Dlatego Luisowi powodziło się dobrze. Na podstawie jakiejś niepisanej umowy wszystkie dobra wsi należały do niego. Także kobiety. Nie miał żadnej konkurencji. W osadzie oprócz kilkunastu kobiet mieszkało tylko czterech mężczyzn i żaden z nich nie mógł się z nim równać.

Luis rozmawiał z Markizem jak równy z równym. Pojął mapy i pomógł Markizowi zlokalizować miejsce, gdzie się znaleźli. Zrozumiał też zaraz, dokąd idą, i szybko wycofał się z propozycji wyruszenia z nimi jako przewodnik. Podobnie jak stary, mówił o smokach, a naciskany przez Markiza, zaczął się tłumaczyć niesprzyjającą porą roku. Lada dzień może spaść śnieg. Teren wokół źródeł rzeki, która na mapie Markiza zaznaczona była literą S i gdzie zaczynał się łańcuch Sierra del Cadí, cieszył się złą sławą. Pogoda potrafi się tam zmienić w ciągu kilku chwil. Według słów Luisa, głębokie kaniony i rozpadliny pojawiają się tam nagle pod nogami idącego. Poza tym, mówił Luis, jest to jedno z ostatnich miejsc, gdzie żyją jeszcze smoki. Mówiąc o smokach, odwracał głowę i Markiz nie mógł dostrzec, czy w czarnych, przenikliwych oczach Hiszpana nie pojawia się kpina.

Poczęstowano ich owczym serem i plackami pieczonymi wprost na ogniu; musieli za to zapłacić tyle, ile za porządny posiłek w oberży.

Markiz nie był pewien, czy wieś jest miejscem dość bezpiecznym, by zostawić tu Weronikę i Gauche'a. Bał się iść dalej sam. Te góry były inne, niż się spodziewał. Wystrzeliwały znienacka w niebo niby urągająca mu pięść. Ostre, czarne granie były kwintesencją obcości.

Weronika usnęła przed wieczorem na wiązce słomy w chacie. Czerwone refleksy ognia przydawały ostrości rysom jej twarzy. Ciężko oddychała przez usta. Gauche przycupnął koło niej i pilnował, żeby była przykryta.

Zaczęło się ściemniać niespodziewanie szybko. Markiz wyszedł o zmroku nad płynący przez wieś strumień i spoglądał tęsknym wzrokiem na wschód, w którym to kierunku zamierzali jutro wyruszyć. Według jego rachuby od wąwozu, gdzie miał stać klasztor, dzieliło ich dwa, trzy dni drogi. Luis nie słyszał o żadnym klasztorze albo po prostu nie chciał o nim mówić. Markiz nie potrafił pozbyć się nieufności wobec tego sprytnego, pewnego siebie mężczyzny. Był jednak całkowicie przekonany, że są już niedaleko. Czuł się niezwykle podekscytowany, zupełnie tak jak w dzieciństwie, kiedy czekał na powrót ojca z kolejnej podróży. Drżały mu ręce i nogi. Próbował opanować podniecenie, regulując oddech, tak jak to praktykowano w Bractwie. Zimne, ostre powietrze wciągane do płuc nie uspokajało jednak wewnętrznego rozedrgania. Niosło za to ze sobą pojedyncze smugi znanych zapachów: wilgotnych świerków, odpoczywającej ziemi, sierści zwierząt, obmywanego wodą kamienia. Nie było tam woni ludzi, ich ubrań, ich rzeczy, ognia ani dymu. Markiz poczuł, jak wracają mu siły. Odwrócił się twarzą na wschód, w stronę Księgi. Wiatr wiał z tamtej strony i przez chwilę Markiz wierzył, że przyniesie mu jej zapach. Węszył jak zwierzę, chwytając w nozdrza rozrzedzoną woń gór. Czuł już teraz wyraźnie, że z każdym oddechem wraca mu siła, a kiedy to sobie uświadomił, kiedy nazwał tę wzbierającą w nim siłę Mocą, ogarnęła go radość i wdzięczność, że oto jest znowu tu, gdzie powinien być, że strach i zwątpienie zostały mu wybaczone i że stoi u drzwi prowadzących do Księgi. Dotknął czoła, ramion i piersi, upewniając się, że wśród tych zimnych, obcych gór jego ciało nadal jest żywe, ciepłe i pełne siły.

– Nie zostawiaj mnie tu – powiedziała Weronika z ciemności.

Chata była pełna czerwonego, pełzającego światła, bijącego od żaru ognia. Leżący obok śpiącego Gauche'a pies podniósł głowę i czujnie poruszył uszami.

– Nie zostawiaj mnie. Byłam tylko zmęczona. Czuję się już zupełnie dobrze i mogę iść.

Markiz szukał miejsca, żeby się położyć.

– Chodź do mnie – powiedziała cicho Weronika. – Obejmij mnie i przytul.

– Masz gorączkę. Jesteś cała rozpalona, pani – odrzekł, odsuwając jej rękę od siebie. – Pójdę sam i wrócę najdalej za tydzień.

– Nie, proszę. Nie zostanę tu. Weź mnie ze sobą. Obiecuję, że już nie będę nic od ciebie chciała. Boję się tych ludzi, tych uwędzonych, strasznych kobiet i tego Luisa. Oni wszyscy nawet nie są ludźmi. To jakieś górskie małpoludy.

Markiz przypomniał sobie pełen ognia wzrok Luisa i ogarnęła go fala zazdrości. Ujrzał w wyobraźni jego potężne, zdrowe ciało podrygujące na bezbronnej Weronice. Zrobiło mu się gorąco z bezsilnego gniewu. Wziąć ją – to ryzykowne, jest zbyt słaba. Zostawić na pastwę tych dzikich ludzi – też niebezpieczne. Gauche byłby wątpliwym obrońcą.

– Weź mnie ze sobą, weź mnie – mamrotała Weronika.

– Dlaczego w ogóle mnie prosisz? Możesz wstać i iść. Proszę bardzo – powiedział ze złością.

Weronika zaczęła płakać. Najpierw cicho i żałośnie, potem coraz głośniej i bardziej histerycznie. Jej szloch rozhuśtywał się, jak to bywa u dzieci. Zlepione włosy opadały jej na twarz mokrą od łez i potu.

Markizowi zrobiło się głupio. Czuł się winny i nie widział sposobu, żeby cokolwiek mogło go od tej winy uwolnić. Był w prawdziwym potrzasku, nie miał wyjścia. Po raz pierwszy od wielu lat zachciało się i jemu płakać. Ujął w dłonie głowę Weroniki i przytulił do swojego brudnego surduta. Przepraszał dziewczynę szeptem, odgarniał jej włosy z czoła, ocierał łzy. Wrócił do miejsca, które wydawało mu się, że opuścił kilka godzin temu. Ale nie czuł żalu ani smutku. Była to raczej spokojna rezygnacja, płynąca ze zgody na wszystko, co się dzieje i co się jeszcze zdarzy. Głaskał Weronikę po włosach i zaplątywał w nich palce. Kiedy usłyszał spokojny, regularny oddech Gauche'a, delikatnie położył ją na wznak i wszedł w nią bez słowa. Poruszał się wolno i ostrożnie, czując ogarniające go powoli jej nienormalne gorąco. Z każdym ruchem schodził coraz głębiej i głębiej, jakby zmierzał do rozpa-

lonego jądra ziemi. W dół i w dół. A potem ten żar objął go całego i odtąd Markiz już płonął, leżąc bez ruchu – strzępek życia zatrzaśnięty w potężnej skorupie ziemi.

18

Zostawili Luisowi jednego muła jako zapłatę i w południe stracili wioskę z oczu.

Im dalej szli, tym bardziej zwalniali kroku. Może przyczyna leżała w niebezpieczeństwie górskich ścieżek albo we mgle, która wisiała nisko nad szczytami i sprawiała wrażenie, że są pod powierzchnią wody i oddychając jakimś cudem, kroczą po morskim dnie. Mgła była tak gęsta, że dzień prawie niezauważalnie przeszedł w noc. Ściemniło się w ciągu kilku minut.

Pierwszej nocy zatrzymali się w niewielkiej grocie i Weronika zaczęła majaczyć. Jej krzyki obudziły Markiza i Gauche'a. Mówiła gorączkowo, że chce się wykąpać, że musi wejść do wody. Wyrywała się i chciała biec. Markiz przytrzymywał leżącą, a ona miotała się z taką siłą, że chwilami nie mógł sobie z nią poradzić. Potem nagle słabła i milkła, leżąc cicho, z zapadniętymi oczyma. W takich momentach, kilka razy w ciągu nocy, Markiz z pomocą Gauche'a podawał jej chininę. Do świtu ataki gorączki osłabły, ale nie ucieszyło to Markiza. Przytrzymując Weronikę, wyczuł pod palcami dziwne zgrubienia i opuchliznę na jej szyi i pod pachami. Cofnął wtedy ze strachem ręce.

Przez całą noc Markiz uspokajał chorą, rzucającą się kobietę, żałując w ogóle, że los ich zetknął. Gdyby się nie spotkali, nigdy by się nie stało to, co Markiz wiedział, że się stanie. Siedząc przy Weronice i głaszcząc jej rozpalone czoło, uświadomił sobie bowiem jasno, że dziewczyna umrze. Poczuł wtedy suchość w ustach, a przez głowę przemykały mu oderwane, nic nieznaczące myśli. Gauche pilnował mizernego ognia i płakał bezgłośnie.

Tej nocy Weronice wydawało się, że jej ciało staje się wielkie jak góra, jak cały świat. Patrzyła z odległości setek mil na swoje dłonie, ogromne i potężne, z paznokciami wielkości jezior. Gdy chciała nimi poruszyć, słuchały opornie, jakby jej wola potrzebowała czasu na przebycie tej odległości. Dziwiła się, poruszała wargami, które z grzmotem rozwierały czeluście ust. Jej

rzęsy trzeszczały niby łamiące się drzewa, a kiedy brała głębszy oddech, powietrze ze świstem wichury wpadało w otchłań, którą teraz była. Jakiś ogromny ciężar przygniatał jej ciało. Tak musi się czuć ziemia, na której leży ciężkie, kamienne niebo. Własny głos dochodził do niej powoli, z daleka, jak huk burzy. Próbowała zebrać swoje ciało w jedność i wtedy wywoływała lawinę. Kamienne, ciężkie bloki spadały jej na piersi i nie mogła już oddychać. Oblepiały jej skórę gorącą lawą, a potem twardniały w sarkofag. Chciała wzywać pomocy, lecz z jej ust skamieniały język dobywał odgłos podobny do grzmotu leniwego pioruna. Wtedy nieruchomiała zrezygnowana, bo nie było przy niej nikogo tak silnego, żeby mógł ją uwolnić.

Z tego bezruchu płynęła ulga. Powoli wracała do własnych rozmiarów. Ale ten proces nie zatrzymywał się. Postępował dalej, a ona robiła się coraz mniejsza. Otwierała oczy lalki i widziała nad sobą potężniejącą twarz mężczyzny. Chciała uchwycić się jego wzroku, ale mężczyzna umykał jej, ześlizgiwał się po niej, rosnąc wciąż jak nadmuchiwany rybi pęcherz. Stawała się cieńsza od włosa, od kartki papieru, od pajęczyny. Bała się, że gorący oddech potężniejącej wciąż twarzy zdmuchnie ją w jakąś szczelinę, z której nie zdoła się już wydostać. Była mniejsza niż najmniejszy okruch. Nikła i przestawała istnieć.

Rano jednak Weronika już całkiem oprzytomniała. Z trudem usiadła i zobaczyła śpiącego, skulonego przy niej Markiza. Gauche też się obudził i przyskoczył do niej, by ucałować jej rękę. Poprosiła o grzebień, ale i tak nie miała dość siły, żeby unieść ramiona na wysokość głowy. Gauche zrozumiał, o co chodzi, i zaczął rozczesywać jej włosy.

Markiz postanowił iść dalej sam. Wyjął z toreb resztki lekarstw i wzmacniających ziół i podzielił je na porcje. Wolno tłumaczył Gauche'owi, jak ma je podawać chorej. Gauche kiwał potakująco głową. Weronika już o nic nie prosiła. Może nie chciała, a może nie miała siły wypowiadać słów. Patrzyła na Markiza wzrokiem psa, którego pan przywiązuje do drzewa w lesie i odchodzi.

– Weroniko – mówił Markiz powoli, jak do dziecka – przyniosę Księgę. Ona sprawi, że zaraz wyzdrowiejesz. Słyszysz mnie?

Skinęła głową. Przywiązał sobie do plecaka pudło na Księgę i ruszył. Szedł szybkim krokiem, kierując się prosto na wschód. W myślach starał się modlić, lecz słowa modlitwy wydawały mu się jakieś obce. Chciał poczuć się wolny. Marzył o tym od dawna: żeby iść na wschód, do Księgi, która jest już przecież w zasięgu ręki. Żeby modlić się po drodze i z każdym krokiem wybijać o skałę ten sam rytm, w którym kręciło się siedem niebieskich sfer. Żeby czystym umysłem kontemplować swoje nieuchronne zbliżanie się do Księgi. Ale teraz jego krok gubił się, a myśli, które miały być czyste na przyjęcie tajemnicy, pełne były wychudzonej postaci Weroniki, chorej kobiety, którą zostawił w grocie z chłopcem niemową.

Po godzinie marszu nagle stanął, wahał się przez chwilę, po czym zawrócił.

Znalazł ich tak samo, jak zostawił: chłopiec powolnymi ruchami rozczesywał kobiecie włosy.

– Ukryj rzeczy w grocie i pomóż mi ją posadzić na muła – zarządził Markiz.

Starali się iść szybko. Posuwali się brzegiem ponurej, zamglonej doliny, bardzo łagodnie wznoszącym się ku niebu. Weronika przysypiała, kładąc głowę na grzbiecie muła, jej nogi zaczepiały o wystające kamienie. Markiz popędzał zwierzę, wierząc, że Księga sprawi cud. Już widział wszystkich czworo powracających tą samą drogą: Weronikę zdrową, silną, idącą o własnych siłach, siebie w zielonożółtym surducie, z Księgą w drewnianym pudełku, roześmianego Gauche'a i biegnącego przed nimi żółtego psa.

Markiz nic nie mówił, ale czuł, że od tej doliny dalej poprowadzi ich anioł. Wierzył w anioły. Widywał je w snach i modlitwach. Jako dziecko zobaczył drewnianą figurę anioła z piękną i gładką twarzą hermafrodyty i odtąd już wiedział, że świat pełen jest sił, które przybierają dla oczu ludzi twarze takich istot. Wyczulił się na obecność i piękno aniołów. W ważnych chwilach w życiu czuł delikatne poruszenia powietrza i wydawało mu się nawet, że słyszy szelest anielskich skrzydeł. Bo niewątpliwie anioły miały skrzydła. Machały nimi powoli i dostojnie, przelatując przez świat, i zjawiały się zawsze tam, gdzie ludzie przez modlitwę, cierpienie, miłość, czy nawet zwykłe zagapienie dotykali podwojów innego świata. Kiedy oczy za-

snuwały się bez powodu smutkiem albo nieokreśloną tęsknotą, kiedy zwykła przestrzeń wydłużała się w nieskończone labirynty, kiedy czas wirował, a potem stawał w miejscu, wtedy Markiz był pewien, że gdzieś w pobliżu przelatuje anioł.

Dlatego, natchniony nagłym optymizmem, postanowił, że będą szli także w nocy, ale kiedy wspięli się na przełęcz zamykającą dolinę wąskim przejściem, musieli się zatrzymać. Dalej droga prowadziła stromym górskim grzbietem, ledwie widoczną ścieżką.

Było już dobrze po północy, kiedy stanęli. Markiz zdecydował, że nie warto się kłaść. Zresztą wszystkie potrzebne rzeczy zostawili w grocie. Usiedli więc we trójkę na mizernej, zeschniętej trawie. Markiz oparł o siebie Weronikę i trzymał rękę na jej czole. Było chłodne i wilgotne. Siedzieli tak w milczeniu kilka godzin, czekając na świt. Tylko Gauche wtulił się w swojego psa i usnął. Niebo przejaśniało i wszedł pucołowaty, pełen sił Księżyc.

Kiedy od wschodu zaczęło szarzeć, usłyszeli z boku szelest wielkich skrzydeł. To jakiś potężny ptak zerwał się nagle z gniazda do lotu. Przestraszony pies zaszczekał niepewnie.

– Czy to był smok? – zapytała Weronika słabo.

– To mógł być anioł, który nas prowadzi – odpowiedział Markiz i przytulił ją mocniej.

Weronika umarła, zanim słońce uwolniło się z pęt poszarpanego górskimi szczytami horyzontu.

Położyli ją na wznak i przykryli derką. Leżała nieruchoma, nagle mała i drobna, zaplątana w suknię, derkę i swoje włosy – kupka ludzkiego ciała. Markiz siedział przy niej z kamienną twarzą, dopóki Gauche nie odszedł kopać grobu. Wtedy położył się obok i próbował płakać. Ale nie znalazł w sobie ani rozpaczy, ani bólu, ani nawet smutku. Jego ciało zesztywniało i zobojętniało, a przez to było wolne, niczym maszyna. Uniósł rękę i końcami palców zaczął wodzić po twarzy i ciele kobiety, którą jeszcze wczoraj kochał. Ale Weronika teraz już nie była podobna do siebie. Jej skóra wyglądała jak przysypana popiołem, nos zrobił się ostry i celował w niebo. Usta, blade i zaciśnięte, wyglądały tak, jakby nigdy nie potrafiły się otworzyć,

jakby były zarośnięte od wewnątrz niewidzialną błoną. Markiz zauważył też, że włosy przy skórze nie są już ciemne, takie, do jakich się przyzwyczaił, ale mają niepokojąco obcy, pomarańczoworóżowy kolor łuskanej soczewicy.

Gauche nie zdołał wykopać dołu. Pod cienką warstwą nawianej przez wiatr ziemi była lita skała. Naznosił więc kamieni, ale nie śmiał położyć pierwszego. Usiadł w kucki przy martwej Weronice i patrzył na jej zniszczone trzewiki. Z oczu płynęły mu łzy, najpierw ciurkiem, a potem coraz wolniej, wysychającym brudnym szlakiem. Nie niepokoiło go zachowanie Markiza. Spodziewał się jednak słów. Jakichś ważnych wyjaśnień, wyznań, nawet zaklęć. Przecież Markiz był władcą słów, a tu potrzebne były słowa. Powinien nazwać to nagłe odejście, wytyczyć drogę, oswoić bezruch i zmianę rysów twarzy tej kobiety i pozwolić pójść dalej. Gauche patrzył z nadzieją na Markiza, lecz ten tylko wodził drżącymi palcami po podartych koronkach sukni Weroniki. Z góry na dół, z dołu do góry, zatrzymując się na szwach i haftkach, na fałdach i mankietach. W gardle Gauche'a zabulgotały ślina i łzy.

Nie ruszyli się do wieczora. Słońce przeszło na drugą stronę gór. Gauche przygotował posiłek i podzielił go na trzy równe części, między Markiza, siebie i psa. Markiz nawet nie spojrzał na jedzenie. Siedział wpatrzony w koniuszki swoich palców przesuwających się po sukni i skórze Weroniki. Gauche był przekonany, że Markiz się modli i nie chciał mu w jakikolwiek sposób przeszkadzać. Zajął się więc mułem, rozbił prowizoryczny obóz. Z wyschniętych kępek traw rozpalił małe ognisko, oszczędzając szczap drewna. Całe popołudnie poszukiwał wody, ale nie znalazł źródła. Napoił siebie i zwierzęta wodą z kończących się zapasów. Usnął zaraz po zachodzie słońca, mając przed oczyma pochylonego nad Weroniką Markiza w przybrudzonym zielonożółtym surducie.

Obudził go hałas. Markiz znosił kamienie i układał je w kopiec nad ciałem Weroniki. Kiedy skończył, chwiejnym i niepewnym krokiem ruszył na wschód, nie oglądając się na chłopca.

19

Szli do zmierzchu, ciągnąc za sobą zniechęconego muła. Markiz nie odzywał się słowem. Gauche zaglądał w jego zaciętą, pobladłą twarz, chcąc pochwycić jego spojrzenie. Pragnął wyjaśnień, bo sądził, że zaraz zawrócą i zabiorą spod kamieni Weronikę. Nie rozumiał, dlaczego zostawili ją tak bardzo samotną na szczycie góry. Co jakiś czas przystawał z psem i mułem i czekał, aż Markiz to zauważy i wróci do niego. Ale wyglądało na to, że Markiz w ogóle go nie dostrzega. Szedł pochylony, wpatrzony w ziemię, zawzięty i głuchy.

Kiedy zaczęło się ściemniać, zziębnięty i zdesperowany chłopiec rozkulbaczył muła i rozpalił ogień. Nie miał siły iść dalej. Wiatr ucichł i ogień płonął jasnopomarańczowym blaskiem, dając namiastkę domu. Od kiedy weszli w góry, pies Gauche'a zaczął polować. Teraz przyniósł w zębach małego gryzonia, może świstaka, może szczura, i kłapiąc szczękami, zabrał się do swojej wieczerzy. Gauche też zgłodniał. Gdy rozgrzał się trochę przy ogniu, zaczął szperać po zawiniątkach i wyszukiwać resztki zapasów. Znalazł suszone figi, w które zaopatrzył ich Delabranche. Włożył sobie garść fig do ust i żuł powoli, patrząc w ogień. Nagle drgnął i wystraszony podniósł głowę. Po drugiej stronie ogniska stał Markiz. Silnie dygotał na całym ciele. Gauche spotkał jego wzrok i przestraszył się, bo nie było w nim nic znajomego.

– Chce mi się pić – powiedział Markiz.

Gauche wstał z ociąganiem i przyniósł mu derkę do okrycia i trochę suszonych owoców. Usiedli po obu stronach ogniska.

– Kiedy będziemy wracać z Księgą, zabierzemy ją stamtąd – odezwał się znowu Markiz, wskazując ruchem głowy miejsce, skąd przyszli.

Gauche włożył sobie do ust następną porcję figowego suszu.

– Księga czyni cuda. Wystarczy czytać ją na głos. Po prostu otworzyć i czytać, wiesz? Czy zostało jeszcze trochę chininy? Jestem osłabiony i chce mi się pić.

Gauche pokazał mu pudełko, w którym na dnie była jeszcze odrobina proszku.

– W klasztorze będzie woda. Wiem to. Żyli tam kiedyś ludzie. Teraz nie. Teraz nie ma tam już nikogo. Gdybyś się nie zatrzymywał, moglibyśmy tam być jeszcze dzisiaj. Nie można tak po prostu poddawać się zmęczeniu.

Gauche wzruszył ramionami.

– Ale to nic, chłopcze. Jutro tam będziemy. Ty poczekasz z mułem, a ja pójdę po nią. Wtedy wszystko się zmieni. Wracając, zabierzemy Weronikę. Niepotrzebnie przywaliłem ją kamieniami, teraz trzeba będzie je zdejmować. Pewnie się zdziwi, że tak szybko jesteśmy z powrotem. Wydawało jej się, że to tak daleko, a my już jutro będziemy przy niej z Księgą.

Gauche'a zaczęła ogarniać senność. Jego żółty, teraz cuchnący krwią pies położył się przy nim i grzał go z jednej strony zdrowym, żywym ciepłem. Gauche dołożył do ogniska grubych bierwion, które niósł z dołu muł, przykrył się po uszy derką i zasnął. Gdzieś na pograniczu jawy i snu usłyszał jeszcze wzmocniony ciszą nagły, krótki trzepot wielkich skrzydeł. Smok – pomyślał, wzdrygając się, ale jego sen był mocniejszy niż błoniaste skrzydła tysięcy smoków i poniósł go w nieopisane ciemne krainy za horyzontem powiek.

Markiz siedział dalej, trzymając suszone owoce na otwartej dłoni, i opowiadał mu o Księdze.

Gdy tylko Gauche się obudził, ujrzał Markiza siedzącego wciąż w tej samej pozycji. Chłopiec przestraszył się. W nieruchomej postaci Markiza było coś niepokojącego i obcego. Miał spuchniętą twarz, nabrzmiałe, popękane wargi i przymknięte do połowy, niewidzące oczy. Derka zsunęła mu się z pleców i leżała za nim, pokryta cienkim nalotem szronu. Gauche kucnął przy Markizie i w końcu odważył się dotknąć jego policzka. Był gorący. Powieki Markiza poruszyły się i z trudem podniosły. Spojrzał na Gauche'a obojętnie i znowu zamknął oczy. Chłopca ogarnęła panika. Wstał i rozejrzał się bezradnie dookoła. Zobaczył swojego żółtego psa uganiającego

się po kamienistym zboczu w poszukiwaniu zdobyczy i to sprawiło, że oprzytomniał. Rzucił się w jego stronę, wyrywając po drodze małe krzaczki, kępki trawy, pojedyncze stwardniałe łodygi. Było tego niewiele, ale wystarczyło, żeby znowu rozpalić małe ognisko. Dołożył ostatnie dwa kawałki drewna i z ulgą spostrzegł, że zajęły się ogniem. Markiz nie zareagował na ogień ani na ciepło. Chłopiec rozpostarł w rękach derkę i ogrzał ją przy ogniu, potem ciepłą i wilgotną okrył plecy Markiza. Ciemne, siwiejące włosy skulonego mężczyzny zaczęły połyskiwać maleńkimi kryształkami i Gauche dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że pada drobny śnieg.

Chłopiec wspinał się pod górę dobrą godzinę, zanim znalazł za większymi kamieniami kupki brudnego śniegu, który musiał tu padać kilka dni wcześniej. Zbierał go czerwonymi z zimna rękami, aż uzbierał połowę garnka. Zbiegł ze zbocza do tlącego się ogniska, spodziewając się, że ogień coś zmienił. Ale Markiz wciąż siedział bez ruchu, jak posąg wyrzeźbiony z szarego kamienia.

Śnieg długo nie mógł zamienić się w gorącą wodę. Przez ten czas Gauche masował stopy i dłonie Markiza, a kiedy poczuł, że stały się cieplejsze, owinął łydki w jedwabnych pończochach wełnianymi getrami. Markiz nie chciał pić gorących ziół. Gauche musiał je wlewać, kropla po kropli, w jego spierzchnięte usta i dopiero wtedy Markiz się ocknął. Potem był już w stanie sam wziąć kubek do ręki i łapczywie wypił resztę.

Gauche tymczasem zdjął bagaże z muła i nakrył je pledem pozostałym po Weronice. Na brzegach pledu położył spore kamienie. Zabiorą go, kiedy będą wracać. Opatulił głowę i spuchniętą szyję Markiza wełnianymi szalami i podsunął mu mapę. Markiz ruszył niepewnie ręką, jakby chciał ją podnieść ku rozłożonej mapie. Ręka opadła bezwładnie. Chłopiec ujął tę zimną, drobną dłoń i położył na białej, rozłożonej karcie. Palce Markiza błądziły po liniach, strzałkach i napisach niepewnie i nieporadnie jak palce dziecka. Gauche wpatrywał się w usta swojego pana, czekając na znak. Ale nie doczekał się. Złożył tedy mapę i wsunął ją Markizowi za połę surduta, tam gdzie zawsze spoczywała, potem posadził Markiza na mule i po prostu ruszyli dalej. W przeciwną stronę do tej, z której przyszli.

Płaskowyż już się skończył i posuwali się wąską, prowadzącą łagodnie w dół ścieżką. Z prawej strony mieli pionową ścianę litej skały, z lewej ziała przepaść, której dna nie było widać z powodu zielonkawej, ścielącej się na

dole mgły. Markiz chwiał się niebezpiecznie na mule i Gauche drżał na myśl o tym, co by się stało, gdyby nagle stracił równowagę. Po dwóch godzinach powolnego, ostrożnego marszu pionowa skała skończyła się łagodnie i znaleźli się na odsłoniętym cyplu, skąd nie można już było iść dalej. Można było tylko zejść w dół stromymi, wykutymi w skale schodami. Rozciągał się stąd niezwykły widok: to, co z boku wydawało się przedtem wąskim kanionem, zamieniło się teraz w dolinę spowitą mgłą. Po drugiej stronie wisiało wielkie, szykujące się już do zachodu słońce, które oświetlało zamykające dolinę góry. Gauche zatrzymał się niezdecydowany, ale widząc nagłe ożywienie Markiza, zrozumiał, że dotarli na miejsce.

Mimo podniecenia Markiz był tak słaby, że nie mógł o własnych siłach zsiąść z muła. Postawiony na nogi przez Gauche'a, zachwiał się i upadł na kolana. Gauche podparł go torbami, przykrył i zakrzątnął się przy zwierzęciu.

– Popatrz – usłyszał nagle chrapliwy szept Markiza.

Gauche odwrócił się i patrzył, urzeczony rozległym widokiem doliny, oświetlonej teraz czerwono przez słońce. Zielona mgła powoli zaczęła się rozwiewać. Wyglądało to tak, jakby specjalnie dla nich jakaś potężna ręka uruchomiła kołowrót wielkiej zielono-czerwonej kurtyny, żeby mogli wreszcie zobaczyć pierwszy akt. Powietrze drżało czerwienią, oczyszczając się z oparów, a widok, jaki się przed nimi otworzył, pełen był soczystych kolorów. Pośrodku doliny stały ruiny sporego budynku. Wokół niego, kręgiem, pobudowano małe domki, niegdyś z pewnością białe i przytulne, teraz ziejące pustymi dziurami po oknach i drzwiach. Niektóre miały zapadnięte dachy. Środkowy, największy budynek wyglądał na kościół. Jedyna wieża, zwieńczona krzyżem, jakimś cudem oparła się górskim wiatrom i zniszczeniu. Najbardziej jednak zdumiało ich, że tam, na dole, panowała wiosna. Owocowe drzewa obsypane były białymi i różowymi kwiatami, jak w kwietniu. Mury porastał ciemnozielony bluszcz i jasnozielona winorośl. Wielkie liście łopianów pokrywały wyłożone kamieniami ścieżki.

Markiz patrzył na to wszystko rozgorączkowanymi, zachwyconymi oczami. Zaczął drżeć i szczękać zębami. Próbował oprzeć się na rękach i podciągnąć, ale opadł ze stęknięciem na torby.

– Gauche – wyszeptał z wysiłkiem – ty tam pójdziesz. Weźmiesz pudło na Księgę... i przyniesiesz ją tutaj...

Gauche zawahał się. Bał się zostawić Markiza samego, choć ciągnęło go w dół, do tego zielonego świata. Pokręcił przecząco głową i wziął Markiza za rękę. Markiz przymknął oczy.

– Idź, proszę, idź tam. Wiesz, jak wygląda Księga? Duża książka, tak musi wyglądać. Idź tam. Teraz.

Gauche rozglądał się wokoło, spodziewając się jakiejś nieokreślonej wskazówki. Zimne palce Markiza zacisnęły się na jego ręce.

– No idź!

Gauche wstał i niepewnie zbliżył się do schodów. Ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu. Odwrócił się i zobaczył wpatrzone w siebie brązowe, załzawione oczy Markiza. Gwizdnął na psa i zaczął zbiegać po stromych, nierównych schodkach.

Markiz odetchnął z ulgą. Opadł na torby i spokojnie patrzył na zniżające się powoli słońce i zieloną dolinę. Czerwień i zieleń zmywały z jego oczu zmęczenie, ale jego wzrok był i tak zbyt słaby, żeby mógł dojrzeć szczegóły. Markiz widział niebo i ziemię spięte gasnącą broszą słońca, widział powolny ruch kolorów przechodzących z intensywności w uspokojenie pasteli. Nie zdziwiła go cisza, jaka nagle zapadła po odejściu Gauche'a. Może ustał wiatr, pomyślał.

Wiedział, że jest chory. Była to z pewnością ta sama choroba, która zabiła Weronikę, ale nie przejmował się tym. Nic nie może być silniejsze niż Księga. Z trudem poprawił się na torbach, żeby móc bez wysiłku oglądać dolinę. Wyobrażał sobie Gauche'a biegnącego przez gąszcz zielonych roślin i żółtego psa przeskakującego susami kamienie. Ale ten żywy, kojący obraz nagle spowolnił, Gauche teraz bardziej płynął niż biegł, zieleń wymieszała się z czerwienią, tworząc pęczniejące szarością cienie. Markiz usnął na chwilę albo wydawało mu się, że usnął, bo kiedy otworzył oczy, wszystko było inne.

Nie siedział już na skalnym cypelku nad zieloną doliną. Zdał sobie sprawę, że znajduje się na ogromnej, rozległej przestrzeni, która lekko się wygina, tworząc pośrodku długie i regularne zagłębienie, niby otwarta książka. I wszystko, co do tej pory znał, było teraz pojedynczymi literami, i on sam był jedną maleńką literą, która buduje wyraz, a potem całe zdanie i cały

akapit. Każda rzecz miała tutaj swój znak – jak pojedynczy głos w nieskończonym chórze głosów. Był jedną literą, nieważne jaką, to go nie obchodziło, jego radość płynęła z tego, że ma znaczenie, że bez niego wyraz, który tworzył wraz z innymi znakami, byłby okaleczony. Może był przecinkiem, banalną kropką, która kończy nieodwołalnie zdanie, może zamkniętym w sobie „o" albo sięgającym głębi igrekiem, a może po prostu tylko pustą przestrzenią między wyrazami, bez której ich znaczenia zlałyby się lub przemieszały. Patrzył ze spokojem na prosty, wyraźny horyzont tworzony przez krawędź ogromnej białej karty, na tysiące znaków ustawionych w równe szeregi, ciągnące się w nieskończoność. Zastanowił się wtedy, dla kogo otwarta jest ta książka, czemu ma służyć. Podniósł wzrok i zobaczył, że niebo jest miliony razy większe niż ona i dlatego po wielekroć zawiera ją w sobie. Księga była otwarta dla nieba.

Powoli przestawał czuć ból i miał wrażenie, że już mógłby wstać i pójść – tak był lekki. Kiedy jednak spróbował, okazało się, że lekkość tkwi w nim w środku, jak kula dmuchawca, i nie ma związku z ciałem. Wtedy zdał sobie sprawę, że umiera. Zdziwił się, bo nie sądził, że umieranie może być tak soczyste, tak jasne i tak pełne ruchu. Powietrze, którym coraz słabiej oddychał, wibrowało i drżało, napełniając po raz ostatni jego płuca.

Gauche dotarł do ogrodu, którym w rzeczywistości była kwitnąca dolina. Stał oniemiały na ostatnim schodku, nie śmiąc zrobić następnego kroku. Pod stopami zobaczył delikatne krzaczki poziomek, które jednocześnie kwitły i rodziły. Kucnął, zziębniętymi jeszcze palcami zrywał poziomki i garściami wkładał je do ust. Miały cudowny smak życia, wiosny i bezpieczeństwa. Gauche posuwał się na kolanach od kępki do kępki, zapychając sobie usta życiodajnym miąższem. Zrywał te najdojrzalsze, ale także i te, z których ledwie opadły płatki kwiatków. Dopiero po jakimś czasie przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Wtedy pomyślał z żalem o wycieńczonym, chorym Markizie, który został na górze, w zimnym i nieprzyjaznym świecie. Nawet się nie zastanawiał. Zrobił z dużego liścia tutkę i wkładał do niej najdojrzalsze poziomki. Kiedy była już pełna, położył ją delikatnie na ziemi i zrywał teraz całe gałązki obwieszone owocami, aż zebrał gęsty, zbity bukiecik. Wtedy wziął tutkę i wrócił do schodów. Gwizdnął na psa, który ra-

dośnie buszował w wysokiej trawie, a teraz niechętnie zaczął z nim wchodzić na górę.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem i w to właśnie miejsce wpatrywały się nieruchome oczy Markiza. Gauche uklęknął przy nim i wyciągnął rękę z bukietem upstrzonym czerwonymi kuleczkami poziomek. Myślał, że Markiz zapatrzył się w słońce. Dopiero kiedy słońce zsunęło się za horyzont, a Markiz nie odwrócił wzroku, Gauche zrozumiał, że stało się z nim to, co wcześniej z Weroniką. Po raz drugi w swoim życiu doświadczył krótkiego, bolesnego uczucia, że świat jest pusty. Wziął Markiza za zimną rękę i potrząsnął nią, jakby próbował go ściągnąć stamtąd, dokąd odszedł. Ręka Markiza opadła bezwładnie, spod derki wyjrzał szeroki rękaw zielonożółtego surduta. W gardle Gauche'a zabulgotało, a potem Gauche zaskowyczał. Jego głos odbił się od skał i wrócił zwielokrotniony. Wtedy chłopiec przestraszył się sam siebie. Poziomki posypały się na rękę Markiza, ale ponieważ było ciemno, ich czerwień zmieszana z zielenią surduta nie miała już żadnego znaczenia. Potykając się i krzycząc, Gauche zaczął zbiegać w dół, ku ciepłu zielonej doliny. Bał się bezruchu Markiza, zimna i nocy, tęsknił do ciepłej trawy i poziomek. Kiedy skończyły się schody, biegł dalej przez sięgającą mu do pasa trawę, słyszał swój głos, ale bał się go także, bo głos był straszny i obcy, jak głos zwierzęcia. Gauche nie mógł przestać krzyczeć. Jego uwolnione z niewidzialnych obręczy gardło pulsowało teraz w rytmie kroków, a on nie mógł powstrzymać tego odgłosu. Przedzierał się w ciemności przez kwitnące krzaki, ogromne liście łopianu, jakieś szeleszczące powoje i dopiero kiedy wyczuł pod stopami twardy kamień, jego ciało i rozwibrowane gardło uspokoiły się. Przed sobą miał ciemną bryłę klasztornego kościoła. Bał się zostać na dworze, pośród tej rozbuchanej zieleni, ale jeszcze bardziej bał się wejść do ziejącego ciemnością wnętrza. Usiadł na schodach i objął ramionami kolana. Z wysokiej trawy wybiegł jego pies i położył się przy nim, dysząc. Gauche zupełnie nie wiedział, co ma teraz zrobić. Kołysał się jeszcze przez chwilę w przód i w tył, a potem zwinął się w kłębek i usnął na schodach porośniętych trawą.

20

Obudził go pies, trącając nosem i liżąc jego twarz. Gauche zasłaniał się, jeszcze w półśnie, a potem oprzytomniał. Wstał i przeciągnął się z lubością. Słońce stało już wysoko i przesączało się przez korony drzew. Zobaczył, że spał na schodach kościoła, i przypomniała mu się noc. Miał sen, w którym był silny i mówił pięknymi, okrągłymi zdaniami. Ze snu i nocy nie pozostało już nic. Dzień zaczynał się z taką pewnością siebie, jakby nigdy nie miał się skończyć.

Gauche poszedł za cichym szmerem i znalazł w trawie zwaloną fontannę, z której małym strumyczkiem wypływała na kamienne płyty dziedzińca czysta woda. Umył się i napił. Pomyślał o poziomkach, ale nie poszedł po nie, bo zobaczył na małych drzewkach przy fontannie dojrzałe pomarańcze. Nie były duże, ale za to słodkie i soczyste. Z ustami pełnymi soku rozglądał się po ogrodzie i znalazł jeszcze wielki jak przepiórcze jaja agrest, figi, czereśnie i jabłka. Było tak jak z poziomkami – jedne z drzew dopiero kwitły, a inne miały już owoce. Zaśmiał się do siebie, widząc wielkie kiście fioletowych winogron wiszące na południowej ścianie kościoła. Rwał te wszystkie owoce, jadł, a resztę znosił na schody, aż uzbierała się z tego spora kupka. Powoli jednak tracił zainteresowanie owocami. Kręcił się niespokojnie wśród traw sięgających mu do pasa, wydeptywał pokręcone ścieżki, żeby w końcu wrócić do uchylonych drzwi kościoła. Wziął do ręki kiść winogron, zawahał się na moment, po czym wszedł do środka.

Wewnątrz nie było ciemno. Światło słońca wpadało jasną smugą przez małe, umieszczone wysoko okienka. Gauche zobaczył szarą od kurzu pustą przestrzeń, zamkniętą u góry ciężkim sklepieniem. Zrobił jeszcze kilka śmielszych kroków i naraz poczuł dziwny, wilgotny zapach kamieni i czasu. To nie był kościół, przynajmniej nie taki, jaki zapamiętał z klasztoru, w którym kiedyś mieszkał. Nie było tu ołtarza ani bocznych naw. W głębi tylko stało coś potężnego i ciemnego, co przypominało stół. Gauche nerwo-

wo jadł winogrona i posuwał się do przodu. Jego stopy zostawiały w kurzu wyraźne ślady. Kiedy znalazł się na środku tej ogromnej sali, zobaczył wymalowane na ścianach postacie tańczących ludzi. Były straszne. Chude, wielkie, koślawe, trzymały się za ręce, tworząc pod sklepieniem krąg. Wytrzeszczone, nieprzytomne od tańca oczy wpatrywały się w niego z każdej strony, jakby się umówiły, żeby go wciągnąć do roztańczonego koła. Gauche'owi wypadły z rąk winogrona i nie miał teraz odwagi się po nie schylić. Nie zatrzymał się jednak, nie dał się przestraszyć. Szedł wciąż do kamiennego stołu. Kiedy zrobił jeszcze kilka kroków, z bliska okazało się, że to, co brał z daleka za czworobok, było okrągłą cembrowiną studni. Wewnątrz niej małe schodki prowadziły w głąb. Poczuł ciepło bijące ze środka. Przełożył nogi przez cembrowinę i zaczął schodzić po schodkach.

Znalazł się w ciasnym, rozgrzanym pomieszczeniu, jasnym od poświaty bijącej ze ścian. Na jedynej półce, jaka tu była, leżała duża, oprawiona w zmurszałe drewniane deszczułki książka. Gauche z niezwykłą jasnością pojął, że oto znalazł Księgę. Spojrzał spłoszony w górę, szukając możliwości odwrotu, jakiejś pomocy, ale był z Księgą sam na sam. Ostrożnie zbliżył się do niej i dotknął jej delikatnie dłonią. Jego ruch wzniecił tumany kurzu. Gauche poczekał, aż kurz opadnie, a potem podniósł Księgę obiema rękami. Zachwiał się pod jej nieoczekiwanym ciężarem. Chciał ją jak najprędzej otworzyć i zobaczyć, co jest w środku. Usiadł więc pod ścianą i położył ją sobie na kolanach. Nabrał powietrza w płuca i wypuścił je z pomrukiem. Otworzył Księgę i ujrzał mrowie maleńkich czarnych znaczków ustawionych w nieskończone szeregi, niczym wojsko szykujące się do ataku. Przewrócił kartę i znów było to samo. Zniecierpliwiony, przerzucał kartę po karcie, ale nie znalazł nic nowego: mnóstwo literek ustawionych jedne za drugimi, jak przesypujące się ziarenka piasku, jak ślady ptasich nóżek, jak wysypany jesienią z dojrzałych główek mak. Czasem jego oczy napotykały jakieś faliste linie, niezrozumiałe szkice, a potem znowu były czarne znaczki. Gauche przewracał karty tysiące razy, bo Księga była ogromna, aż zmęczyły mu się oczy. Wtedy zamknął ją z trzaskiem i znów wzniecił tuman kurzu. Może się pomylił, może źle ją oglądał? Z trudem odwrócił Księgę i zaczął jeszcze raz. Wodził brudnym palcem po strużkach liter, ale u końca szeregu nie znajdował żadnego wyjaśnienia. Palec zaczynał od nowa i dalej nic się nie działo. Gauche zbliżył twarz do kart i ujrzał tylko wyraźniej

strukturę papieru i ostre krawędzie liter, odbijające się od białego tła. Wiedział, że te znaczki mają dla ludzi znaczenie. Niby martwe i nieruchome, zawierają w sobie ruch i życie. Widział czytających ludzi i zawsze dziwiło go, że ich twarze się wtedy zmieniają. Co się działo między płaskimi, drobnymi znaczkami a okiem? Jaki cud zachodził? Dlaczego Księga nie mogła mówić wprost – głosem, obrazem, dlaczego przemawiała znakami, których nie rozumiał?

Najpierw ogarnęło go rozczarowanie, a potem gniew potężniejszy od wszystkiego, co do tej pory czuł. Zamknął Księgę i uderzył w nią pięściami. Chmura kurzu odebrała mu oddech. Gauche zaczął szlochać bezgłośnie, a łzy toczyły się po brudnych policzkach i spadały na zaciśnięte ręce. Powoli jego płacz nabierał siły, która pochodziła skądś z brzucha, z rodzącego się głosu. Ten głos zagłuszył szloch i Gauche po raz drugi zaczął krzyczeć. Lecz tym razem jego krzyk nie przypominał skowytu. Był to krzyk, który od wczorajszego skowytu dzieliła historia. Między wczoraj a dziś zawierały się tysiąclecia strachu i bólu, samotności i nadziei. Były tam szaleństwa wojen i oczy podnoszone ku niebu. Były tłumy czekające nocą na Nauczyciela i szarpane wiatrem żagle okrętów, płynących na podbój nowych światów. Krzyczały rodzące kobiety i walczący mężczyźni. Krzyk stawał się pełen znaczenia i w nim Gauche nagle zrozumiał siebie. Musiał przestać, żeby się przekonać, jakiej wagi nabrała cisza. Siedział ze ściśniętym gardłem, doświadczając wreszcie tego pierwotnego rozróżnienia. Potem odłożył Księgę na miejsce i wyszedł ze studni. Wtedy ujrzały go namalowane na ścianach wyłupiastookie, tańczące kościotrupy.

– Jestem Gauche – powiedział do nich Gauche i podniósł kiść winogron.

21

Gauche nie jest ważną osobą w całej tej historii. Podobnie jak wszystkie inne pojawiające się tu postaci. Właściwie i sama historia nie jest ważna. Ponieważ zamierzony cel nie został osiągnięty, prowadząca do niego droga traci swe znaczenie. Nie pamięta się prób, pamięta się tylko dokonania. W tym momencie jednak chciałoby się powiedzieć coś na usprawiedliwienie opisania tej podróży. Księga wciąż jeszcze leży tam, gdzie zostawił ją Gauche. Zawsze więc może się zdarzyć, że ktoś ją wreszcie znajdzie i przyniesie światu, a wtedy na pewno nie zostanie już nic do napisania.

– Gauche – powiedział w ogrodzie Gauche do swojego psa. – Jestem Gauche.

Pies przechylił łeb, przyglądając się chłopcu. Przysiadł na tylnych łapach i zaszczekał. Chłopiec zdjął kubrak. Wrzucił do niego zerwane jabłka i pomarańcze. Potem znalazł długi kij, żeby przywiązać doń tłumoczek. Zarzucił go sobie na plecy i nie patrząc za siebie, zaczął się wspinać po schodach.

Na górze padał śnieg, który przysypał ciało Markiza. Chłopiec włożył mu w rękę największe jabłko. Szkliste oczy Markiza utraciły swój kolor, ale wciąż jeszcze wpatrywały się w to miejsce, gdzie ziemia w tajemniczy sposób łączy się z niebem. Gauche nie chciał zabierać mu tego widoku. Pamiętał tylko, żeby uwolnić muła od rzemieni i bagaży. Potem ubrał się ciepło, zarzucił kij na plecy i balansując na krawędzi przepaści, ruszył tam, skąd przyszedł.

1989

Przypisy

[1] John Donne, *Elegia XIX*, tłum. Stanisław Barańczak.